



KATASTROFA BILANS DWÓCH LAT



Instytut Sobieskiego
ul. Nowy Świat 27
00-029 Warszawa
tel./fax: 22 826 67 47

sobieski@sobieski.org.pl

www.sobieski.org.pl

Katastrofa.
Bilans dwóch lat .

Wydanie I, Warszawa 2012
Nakład 1000 egz.

ISBN 978-83-927691-2-5

© Copyright by Instytut Sobieskiego

Opracowanie redakcyjne: Jan Filip Staniłko
Korekta: Mateusz Kędziński
Projekt: Piotr Perzyna
Okładka: Piotr Perzyna, ALC Marketing & Media Projects

Katastrofa

Bilans dwóch lat

Pamięci Lecha i Marii Kaczyńskich

Spis treści

Katastrofa

Piotr Falkowski Known knowns i known unknowns katastrofy smoleńskiej	11
Marek Pyza Gdy państwo przestaje działać	35

Wymiar wewnętrzny

Paweł Soloch Katastrofa smoleńska: niewydolność państwa i zmarnowany moment instytucjonalny w III RP	55
Tomasz Żukowski Długa wędrówka przez mgłę. Poglądy Polaków o katastrofie smoleńskiej	69
Michał Łuczewski Katastrofa, Mesjasz, Krzyż	87
Piotr Legutko Media po Smoleńsku	109

Wymiar międzynarodowy

Przemysław Żurawski vel Grajewski Konsekwencje katastrofy smoleńskiej dla pozycji międzynarodowej Polski	121
Jan Filip Staniłko Katastrofa smoleńska a geopolityka Lecha Kaczyńskiego	141
Przypisy	156

Minęły dwa lata od wydarzenia, które najpierw Polakami wstrząsnęło, a następnie niebywale głęboko ich podzieliło. Bardzo często dyskusja o katastrofie smoleńskiej i jej konsekwencjach wywołuje skrajne reakcje - agresję, lęk, cynizm, niesmaczne żarty. My staramy się podejść do zagadnienia z należną mu powagą, szacunkiem dla faktów i takim dystansem, jaki tylko jest możliwy. Praca ta jest próbą podsumowania tego, co wiemy o samej katastrofie i wielorakich jej konsekwencjach, opartą o gruntowną analizę i najlepszą dostępną wiedzę.

Naszą ambicją jest przełamanie lęku przed tą wiedzą.

Katastrofa

Known knowns i known unknowns katastrofy smoleńskiej

Piotr Falkowski
„Nasz Dziennik”

„Chcąc być uczciwym i w zgodzie z własnym sumieniem, nie możemy powiedzieć, że znamy odpowiedź na pytanie, co naprawdę stało się 10 kwietnia w pobliżu Smoleńska. Ale to, co wiemy już z całą pewnością, to fakt, że przynajmniej od 10 kwietnia do dziś trwa operacja „przykrywania” prowadzona przez rosyjskie władze. Nikt nie powinien być bardziej zainteresowany w możliwie obiektywnym i wnikliwym dochodzeniu niż władze rosyjskie. Jest jednak zupełnie inaczej. To pewna demonstracja. Każdy polityk wiele razy pomyśli, jak się powinien zachować, aby mieć dobre relacje z Rosją. Nawet jeżeli żaden z nich nie będzie wierzył, że rząd Rosji ma coś wspólnego z katastrofą, a przynajmniej nie przyzna tego publicznie, to na pewno pomyśli sobie, że jeżeli te relacje się pogorszą, to nikt nie wie, co się może stać.”

Z wywiadu Andrieja Iłłarionowa dla „Naszego Dziennika”

Po 10 kwietnia 2010 roku byłem w Rosji dziesięć razy. Najczęściej w Moskwie i Smoleńsku, ale nie tylko. Poszukiwaliśmy świadków tragedii na Siewiernym wszędzie, gdzie się dało. W Rosji najczęściej pukaliśmy do drzwi, których niestety nie chciano nam otwierać. W Iwanowie znaleźliśmy płk. Nikołaja Krasnokutskiego, w Orenburgu mjr. Wiktora Ryzenkę. Mamy wiele pytań do tych oficerów i do pozostających w Smoleńsku płk. Anatolija Murawiowa oraz ppłk. Pawła Plunina. Najwięcej mamy ich oczywiście do Aleksieja Morozowa z MAK. Spotkaliśmy też Rosjan, którzy chętnie dzielą się swoimi informacjami. W Sankt Petersburgu mieszka Witalij Juško, człowiek, który stracił najbliższych w katastrofie Tu-154. Wraz z kilkoma innymi osobami prowadzi prywatną wojnę z MAK o prawdę na temat okoliczności śmierci swoich krewnych. Wie wiele o badaniu wypadków lotniczych w Rosji, o mechanizmach działania instytucji kierowanej przez Tatianę Anodinę. Jest kilku ekspertów lotniczych, którzy też mają odwagę mieć własne zdanie.

„Naszemu Dziennikowi” często zarzuca się, że od dwóch lat pisze tylko na jeden temat i stał się gazetą katastrofy smoleńskiej. Rzeczywiście, prawie w każdym numerze podajemy jakąś informację związaną ze Smoleńskiem. Może ona dotyczyć prób odtworzenia wydarzeń z 10 kwietnia 2010 roku albo tego, co działo się później,

w tym badań przyczyn katastrofy i okoliczności z nią związanych przez MAK, komisję Millera, prokuraturę, zespół parlamentarny kierowany przez posła Antoniego Macierewicza, wreszcie ostatnio NIK. Muszę się przyznać, że tak naprawdę nie doierzamy żadnej z tych instytucji i powoli wszystko sami weryfikujemy. Stąd te długie artykuły o wszelkich możliwych aspektach wypadku tupolewa. Nie jestem osobiście przywiązany do żadnej z hipotez na temat jego przyczyn. Zupełnie nieprawdopodobne wydają mi się pomysły (takie jak sztuczna mgła), prowadzące wprost do wersji o dokonanym przez Rosję przy pomocy specjalnych środków technicznych zamachu. Ale to nie znaczy, że i takich możliwości nie warto zbadać. Stąd te podróże, setki pytań zadawanych ekspertom, w miarę możliwości niezależnym, poszukiwania świadków. Nie tylko w Polsce i Rosji – pytania o katastrofę zadawaliśmy też w Waszyngtonie, Montrealu (w siedzibie ICAO) i Brukseli. W naszych tekstach unikamy szukania sensacji, fantastycznych wyjaśnień, z których zapewne szybko trzeba byłoby się wycofać. Może dlatego tak wiele z tych pytań pozostaje bez odpowiedzi. W szczególności uważam za wciąż otwarte pytanie najważniejsze: **Dlaczego Tu-154M z Prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie rozbił się w Smoleńsku?**

Spróbuję poniżej pokazać, jak złożone jest to zagadnienie i jak wiele jeszcze nie wiemy. Rozkładamy więc pierwsze, podstawowe i zasadnicze pytanie na cały ciąg pomocniczych i do niego prowadzących. Jak zobaczymy, analizując okoliczności katastrofy, nie można jednak zatrzymać się 10 kwietnia 2010 roku o godzinie 6, minut 41, sekund $7\frac{1}{2}$ czasu uniwersalnego. Oczywiście analizy, przede wszystkim techniczne, przebiegu lotu PLF101 są konieczne i je podejmujemy, ale nawet pobieżne zainteresowanie sprawami smoleńskiego lądowania prowadzi do powstania zainteresowania tym, co wydarzyło się zaraz po roztrzaskaniu się samolotu o ziemię w bagnistym lasku wokół lotniska Siewiernyj. Przebieg akcji ratowniczej, pierwsze działania służb rosyjskich, a wkrótce polskich, następnie badanie przyczyn katastrofy i jego wyniki, wreszcie skutki polityczne i społeczne Smoleńska. Kiedy dowiedzieliśmy się – myślę o sobie i o Czytelniku tego tekstu – o katastrofie, zapewne nikt nie spodziewał się, że po dwóch latach wciąż będziemy się zastanawiać, co się stało, polska prokuratura będzie de facto na początkowym etapie śledztwa, a wrak wciąż będzie znajdował się w Smoleńsku. A czy ktoś mógł pomyśleć 9 kwietnia 2010 roku, że polska scena polityczna będzie wyglądała tak, jak wygląda – choćby w przybliżeniu?

Wierzę, że dwie kwestie są blisko powiązane: Jedna to szeroko pojęta reakcja na katastrofę w Rosji (mam tu na myśli postępowanie organów państwa i polityków od pierwszych chwil po wiadomości, że samolot się rozbił), a druga to cały szereg zmian politycznych o znaczeniu strategicznym w Polsce i na świecie. Owo powiązanie naprawdę nie daje mi spokoju i pobudza do dalszych poszukiwań nawet bardziej

niż lotnicze czy techniczne przyczyny wypadku. Dlatego stawiam jako drugie, równie zasadnicze i także wciąż pozostające bez odpowiedzi pytanie: **Dlaczego tak mało wiemy o okolicznościach katastrofy Tu-154M?** To pytanie obejmuje wszystko, co wydarzyło się po „chwili zero”: akcję ratowniczą, sekcje zwłok, identyfikację i przekazywanie ciał ofiar, badanie przyczyn przez MAK, udział w nim przedstawicieli Polski, dochodzenie Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej, badania komisji Millera i śledztwo polskiej prokuratury. Dopelnieniem tych zagadnień są kwestie relacji polsko-rosyjskich w okresie po katastrofie i reakcji na nią w świecie. Tak naprawdę dopiero na takim poziomie – z pozoru bardzo dalekim – to pytanie nabiera moim zdaniem właściwego sensu. Zaczynijmy jednak od początku...

Katyń po raz siedemdziesiąty

Przebywając w Smoleńsku, ciągle zderzamy się z historią, bo jest to miasto bliskie Polsce, a nawet było w latach 1611-1654 w granicach I Rzeczypospolitej. Nie o to jednak chodzi. W Smoleńsku rozpoczęła się inna historia, świeższa i niedająca się łatwo schować do muzeum. Prawdopodobnie w bloku przy ulicy Dzierżyńskiego 13, w siedzibie obwodowego NKWD, zamordowano pierwsze ofiary zbrodni na polskich jeńcach wojennych. Wkrótce ludobójczy proceder przeniesiono do lasu zwanego katyńskim. To było na początku kwietnia 1940 roku. Zbrodnią wciąż zajmuje się w Polsce IPN, a w Strasburgu Europejski Trybunał Praw Człowieka. Przez tę niezabliźnioną ranę w pamięci narodu Smoleńsk jest celem pielgrzymek setek Polaków udających się do pobliskiego lasu. W listopadzie 1989 roku Michał Gorbaczow zgodził się na wizytę polskiej delegacji oficjalnej w Katyniu i wkrótce do niej doszło. Odtąd polscy premierzy i prezydenci przybywają do Katynia i Smoleńska systematycznie, szczególnie od otwarcia Polskiego Cmentarza Wojennego 28 lipca 2000 roku. Wizyty te odbywały się zawsze bez większych przeszkód. Aż do 2010 roku.

Obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej stały się przedmiotem konfliktu politycznego. Trwały formalne ustalenia zainteresowanych instytucji, koordynowane przez głównego organizatora, czyli Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, przy udziale ministerstw: Spraw Zagranicznych oraz Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także kancelarii - Prezesa Rady Ministrów i Prezydenta. Jednocześnie doszło do sporu głównych ośrodków władzy o to, kto i na jakich zasadach będzie reprezentował Polskę w Katyniu. W ten spór włączyła się na bardzo wczesnym etapie Rosja: Władimir Putin premier wszedł w rolę gospodarza i zaprosił swojego odpowiednika - Donalda Tuska. Dotąd uroczystości katyńskie zawsze miały charakter wy-

łącznie polski, a przedstawiciele Rosji uczestniczyli w nich raczej z grzeczności – nigdy nie byli to urzędnicy zbyt wysokiej rangi. Tym razem strona rosyjska postanowiła odegrać znaczącą rolę. Gest Putina wydawał się reakcją na bardziej koncyliacyjną politykę wschodnią rządu PO i PSL, ale posłużył de facto rozegraniu przez Rosję polskiego, wewnętrznego rozłamu politycznego pomiędzy prezydentem a premierem.

Opinia publiczna otrzymała sygnał, że decyzja Lecha Kaczyńskiego o wyjeździe do Smoleńska przeszkadza w pozytywnym wykorzystaniu otwartości Rosjan. „Tuska zaprosili, Kaczyńskiego nie – to po co jedzie” – można było pomyśleć. Jednak w dyplomacji publiczne gesty to tak naprawdę efekt długich negocjacji. Państwo polskie mogło nie dopuścić, by to premier Putin organizował rocznicę sowieckiej zbrodni na Polakach, a jednak tak się stało. Dlaczego Polska na to pozwoliła? Zaczynamy od takiego pytania w kontekście gry politycznej i jej najciemniejszej strony – postawienia interesów partykularnych nad narodowe w relacjach z obcym państwem. Ale będzie ono jeszcze wielokrotnie w różnych formach powracać.

Siewiernyj pod lupą

Tak czy inaczej doszło do organizacji dwóch wizyt: 7. i 10. kwietnia. W obu zasadnicza delegacja udawała się samolotem Tu-154M, przy czym premierowi towarzyszyły jeszcze dwie CAsY C-295M, a prezydentowi jeden Jak-40 oraz pociąg specjalny. W dniu wizyty polskiego premiera do Smoleńska przyleciał też samolot premiera Rosji. Nikomu jakoś nie przeszkadzało, że lotnisko wojskowe Smoleńsk-Siewiernyj (Północny) to obiekt w stanie postępującej degradacji. Lądują tam ciągle jakieś samoloty wojskowe, ale nie tak często jak przed reformami w siłach powietrznych Rosji z 2009 roku, w wyniku których rozformowano stacjonujący w Smoleńsku 103. pułk lotnictwa transportowego. Czy ta informacja w ogóle dotarła do polskich władz wiosną 2010 roku? Prawdopodobnie nikogo nie zainteresował stan obiektu, bo wszystkim wystarczyła zgoda dyplomatyczna ze standartowymi formułkami. Wszystko miało być tak, jak w latach ubiegłych. Tylko że nie było. Na przykład na ścieżkach podejścia w ciągu lat wyrósł las. Jak bardzo roślinność zakłócała sygnały radiolokatora? Można się tylko domyślać. Nikt nie dbał o wymianę żarówek w światłach nawigacyjnych, niesprawnie działała bliższa radiolarnia. Usunięto wyposażenie nawigacyjne pozwalające lądować z kierunku zachodniego. Pozostał tylko drugi, przeciwny, czyli od wschodu. Tam, gdzie ścieżka podejścia przebiega nad doliną rzeczki Wiazowienki, dopływu Dniepru.

Opisanie lotniska w Smoleńsku nie jest wcale łatwe. Strona polska nie dysponuje jego regulaminem i ogromną ilością innych danych, o które pytała i komisja Millera, i prokuratura. Polskie „Uwagi...” do raportu MAK zawierają na początku listę wszystkich wniosków i pytań, jakie kierowano do strony rosyjskiej i MAK. Zajmuje ona 20 stron. W zadowalający sposób zrealizowano około jednej dziesiątej. Większość dotyczy dość szczegółowych kwestii technicznych związanych z lotniskiem lub jego personelu. Obecnie o to samo upomina się prokuratura. Już wiadomo, że ona także nie otrzyma wglądu do regulaminu Siewiernego, a jedynie za pośrednictwem rosyjskich śledczych będzie mogła uzyskać z niego niektóre informacje. Wiadomo, że wiele elementów wyposażenia nie spełniało wymogów obowiązujących w Rosji przepisów. Chodzi nie tylko wspomniane już oświetlenie i roślinność. Także barak służący za wieżę służby kierowania lotami nie był odpowiednio zbudowany i wyposażony. Przede wszystkim był za niski, brakowało odpowiednich urządzeń rejestrujących pracę kontrolerów itd.

Wśród wojskowych krążą plotki o wypadku podobnym do katastrofy smoleńskiej około 10 lat temu z udziałem samolotu transportowego Ił-76. Nie udało nam się jej potwierdzić. Ta kwestia też pozostaje pytaniem.

Przygotowanie wizyty prezydenta i wcześniej premiera w Smoleńsku przebiegało rutynowo. Wprawdzie instytucje odpowiedzialne za koordynację działań, przede wszystkim Kancelaria Prezesa Rady Ministrów i Ministerstwo Spraw Zagranicznych, popełniły szereg błędów, ale przebieg wymiany dokumentów związanych z zorganizowaniem pobytu polskich delegacji i uzyskaniem zgody dyplomatycznej na lot do Smoleńska był podobny jak w latach poprzednich. I tu popełniono poważny błąd. Przyjęto za dobrą monetę rosyjską informację, że na lotnisku nic się nie zmieniło. W specpułku były oczywiście karty podejścia z poprzednich wizyt. Uznano więc, że można je zabrać i lecieć.

Tymczasem degradacja lotniska spowodowała, że karta była przynajmniej w połowie nieaktualna. Poza tym dokładniejsza analiza tego dokumentu rodzi dalsze pytania. Przede wszystkim współrzędne geograficzne zostały podane w układzie SK-42, rzadko używanym nawet w Rosji. Długość i szerokość geograficzną można byłoby jakoś przeliczyć do układu WGS-84, ale na kartach nie ma mowy o układzie współrzędnych, więc nikt o tym nie wiedział. Prawdopodobnie to z powodu wpisania do komputera pokładowego danych według złego układu samolot leciał na lewo od osi pasa. Ale dlaczego właściwie Rosjanie tak bardzo to wszystko ukrywali? Przecież zgodzili się na lądowania w Smoleńsku już dawno. Chyba na tym lotnisku nie ma jakiś strategicznych tajemnic? Cóż szkodziło, żeby przekazać pełne i ak-

tualne podręczniki nawigacyjne? Dodajmy, że karta ma też kilka błędów geodezyjnych – niektóre odległości nie współgrają z zapisanymi współrzędnymi punktów, oraz formalnych – brak obowiązkowej daty i numeru strony.

Rosjanie ukryli także dwie inne rzeczy potrzebne lotnikom. Jedna to NOTAM-y, a druga to komunikaty meteorologiczne. NOTAM to mechanizm wymiany informacji o zmianach w warunkach wykonywania lotów. Te, które dotyczą rosyjskich lotnisk wojskowych, nie są jednak upublicznione. Jak się okazuje, 10 kwietnia 2010 roku obowiązywały trzy. Pierwszy mówi o zamknięciu lotniska, drugi o wyłączeniu korytarzy powietrznych do niego prowadzących, a trzeci dotyczy utraty roli lotniska zapasowego dla sąsiednich baz lotniczych. Nie miały one żadnego znaczenia dla lotu polskich samolotów, gdyż lotnisko zostało otwarte w celu wykonania określonych operacji lotniczych 7 i 10 kwietnia. Podobnie sprawa ma się z prognozami pogody. Rosjanie jakby nie zauważyli, że pozwalając latać na swoje lotnisko wojskowe, muszą też nieco uchylić rąbka tajemnicy i udostępnić chociaż konieczne minimum informacji. Okazuje się, że kserokopia karty podejścia sprzed kilku lat to był już szczyt możliwości, a czasowe przekazywanie komunikatów meteorologicznych stronie polskiej już się w tym nie mieściło. Cóż takiego tajnego jest w mapach pogody? Może nie chciano przy okazji ujawnić, że sporządza je tak naprawdę odległa baza w Twerze, a przyrządy do odczytu parametrów meteorologicznych w Smoleńsku są niewystarczające i źle ułożone?

Jak przygotowuje się lot prezydenta?

Rosja wyraźnie zasugerowała polskim władzom, że niezbyt ma ochotę wysłać z polskimi samolotami swojego nawigatora (tzw. lidera). Wewnętrzne przepisy rosyjskie wymagają, aby taki był na pokładzie. Ale rosyjskie MSZ pytało naszą ambasadę, czy „podtrzymujemy zamówienie na lidera”. Gdy załoga zna rosyjski, lider zazwyczaj nie jest potrzebny i jego obecność stanowi raczej dla nas kłopot i koszt, więc specpułk z niego zrezygnował. Potem MAK to wytknął jako zarzut pod jego adresem. Już teraz nie rozstrzygniemy, czy lider pomógłby uniknąć katastrofy. Fakt, że bardzo rzadko znajdował się w samolotach latających do Rosji na lotniska wojskowe, w tym na Siewierny. Skąd jednak taka dwuznaczność w rosyjskim podejściu do tego elementu?

Wciąż niewyjaśnioną kwestią pozostają powody braku na lotnisku funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu. Kilka dni przed wizytami premiera i prezydenta oficerowie podejmowali próbę wejścia na lotnisko. Nie zostali wpuszczeni. Podobno zawińała polska ambasada, która nie przekazała informacji o planowanym rekonesan-

się odpowiednim służbom rosyjskim. Ale BOR nie zrobiło też nic, żeby na Siewierny powrócić. Także w dniu katastrofy zdało się na Rosjan z Federalnej Służby Ochrony. Tylko zatrudniony w Biurze kierowca ambasadora miał wykonać niezbędne czynności, jak sprawdzenie ustawienia kolumny samochodów. Nie wiadomo, czy doszło choćby do tego.

Po kontroli NIK wiadomo, że tak naprawdę nie mamy procedur ani dobrych praktyk organizowania lotów VIP-ów. Pomiędzy KPRM, MSZ, MON i BOR następuje zupełnie nieuporządkowana wymiana dokumentów, nikt nie dba o przestrzeganie terminów, prawidłowe wypełnianie druczków. Czyżby nikomu nie zależało, żeby ten mechanizm był sprawny? Na tym tle specpułk, w którym jednak obowiązują sztywne i surowe zasady przygotowania i prowadzenia lotów HEAD, wypada nie najgorzej. Piszę o tym, ponieważ większość opracowań (w tym oficjalny raport komisji Millera) koncentruje się na problemach 36. SPLT, a szczególnie na niedostatkach systemu szkolenia personelu lotniczego. Zapewne nie wszystko było tam idealne, ale tak naprawdę zarzuty o brak umiejętności pilotów nie potwierdzają się.

W tym kontekście warto wspomnieć o symulatorze, czyli jednym z najważniejszych narzędzi szkoleniowych. Na Okęciu był kiedyś symulator Jak-40, ale popsuł się i go nie naprawiono. Loty na Tu-154M ćwiczone w Moskwie. Odwiedziłem ośrodek szkoleniowy Aeroflotu, w którym jest ten jedyny na świecie symulator Tu-154M. Dlaczego Polska zrezygnowała z korzystania z niego? Powodem mogły być różnice pomiędzy odwzorowanym tam wyposażeniem samolotu a zainstalowanym w maszynach specpułku. Na lotnisku Szeremietiewo mamy do czynienia z oryginalną, rosyjską wersją oprzyrządowania maszyny, a w barwach Rzeczypospolitej latała zupełnie inna. Dokupiliśmy sporo nowoczesnych urządzeń, w tym komputer FMS i system TAWS. Z drugiej strony silniki, sterowanie, cechy aerodynamiczne i większość przyrządów pozostała taka sama i w dalszym ciągu dużo można było przećwiczyć na symulatorze. W tym sytuacji ekstremalnych, awaryjnych. Jednak warunkiem wykorzystywania tej możliwości musiałyby być dobra osłona kontrwywiadowa. Lepiej, żeby pilot, który ma wieść naszego prezydenta czy premiera, nie miał w Moskwie nieodpowiednich kontaktów, na przykład z jakąś atrakcyjną stewardesą Aeroflotu (ćwiczą w tym samym ośrodku ewakuację pasażerów).

Ostatni lot Tu-154 o numerze bocznym 101 został wykonany z takim przygotowaniem, jakie było. Czy strona polska mogła zrobić coś więcej bez interwencji u rosyjskich partnerów? Z pewnością nie popisała się Służba Hydrometeorologii naszych Sił Powietrznych, która miała całkiem trafną, opartą na danych cywilnych, prognozę dla Smoleńska i nie przekazała jej na czas załozde.

Tupolew i „Korsarz” we mgle

A ta pogoda to, jak wiadomo, mgła. Jeden z symboli katastrofy smoleńskiej. Pojawienie się mgły w warunkach, jakie panowały w tej części Rosji, jest zgodne z prawami meteorologii i hipoteza o sztucznej mgle chyba nie ma racji bytu, ale gwoździ ścisłości warto zauważyć, to coś takiego naprawdę istnieje i wojsko bez większych trudności potrafiłoby spowodować zamglenie na tyle duże, że uniemożliwiłoby lądowanie. Mgła była jednak zaskoczeniem także dla Rosjan. Dziwne jest to, że obsługa Siewiernego także nie mogła się doprosić aktualizacji danych przez Twer. Płk Krasnokutski krzyczał do słuchawki i przeklinał, ale bez rezultatu. Synoptyk z Tweru miał inne zdanie o widoczności, niż obserwowali to oficerowie ze Smoleńska. Wyraźnie tylko im zależało, żeby coś zrobić w nowej sytuacji, ostrzec załogę, wysłać samolot na inne lotnisko. Przełożeni w Twerze i Moskwie nie byli tym zainteresowani. Major Kurtiniec z centrum koordynacyjnego „Logika” podejmował jakieś kroki tylko w wyniku nalegań Plusnina i Krasnokutskiego.

To, co działo się na tej „wieży” o kryptonimie „Korsarz” też budzi wiele wątpliwości. W kierowaniu lotami brały udział cztery osoby. Wśród nich wspomniany płk Krasnokutski. Z pewnością nie zajmował żadnego ze stanowisk typowych dla praktyki kontroli lotów, nie miał zresztą żadnych uprawnień z tym związanych. Może więcej dowiedzielibyśmy się na ten temat, gdyby Rosjanie udostępniłi nam instrukcje i regulaminy pracy lotniska. Tak czy inaczej pułkownik w rzeczywistości kierował działaniami Plusnina i Ryżenki, czuł się odpowiedzialny za przebieg operacji lotniczych i przynajmniej na początku starał się pomóc swoim podwładnym, przejmując na siebie kontakty z wyższym dowództwem. Potem jednak wyraźnie udzieliła mu się ogólna nerwowość i raczej przeszkadzał swoją obecnością. Po katastrofie znikł z pola widzenia mediów i śledczych.

Zapisy rozmów na „Korsarzu” dowodzą, że jego stosunek do lotu samolotu z polskim prezydentem zmieniał się. Podczas służby Krasnokutski rozmawiał ze swoim przełożonym, generałem Władimirem Sipko, ale czy tylko o dniu wolnym? Wiadomo, że na dłuższy czas gdzieś wyszedł. Czy w tym czasie dostał jakieś nowe instrukcje? Zapewne udało mu się porozumieć z jakimiś czynnikami decyzyjnymi, bo na uwagę Plusnina, że „na miejscu Moskwy ja bym tu nie gnał”, oznajmia zdecydowanie: „To decyzja międzynarodowego numer jeden. Do 100 metrów, bez dyskusji”. O jakim „międzynarodowym numer jeden” mowa? Dlaczego w końcu tak łatwo przystał na lądowanie polskiego samolotu na zasadzie „sam zdecydował, niech sobie radzi”.

Nim jednak lotnisko zaczęło przyjmować Tu-154M, wylądował tam inny polski samolot, Jak-40, a potem dwa razy próbował wylądować transportowy Il-76. Nie udało mu się. Co gorsza, druga próba zakończyła się odejściem na granicy katastrofy. Ale rodzi się inne pytanie: po co on właściwie leciał do Smoleńska? Powtarza się informacja, że wioził jakieś samochody. Czy chodzi o limuzyny i pojazdy zabezpieczenia prezydenckiej kolumny. Gdyby tak było, to raczej na zasadzie jakiegoś uzupełnienia, bo ładownia iła ma tylko 20 m długości, więc za dużo pojazdów tam się nie da ustawić. Ale przecież w Smoleńsku zostały też samochody po pobycie Tuska i Putina. A może nie? W każdym razie transportowiec swojego zadania nie spełnił i gdzieś odleciał. Najwyraźniej jednak nikomu to nie przeszkadzało, bo nie ma śladów, żeby Rosjanie podejmowali jakieś działania w tej sytuacji. A może rola maszyny z bazy w Taganrogu była zupełnie inna?

Przejdźmy teraz do lądowania Tu-154M z prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie. Centralną tezę oficjalnych raportów jest wina załogi, która miała z powodu złego wyszkolenia popełniać proste błędy i doprowadzić do katastrofy. MAK dodaje do tego kwestię nacisków psychologicznych ze strony gen. Andrzeja Błasika, dowódcy Sił Powietrznych, a może nawet samego „głównego pasażera”. W obecnym stanie wiedzy nic nie wskazuje na to, aby jakakolwiek forma presji na załogę w ogóle zaistniała. Nie ma też żadnego potwierdzenia obecności gen. Błasika. Ale aby być całkowicie uczciwym, zadam i takie pytania: Kto wchodził i po co do kabiny? Czy załoga na jakimkolwiek etapie lotu była namawiana do takiego czy innego prowadzenia operacji lotniczych?

Tak naprawdę prawie każdy lot VIP jest ważny i pilny, a delegacji gdzieś się spieszy. Dyrektor Protokołu Dyplomatycznego Mariusz Kazana zapytał dowódcę o sytuację, otrzymał odpowiedź i przekazał ją prezydentowi. O żadnej awanturze choćby podobnej do tzw. incydentu gruzińskiego nie było mowy. Wtedy zresztą gen. Błasik stanął po stronie załogi, a nawet przekonał po pewnym czasie Lecha Kaczyńskiego do racji pilota. Z drugiej strony wiadomo było, że uroczystości katyńskie to nie wizyta w Mongolii – plan jest napięty, program ważny, wszystkim bardzo zależy. Majorowi Arkadiuszowi Protasiukowi też oczywiście zależało.

Glisada do śmierci

Trudno wskazać jakieś konkretne błędy w pilotażu czy obsłudze samolotu poza złamaniem procedur antyhałasowych na Okęciu (niestety w lotach HEAD rzecz częsta) i nieco spóźnione wejście na ścieżkę podejścia. Zanim jednak przyjrzymy się ostatnim manewrom tupolewa, zwróćmy uwagę na zastosowaną proce-

durę. Podczas konferencji prasowej MAK 12 stycznia 2011 roku kierujący Komisją Techniczną zastępca Anodiny, Aleksiej Morozow stwierdził, że z powodu posiadania przez załogę nieaktualnego planu podejścia załoga lądowała, poruszając się po ścieżce nachylonej do powierzchni ziemi pod kątem 3 st. zamiast 2 st. 40 minut. Opublikowany następnie raport MAK sugeruje nieściśłość dokładnie odwrotną, wskazując na 3 st. jako prawidłowy kąt nachylenia, według którego miał pracować również radiolokator na lotnisku Siewiernyj. W innym miejscu autorzy raportu używają do obliczeń kąta 3 st. 10 min albo 3 st. 12 minut. „W tekście Raportu różne kąty nachylenia ścieżki zniżania przywoływane są w zależności od potrzeby prowadzącego analizę, co sprawia wrażenie, jakby dobór ścieżki podyktowany był potrzebą udowodnienia, że na ekranie radiolokatora znacznik samolotu zawsze był na ścieżce” – trafnie komentują te rozbieżności polscy specjaliści w „Uwagach...” do raportu MAK.

Zostawmy jednak Morozowa i jego ekwilibrystykę, żeby zadać pytanie o przyczynę braku reakcji obsługującego radiolokator mjr. Ryżenki na odchylenia samolotu. Przede wszystkim oficer wszystkie odległości podawał zbyt wcześnie (ponad pół kilometra), za każdym razem dodając „na kursie, na ścieżce”, podczas gdy samolot nie był ani na kursie (bo zbaczał w lewo), ani na ścieżce. Może radiolokator działał źle, może Rosjanin widział odchylenia, ale z jakiegoś powodu nie reagował. Rejestracja ekranu radiolokatora na kamerze wideo podobno przypadkiem nie działała. Stronie polskiej nie udostępniono taśmy. Jednak w zacięciu taśmy nie wierzy nawet Edmund Klich.

Tu-154M wszedł na ostatnią prostą około 3 minut przed katastrofą. Wtedy zakończył się czwarty i ostatni zakręt w serii manewrów wykonywanych zgodnie z kartą podejścia przed lądowaniem. Miejsce to położone jest ok. 18 km przed progiem pasa, a jego współrzędne zostały wprowadzone do komputera pokładowego. Podobnie jak pozycja dalszej radiolaterni i środka pasa. Wyświetlacz komputera FMS pokazywał odległość do tych punktów w milach morskich (1 mila to 1852 metry). Przez cały czas włączony był pilot automatyczny, a komputer FMS przekazywał mu dane potrzebne do nawigacji „podłużnej”, czyli bez uwzględnienia położenia samolotu w pionie. Zniżanie też było zautomatyzowane. Pokrętko na panelu PN-5 pozwala na ustalenie stałej prędkości pionowej, obserwowanej na przyrządzie zwanym wariometrem.

A zatem kurs samolotu był utrzymywany automatycznie w kierunku pasa, przy czym z powodu wspomnianej już różnicy w układach współrzędnych doszło do odchylenia o 116 metrów na południe, czyli z punktu widzenia samolotu na lewo. Korekty tego błędu można by dokonać dzięki namierzaniu radiolatar-

ni, szczególnie bliższej, ale ta działała tak niestabilnie, że dowódca z tego zrezygnował. Wiemy, że dzięki automatowi ciągu samolot przez cały czas utrzymywał odpowiednią dla lądowania prędkość 270 km/h. W czasie manewrów wiatr był bardzo słaby (gdyby wzmógł się, rozwiałyby mgłę). Co więcej, wiał z południa, czyli z boku, a więc nie hamował ani nie „popychał” samolotu. Wszystko wskazuje na to, że załoga miała wszystkie narzędzia, żeby prawidłowo określić swoje położenie i sterować w kierunku progu pasa. Nie ma też śladów, aby lotnicy pomylili sobie wysokościomierze albo nie umieli ich ustawić. Wiele szczegółów związanych z tym etapem lotu pozostaje jednak niewyjaśnionych. Czy załoga ufała słowom kierownika strefy lądowania i podawane przez niego odległości traktowała jako pewne, czy też korzystała z innych źródeł: obliczeń FMS lub dalmierza DME? Ma to istotne znaczenie ze względu na rozbieżności pomiędzy słowami Ryżenki a rzeczywistością, którą lepiej jednak oddawał komputer. Dzięki automatycznej kontroli zniżania i wariometrowi samolot zniżał się bardzo równomiernie aż do miejsca, w którym „nadrobił” opóźnione wejście na ścieżkę. Wtedy (zapewne także pokrętem w panelu PN-5) zmniejszono prędkość zniżania, który to efekt wyraźnie został osiągnięty. Wkrótce jednak samolot osiąga wysokość decyzji – 100 metrów, i pada komenda „odchodzimy”, powtórzona przez drugiego pilota.

Brzoza i „uchod”

I tu zaczynają się dziać rzeczy, których nie potrafię sobie wytłumaczyć. Przede wszystkim kiedy dowódca podaje tę komendę, wysokość zaczyna ponownie spadać. Wbrew temu, co sugeruje komisja Millera, nie może chodzić tu tylko o obserwację radiowysokościomierza zamiast wysokościomierza barycznego, bo wskazanie na obu gwałtownie spada. A przede wszystkim na wariometrze pojawia się znowu zniżanie, i to ponad 16 m/s. Tymczasem autopilot ciągle działał. Czy dowódca znowu użył pokrętki regulującej prędkość pionową? Trudno to byłoby pogodzić z wyraźnym zamiarem odchodzenia. Zresztą pilot sięgał raczej już do przycisku „uchod”, a nie do panelu autopilota. Co zatem spowodowało nagłe zniżenie, którego już nic nie zatrzymało, aż do zniszczenia maszyny? Zdaniem komisji Millera samolot zniża się, bo pilot myśli, że leci prosto, a zmyla go radiowysokościomierz. Rzeczywiście przez jakiś czas wysokość radiowa jest stała, ale przecież samolot już raz zatrzymany na określonej wysokości nie zniża się sam. Coś musiało go skierować w dół. Czy któryś z przyrządów był uszkodzony? Rosjanie (częściowo przy udziale Polaków) badali to w instytucie w Lubiercach. Ale może czegoś nie zauważono? Czy załoga widziała na wskaźnikach w kokpicie te same parametry, które zostały zapisane w rejestratorach katastroficznych? Z powodu drobnej wady, np. wariometru, mogło dojść do zasadni-

czego zmylenia załogi co do położenia i dynamiki samolotu. Oczywiście nie wiemy, czy tak się stało, ale tylko rzetelne badania (wzorowane na standardach międzynarodowych), a nie domysły polskiej komisji, mogą zbliżyć nas do pewności w tej sprawie.

Problemem jest też niezadziałanie przycisku „uchod”. Być może, jak twierdzą eksperci komisji Millera, Protasiuk nie nacisnął innych przycisków, koniecznych, żeby do „odejścia w automacie” doszło, ale nie można także wykluczyć fizycznego uszkodzenia przycisku albo któregoś z jego połączeń elektrycznych. Nie mniej ważne są także pozostałe przyciski, przełączniki, pokręta i suwaki pozwalające stwierdzić, jaka naprawdę była konfiguracja samolotu podczas krytycznych manewrów.

Pozostaje nam jeszcze przemyśleć zdarzenia z ostatnich sekund lotu, kiedy to „uchod” nie zadziałał, a samolot był bardzo nisko. Według oficjalnych danych lewe skrzydło ścięło brzozę i częściowo odłamało się. Następnie samolot miałby jednak unieść się na ok. 20 metrów i wykonać półboczki zakończoną zderzeniem z ziemią. Rozmawiałem z członkami komisji Millera. Wszyscy wyrażają pewność, że tak musiało być. Jednak niezależne próby odtworzenia tych dramatycznych chwil nie potwierdzają takiego przebiegu katastrofy. Brzoza ścinająca skrzydło i półboczka wynikają z zapisów rejestratora parametrów lotu FDR. Fizyk z Baltimore Kazimierz Nowaczyk wolał jednak oprzeć się na zapisach amerykańskiego systemu TAWS, którego pamięć przetrwała katastrofę. Wyniki jego obliczeń wskazują na zupełnie inny przebieg wypadków. Według niego samolot leciał znacznie wyżej i gwałtowne zniżanie rozpoczęło się później, po serii „wstrząsów”. A więc do zderzenia z brzozą w ogóle nie doszło. Inny amerykański fizyk polskiego pochodzenia, specjalista w zakresie badań wytrzymałościowych materiałów używanych w lotnictwie i kosmonautyce Wiesław Binienda twierdzi, że odcięcie skrzydła przez brzozę jest niemożliwe.

Dodajmy, że sam rozmawiałem z właścicielem działki, na której rośnie sławna brzoza, lek. Nikolażem Bodinem. Twierdzi, że widział ścięcie brzozy przez skrzydło. Ale jest pewien, że samolot poleciał dalej bez uszkodzeń. Komu wierzyć?!

Niestety ani MAK, ani komisja Millera nie zdecydowały się na wykonanie symulacji komputerowych ostatniej fazy lotu. Jest to rzeczywiście kosztowne i długotrwałe. Sądzę, że warto jednak to zrobić, nawet teraz, już po opublikowaniu oficjalnych raportów. Wyniki rzuciłyby nowe światło na możliwość wzlotu samolotu z urwaną trzecią częścią jednego skrzydła i wykonania w ostatniej chwili półboczki. Być może na niektóre ze stawianych pytań nigdy nie znajdziemy odpowiedzi, a może wręcz przeciwnie. Na orbicie ziemi latają wszak satelity szpiegowskie i inne. Może coś kiedyś stamtąd wycieknie?

Miejsce tragedii

Akcja ratunkowa rozpoczęła się zdecydowanie zbyt późno. Oficerowie na „Korsarzu” chyba nie mogli uwierzyć, że samolot naprawdę się rozbił. W końcu zaczęły przyjeżdżać wozy straży pożarnej i inne służby, pojawili się prokuratorzy, specjaliści medycyny sądowej, teren otoczono kordonem żołnierzy (okazuje się, że zamiast pilnować miejsca tragedii, okradali zwłoki ofiar). Ale pierwsze chwile nie są wciąż jasne. Nie chcę tu oceniać znajdujących się w Internecie filmów z wystrzałami i jakimiś słowami. Były one i są badane przez specjalistów i jak dotąd niewiele z tego wynika. Zwraca jednak uwagę pewność wszystkich rosyjskich świadków tych wydarzeń, że „żywych na pewno nie ma”. Ograniczono się więc do poszukiwania umarłych. Początkowo Rosjanie zabrali się do pracy przy wraku bardzo poważnie. Teren podzielono na sektory, zaczęto je przeszukiwać, wszystko dokumentując. Ciała były składane w oddzielnych miejscach. Wkrótce pojawili się członkowie delegacji, która miała witać prezydenta (przede wszystkim dyplomaci z Moskwy), a po jakimś czasie także uczestnicy uroczystości w Katyniu. Zidentyfikowano nieoficjalnie pierwsze ofiary.

Dopiero potem zachowanie służb rosyjskich zaczęło się zmieniać, a prace ekip Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych (MCzS) sprowadziły się do systematycznego niszczenia wraku. Ostatecznie przeniesiono go na plac odległy ponad kilometr od miejsca katastrofy, gdzie leży do dzisiaj. Dlaczego nie wybrano do tego celu któregoś z hangarów sąsiednich zakładów lotniczych? Dlaczego nie zrobiono niczego, by lepiej go zabezpieczyć? Także teren pozostawiono w stanie skandalicznym. Twierdzenia ówczesnej minister zdrowia Ewy Kopacz o przekopywaniu na głębokość ponad metra niestety są tylko ubarwieniem przemówienia w Sejmie. Długo po katastrofie można było odnaleźć w okolicach części samolotu, ubrań, a nawet ciał. Ostatnio okazało się, że niektórzy okoliczni mieszkańcy mają całe kolekcje pozostałości po tupolewie.

Domysłem graniczącym z pewnością jest natomiast, że aktywnie na miejscu zdarzenia działały służby specjalne. Choćby po drobnym fakcie. Gdy przybyły na miejsce Jarosław Kaczyński rozpoznał brata, do protokołu wpisano dwa nazwiska tzw. osób przybranych do czynności. Próbowałem odnaleźć je później. Jedna z nich pod podanym adresem jest nieznaną. Drugi adres to jednostka do zadań szczególnych MCzS. Oba nazwiska brzmią sztucznie.

Nie wiemy też, czy prawdą jest doniesienie, że funkcjonariusze BOR chcieli strzec ciała prezydenta oraz że Rosjanie im to uniemożliwili. Kiedy jednak Jarosław Kaczyński chciał jak najszybciej zabrać ciało brata do Polski, okazało się, że jest jeszcze jedna czynność do wykonania. Premier Putin stwierdził, że konieczna jest sekcja

zwłok. Może to była zemsta za to, że pogrążony w żałobie były premier nie chciał się z nim przywitać? W każdym razie do sekcji doszło w nocy z 10 na 11 kwietnia. Przeprowadzał ją miejscowy ekspert medycyny sądowej Michał Maksymienkow w towarzystwie kilku specjalistów rosyjskich ze Smoleńska i z Moskwy. Obecny był też polski konsul Michał Greczyło i naczelny prokurator wojskowy Krzysztof Parulski (wtedy pułkownik). Zabrakło jakiegokolwiek specjalisty polskiego. Co więcej, Parulski chyba nie wytrzymał napięcia i widoku, i trudno powiedzieć, że uczestniczył w sekcji. Byłem w obskurnym gmachu, w którym się to działo, rozmawiałem z Maksymienkowem, widziałem zdjęcia dokumentujące procedurę. Okazuje się, że ciało prezydenta było nagie, jedynie w krawacie. Nogi i jedna ręka były odcięte. Okazuje się, że jedna z nóg nie należała do prezydenta – był na niej lampas generalski. Potem dokonano zamiany. Pisanie i myślenie na ten temat jest bardzo przykre. – To było dla mnie bardzo upokarzające. Miałem wrażenie, że sposób potraktowania ciała prezydenta był też jakąś formą upokorzenia całego państwa polskiego. Nie sposób było nie odnieść dokładnie takiego wrażenia. Wyszliśmy z tego morgu [kostnicy] przygnębieni, ciężko było się otrząsnąć po tym, co zobaczyłem. I samo to miejsce, obskurny barak na obrzeżach Smoleńska... Nie rozumiem, jak strona polska mogła się zgodzić na sekcję ciała prezydenta w takich makabrycznych warunkach – wspominał to później towarzyszący mi fotograf Marek Borawski.

A pozostałe ciała? Wszystkie przewieziono do Moskwy. Tamtejsze biuro ekspertyz medycyny sądowej nie jest wprawdzie marmurowym pałacem, jaki rzekomo widziała minister Ewa Kopacz, ale to obiekt nowoczesny z licznym, fachowym personelem. Jego dyrektor, prof. Władimir Żarow jest człowiekiem bardzo uporządkowanym, wręcz pedantem. Chętnie opowiada o zagadkach kryminalnych, które pomogli rozwikłać jego eksperci. Jeden z jego współpracowników chwalił mi się, że wyjął kulę z ciała Anny Politkowskiej. Ale identyfikacje i sekcje zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej im nie wyszły. Okazuje się, że protokoły zawierają dane medyczne zupełnie innych osób. A może wręcz fikcyjne? Podobno w procedurach uczestniczyli polscy lekarze patomorfologów (tak mówiła minister Kopacz i jeszcze zapewniała o doskonałej współpracy obu stron), prokuratorzy, konsule. Skąd więc te wszystkie błędy? Wszystko wskazuje na to, że polskich ekspertów w ogóle tam nie było. A urzędnicy konsulatu nie radzili sobie z bałaganem. Trumny wróciły do Polski z pieczęciami i zakazem otwierania. Nasze władze zakaz wypełniły sumiennie... W Polsce nie wykonano żadnych badań ciał ofiar. Wspomnienia uczestników okazań w celu identyfikacji ciał także, gdyby nie ponura treść, można by nazwać komedią pomyłek. Chyba dałoby się to wszystko przeprowadzić rzetelnie? Obecnie, prawie po dwóch latach, pro-

kuratura z jakiegoś powodu zaczęła prowadzić ekshumacje. Tych ofiar, których bliscy się tego od dawna bezskutecznie domagają (np. Przemysława Gosiewskiego), jak i tych, których rodziny protestują (np. Janusza Kurtyki).

Niektóre ekspertyzy robione wtedy w Moskwie znacznie wykraczały poza badania genetyczno-molekularne prowadzone w związku z identyfikacją. Już wtedy ktoś musiał zwrócić uwagę na zwłoki gen. Andrzeja Błasika. Anonimowa opinia eksperta numer 37 obejmuje analizę krwi i ułożenia ciała. Potem jeszcze badał je Instytut Medycyny Wojskowej. To na ich wnioski powołuje się MAK, dowodząc, że generał był w kabinie. Rozmawiałem z polskimi specjalistami w tej dziedzinie. Bardzo sceptycznie podchodzą do metod opisanych w wielostronicowych załącznikach do raportu MAK.

Badacze i ich komisje

Żeby jednak dokładnie wyjaśnić, jak Błasika wplątano w wydanie polecenia wykonania samobójczego lotu (tak mniej więcej opisała to Tatiana Anodina), trzeba się cofnąć do 10 kwietnia. W tym miejscu wspomnieć trzeba o płk. Edmundzie Klichu i jego współpracownikach z Moskwy oraz o komisji Millera.

Aspekty prawne badania katastrof lotniczych są bardzo skomplikowane. W skrócie wygląda to tak, że lotnictwo dzieli się na dwie grupy: cywilne i państwowe (wojskowe, policyjne, ratownicze itp.). W Polsce i Rosji, tak jak w innych krajach, funkcjonują dwa oddzielne systemy badania zdarzeń lotniczych w każdej z nich. W przypadku lotnictwa państwowego zajmuje się tym w Polsce Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego (KBWLLP) powoływana ad hoc do każdego wypadku, przy czym zapleczem organizacyjnym, technicznym i kadrowym jest dla niej Inspektorat Ministerstwa Obrony Narodowej do spraw Bezpieczeństwa Lotów. Kieruje nim płk Mirosław Grochowski. Zdarzeniami w obszarze lotnictwa cywilnego zajmuje się Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych (PKBWL) działająca przy ministerstwie odpowiedzialnym za transport (w 2010 roku w Ministerstwie Infrastruktury). Na jej czele (do 9 lutego 2012 roku) stał Edmund Klich. Oba zespoły blisko współpracują, a Klich, były pilot wojskowy, przez jakiś czas kierował wspomnianym Inspektoratem.

Każda z tych instytucji ma jednak własne zasady postępowania i przepisy. Kiedy zdarzenie w lotnictwie cywilnym ma miejsce za granicą, badanie prowadzi miejscowy odpowiednik PKBWL, przy czym jego zasady (w tym współpracę między

państwami) reguluje konwencja chicagowska, a dokładnie jej załącznik 13. W przypadku lotnictwa państwowego zamiast konwencji stosuje się dwustronne porozumienia międzynarodowe. Takie też zawarliśmy z Rosją w 1993 roku. Przewiduje ono wspólne badanie wypadków. W Federacji Rosyjskiej odpowiednikiem Inspektoratu MON ds. Bezpieczeństwa Lotów jest Służba Bezpieczeństwa Lotów Lotnictwa Sił Zbrojnych z gen. Siergiejem Bajnietowem na czele, zaś jako odpowiednik PKBWL działa Międzypaństwowy Komitet Lotniczy (MAK).

MAK to instytucja sama w sobie bardzo intrygująca i tajemnicza zarazem. Powstał podczas rozpadu ZSRR, przejmując na terenie powstającej Wspólnoty Niepodległych Państw większość kompetencji sowieckiego ministerstwa lotnictwa cywilnego, w tym badanie wypadków lotniczych i certyfikację lotnisk, samolotów itp. W praktyce wpływy Komitetu i jego przewodniczącej Tatiany Anodiny są ogromne, MAK zaś cieszy się jako formalnie organizacja międzynarodowa bardzo dużą niezależnością. Katastrofa smoleńska to jednak wypadek lotnictwa państwowego. MAK nie powinien mieć więc z nią nic wspólnego. Badaniem powinien zająć się rosyjski odpowiednik KBWLLP, przy czym, aby uczynić zadość wymogowi „wspólnego badania”, w jego skład powinni wejść przedstawiciele Polski. Tak też początkowo się działo, ale o katastrofie oczywiście zaraz dowiedzieli się również „cywile” z MAK. I odtąd wszystko zaczęło dziać się wbrew opisanym zasadom.

Co prawda na miejsce katastrofy zaraz udali się przedstawiciele Służby Bezpieczeństwa Lotów, ale zanim skontaktowali się ze swoimi polskimi odpowiednikami, Aleksiej Morozow, zastępca przewodniczącej MAK, zdążył zadzwonić do Edmunda Klicha. Obaj uzgodnili, że Klich przyjedzie zaraz do Smoleńska. Pojawili się tam wkrótce Anodina i Morozow. Później Morozow obiecywał Klichowi, że zostanie oficjalnym przedstawicielem Polski – tzw. akredytowanym. Jak do tego doszło? To też jest tajemnica.

Początkowo w Smoleńsku wyraźnie dominują wojskowi, to znaczy gen. Bajnietow i płk Grochowski, a Morozow i Klich występują jako ich zastępcy. Ale 13 kwietnia podczas narady u premiera Putina jako instytucja badająca katastrofę wymieniony jest MAK i to jemu państwo rosyjskie zleca badanie katastrofy, zaś Morozow staje na czele komisji ekspertów. Podstawą ma być jednak załącznik 13 do konwencji chicagowskiej. Edmund Klich rzeczywiście zostaje mianowany przez polskiego ministra obrony akredytowanym. Jednocześnie Polska powołuje własną KBWLLP. Na jej czele przez kilka dni również stoi Edmund Klich, ale wkrótce tę funkcję przejmuje minister spraw wewnętrznych i administracji Jerzy Miller i odtąd wszyscy mówią o komisji Millera. Dlaczego jednak MAK zależało na przejęciu badania? Co

działo się w ciągu trzech pierwszych dni po katastrofie w Moskwie i Smoleńsku, że wojskowi zostali wyraźnie wyparci? Czy Morozow wykorzystał osobiste ambicje Edmunda Klicha? Ten ostatni to postać niezwykle barwna i bardzo kontrowersyjna. Jest znany jako człowiek trudny we współżyciu, intrygant. Wiele swoich rozmów potajemnie nagrywał. W tym z ministrem obrony narodowej Bogdanem Klichem (zbieżność nazwisk przypadkowa).

Klich wykorzystał fakt, że w Smoleńsku znalazł się jako pierwszy, to znaczy przed Grochowskim. Zaraz zaczął wydawać polecenia Polakom i prowadzić uzgodnienia z Rosjanami. Właściwie tylko na krótki czas oddał kierownictwo wojskowym. A Rosjanie początkowo zachowywali wszelkie reguły poprawnej współpracy. Zapytano o możliwość wydobycia czarnych skrzynek. Klich dość samowolnie na to przystał i pojechały one do Moskwy.

Co się z nimi działo? Czy nie doszło do żadnej interwencji lub manipulacji? Z pewnością jednym wielkim błędem był proces odczytu i identyfikacji zapisów rejestratora głosu CVR. Dokonywali ich trzej Polacy w zwykłym pomieszczeniu biurowym. Czyżby MAK nie dysponował odpowiednim laboratorium akustycznym? Nad nagraniami pracowali Waldemar Targalski z PKBWL, były pilot specpułku, ppłk Sławomir Michalak z Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych i ppłk Zbigniew Rzepa z Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Głosy pilotów przez pewien czas pomagał identyfikować ppłk Bartosz Stroiński ze specpułku.

Oczywiście odczyt dokonany przez tę grupę jest pełen błędów. Jak to się stało, że pewną frazę przypisano generałowi Błasikowi? To jedna z tajemnic kwietnia 2010 roku. Właściwie wszyscy tego się wypierają. Stroiński pamięta, że Michalak określił te słowa jako już rozpoznane. Sam Michalak nie chce rozmawiać, podobnie Targalski. Rzepa twierdzi, że był w Moskwie krótko i niewiele wie. W tym samym czasie w Moskwie przebywali inni tzw. współpracownicy akredytowanego. Częściowo należący także do komisji Millera (co samo w sobie jest nieprawidłowością). Podobno to ktoś z nich rozpoznał Błasika. Ale kto i dlaczego? Czy tę pomyłkę mogli zasugerować Rosjanie?

To nie wszystkie pytania. Michalak, ppłk Janusz Niczuj i ppłk Dariusz Majewski uczestniczyli w badaniach przyrządów pokładowych w 13. Państwowym Instytucie Naukowo-Badawczym Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej w podmoskiewskich Lubiercach. Ekspertyzy wykonywano na wniosek strony polskiej. Uczestniczyli w badaniach zaledwie przez kilka dni, choć analizy trwały miesiąc. – Jedno mi się tylko nie podobało – wspomina Michalak. – Skończyliśmy badania. Mieli-

śmy obiecaną dyskusję ze specjalistami z Lubierców. I do niej nie doszło. Nie wiem, dlaczego. Kilkakrotnie pytałem, kiedy możemy się spotkać. Ale nic z tego nie wyszło. Protokół badań bez podpisów Polaków został przekazany stronie polskiej i stanowi załącznik do protokołu komisji Millera. Nie został przetłumaczony z rosyjskiego. MAK w ogóle nie wyraził zainteresowania tym dokumentem.

Klich przyznaje, że podczas badania MAK doszło do wielu poważnych naruszeń. Polacy nie uczestniczyli w oblotach kontrolnych lotniska. Nie udało się wykonać wszystkich badań wraku. Częściowo to wina samego akredytowanego, który ponoć bez uzgodnienia wyjechał ze Smoleńska na kilka dni do Polski. Nie są znane opinie publicznej badania systemów TAWS i FMS prowadzone przez ich producenta w USA.

Kiedy MAK kończył swoje badania i przygotował już raport, zgodnie z zasadami załącznika 13 przekazał go poufnie Polsce. Mieliśmy możliwość zgłoszenia własnych uwag. Rzeczywiście nasi eksperci wytknęli niezliczone błędy, braki i ogólną tendencyjność projektowi raportu. Jednak Rosjanie uwzględnili tylko nieliczne uwagi Polski. Opublikowany 12 stycznia 2011 roku dokument prawie nie różni się od pierwotnej wersji. Czyżby MAK nie wyobrażał sobie, że może go ktoś pouczać?

Stajemy do Raportu

Konferencja prasowa zorganizowana przez MAK zostanie zapamiętana na długo. Mowa była o naciskach na załogę i „pijanym generale” Błasiku. Profesjonalna agencja konsultingu politycznego i public relations Nikkolo M (sic!) doradzała MAK podczas jej organizacji. Szefostwo Komitetu zdawało więc sobie sprawę z odbioru i wrażenia, jakie zrobią prezentowane rewelacje w Polsce i na świecie. Skąd taka strategia? Czy była uzgodniona z jakimiś czynnikami politycznymi? Przecież stosunki polsko-rosyjskie miały się ponoć dobrze. Dlaczego posunięto się nawet do odtworzenia nagrania ostatnich sekund relacjonujących de facto śmierć załogi?

MAK w swoim raporcie stawia tezę, że zejście poniżej wysokości 100 metrów było świadomie, a załoga po prostu chciała za wszelką cenę wylądować ze względu na presję dowódcy Sił Powietrznych i prezydenta. MAK nie przyjmuje do wiadomości polecenia „odchodzimy” ani wyraźnych zapisów, że dowódca miał inne plany. Swój scenariusz mjr Arkadiusz Protasiuk przedstawił dyrektorowi Mariuszowi Kazanie: „Możemy pół godziny powisieć. I odchodzimy na zapasowe”. To samo powie-

dział Plusninowi: „Jeśli da się, to spróbujemy podejść, a jak nie będzie pogody, odejdziemy na drugi krąg”. MAK nie analizował dokładnie fazy lotu po osiągnięciu wysokości 100 metrów, twierdząc, że po tym momencie i tak było już za późno na cokolwiek.

Dopiero po kilku dniach na raport MAK zareagowała komisja Millera. Pokazano pominięte przez Rosjan błędy kontroli lotów i fragmenty rozmów Plusnina, Ryżenki i Krasnokutskiego. Reakcją MAK było opublikowanie całości zapisów z „wizy”. Jednak na raport polskiej komisji musieliśmy poczekać do 29 lipca. Tak naprawdę nie różni się on znacznie od dokumentu MAK, chociaż jest zdecydowanie bardziej rzetelny w części lotniczej. Przeanalizowano ostatnią fazę lotu i dokładniej wyrysowano jego trajektorię, ale tylko w oparciu o dane rejestratorów. Znaczna część raportu poświęcona jest szkoleniom lotniczym w specpułku. Analizowano je, sięgając wiele lat wstecz, z wyraźnym zamiarem skierowania uwagi na pilotów i ich błędy. Dlaczego? Jakie były przyczyny, że komisja do pewnych słów odczytanych przez Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Komendy Głównej Policji oznaczonych jako niezidentyfikowane dopisała, że wypowiedział je Błasik. Czy tylko dlatego, że podobnie ustalili Rosjanie? Też nie do końca, bo chodzi również o inne słowa. Ale to są szczegóły. Komisja Millera po prostu potwierdziła obecność generała. Tak przedstawiły to media i zapamiętała opinia publiczna.

Istnieje też trzecie odczytanie rejestratora głosu. Wykonał je renomowany Instytut Ekspertyz Sądowych im. Jana Sehna w Krakowie na zlecenie prokuratury. Jest najdokładniejsze i zawiera najwięcej odczytanych fraz, ale niekiedy zasadniczo zmienia ustalenia dwóch pierwszych. Eksperci Instytutu w ogóle nie wykryli głosu gen. Błasika. Z tej transkrypcji wiemy, że przypisywane mu wcześniej odczyty wysokości wypowiada drugi pilot ppłk Robert Grzywina. Rzutuje to istotnie na interpretację pracy załogi. Oznacza ni mniej, ni więcej, tylko to, że piloci dobrze znali swoją wysokość. Nie ma więc mowy o „szkolnym błędzie” pomylenia wysokościomierza, do czego przekonywała komisja Millera.

Obecnie poza prokuraturą badania prowadzi też rosyjski Komitet Śledczy. Można się spodziewać, że pójdzie w tą samą stronę co MAK i komisja Millera. Już teraz wnioski o pomoc prawną koncentrują się na kwestiach szkolenia pilotów specpułku. W dyspozycji Komitetu pozostaje też wrak, niedawno przykryty prowizoryczną wiatą. Dlaczego Rosjanie wciąż nie chcą go zwrócić? Współpraca obu organów śledczych oficjalnie jest znakomita, ale nie wiadomo, skąd taki bałagan we wnioskach o pomoc prawną, że prokurator generalny Andrzej Seremet uzgodnił z Rosjanami wspólną inwentaryzację przekazanych materiałów.

Pierwsza hipoteza geopolityczna - START

Pozostaje na koniec przyjrzeć się bardziej odległym, politycznym skutkom katastrofy i zadać kolejne pytania z nimi związane. Przede wszystkim w oficjalnej narracji obu stron padły zapewnienia o przełomie w stosunkach i pojednaniu polsko-rosyjskim. Tak naprawdę w tym kierunku szła polityka rządu Donalda Tuska zaraz po objęciu przez niego władzy w listopadzie 2007 roku. Ukoronowaniem tej bezprecedensowej poprawy stosunków była wizyta prezydenta Dmitrija Miedwiediewa w Polsce 6 grudnia 2010 roku. Ale dwa tygodnie wcześniej wydarzyło się coś jeszcze ważniejszego z punktu widzenia Kremla. Przed szczytem NATO w Lizbonie, który odbył się 19-20 listopada, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski zasugerował możliwość poparcia przez Polskę układu START, porozumienia o redukcji strategicznych potencjałów wojskowych Rosji i USA. Mowa o tzw. nowym START w miejsce „pierwszego”, który wygasł w grudniu 2009 roku. Nowy układ podpisano w Pradze 8 kwietnia 2010 roku. Oczekiwał na ratyfikację, ale w USA spotkał się z ogromną krytyką. Wielu ekspertów mówiło o „rozbrojeniu Ameryki”. Sally McNamee z Heritage Foundation tłumaczyła to tak: „Ten układ praktycznie pozbawia nas środków do budowy tarczy antyrakietowej na taką skalę, jak tego potrzebują nasi europejscy sojusznicy. Przyszła tarcza antyrakietowa staje się w tym momencie opcją odsuniętą. Dysponujemy udostępnionymi przez administrację zapisami z przebiegu negocjacji i wiemy, co ustalono w ich trakcie. Głosujący nad ratyfikacją być może nie do końca zdają sobie z tego sprawę, ale START jak najbardziej dotyczy tarczy antyrakietowej, gdyż sygnatariusze tak to ustalili”. A tarcza antyrakietowa to obecnie priorytet dla strategii obronnej naszego regionu.

Komu jak komu, ale Polsce powinno na niej zależeć, a zatem na START Warszawa musiała patrzeć podejrzliwie. Tymczasem w Lizbonie Bronisław Komorowski otrzymał od Baracka Obamy niespodziewane zaproszenie do Waszyngtonu. Pojechał tam dwa dni po spotkaniu z Miedwiediewem i w Białym Domu głośno powiedział, że Polsce odpowiada kształt traktatu START i zachęca Kongres do jego ratyfikacji. – „I po to była ta wizyta właściwie zaimprovizowana – mówi McNamee – Poparcie dla START ze strony przedstawiciela Polski było bardzo ważne dla Obamy. A Komorowski może pochwalić się sukcesem. Miał kilka oficjalnych spotkań, mieszkał w Blair House [rezydencji dla najważniejszych gości amerykańskiego prezydenta], wszystko wyglądało bardzo ładnie, wspomniano nawet o zniesieniu wiz dla Polaków. A administracja uzyskała atut umożliwiający przekonanie części Republikanów do ratyfikacji START. I przy okazji „przetestowała” gotowość do współpracy nowego polskiego prezydenta. Jeżeli START jest kosztem polityki „resetu” [odnowy relacji Rosja – USA], to ten koszt ponosi głównie Euro-

pa Środkowa. Skoro jednak głosem prezydenta Polski wyrażona została zgoda na takie rozwiązanie, to droga do jego przyjęcia jest otwarta. Nie wiem tylko, skąd ten entuzjazm Bronisława Komorowskiego dla START. Moim zdaniem, układ ten jest szkodliwy dla Polski jeszcze bardziej niż dla Ameryki i krok waszego prezydenta to wielka pomyłka” – mówiła amerykańska ekspert. I rzeczywiście Senat przegłosował ratyfikację jeszcze w tym samym roku, 22 grudnia. Z pewnością głos Komorowskiego miał wpływ na amerykańskich polityków. – „Polacy są uważani za nieracjonalnych rusofobów. Kiedy więc Polacy ustami swojego nowego prezydenta mówią, że układ START jest dobry, to znaczy, że jest dobry. To pomoże więc w jego ratyfikacji w Kongresie. To jest główny powód tej wizyty z punktu widzenia administracji Obamy” – komentuje profesor Marek Chodakiewicz z Institute of World Politics.

Mamy więc od katastrofy na Siewiernym łańcuch okoliczności prowadzących do oczekiwanego przez Rosję rozwiązania w Kapitolu. Jest oczywiste, że na taki krok nie zdecydowałby się Lech Kaczyński. – „Na czele Polski stała pierwsza generacja, która odrzuciła zdecydowanie rosyjski imperializm i negocjowała powrót do Zachodu, czyniąc z tego zadania podstawę polityki obronnej, działań wywiadowczych i uzgodnień dyplomatycznych. Gdyby zostało to przyjęte przez Zachód, jak to było w zamiarach, to Polska mogłaby się stać podstawą budowy „nowej” Europy Wschodniej, mocno związanej z Zachodem” – ocenia gen. Walter Jajko z Amerykańskich Sił Powietrznych.

Takie postawienie sprawy oczywiście skłania ku hipotezie o celowej rosyjskiej winie i sprawstwie katastrofy. Tak sądzi na przykład Eugene Poteat, prezes amerykańskiego Stowarzyszenia Byłych Oficerów Wywiadu: – „Widzę po prostu motyw. Wierzę, że przynajmniej dwa są istotne. Po pierwsze, Rosjanie mogli się obawiać złego wrażenia wobec opinii światowej, jakie mogło powstać, gdyby odbyła się ceremonia z udziałem prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Katyniu. Mieliśmy okrągłą rocznicę mordów i o Katyniu mogło znowu być głośno. Po drugie, zależało im, aby odwrócić Polskę od NATO i osadzić w niej prorosyjską władzę, do czego w końcu tak naprawdę doszło. Powtórzę: Rosja realnie skorzystała na tej katastrofie. Ceremonia w Katyniu się nie odbyła, w Warszawie rządzą ludzie dobrze widziani na Kremlu, mówiący o pojednaniu, odtworzeniu dobrych stosunków (tak jak u nas o „resecie”) i jeszcze Polska poparła START. Może tego nie widać na pierwszy rzut oka, ale NATO straciło jednego z najsilniejszych sojuszników” – powiedział mi w Waszyngtonie. Oba wywiady z amerykańskimi ekspertami polityki obronnej i bezpieczeństwa dostępne w archiwum „Naszego Dziennika” są warte lektury w całości.

Dруга hipoteza geopolityczna - GUAM

Ale jest też inna interpretacja katastrofy. Ostentacyjne manipulacje Rosjan, ukrywanie istotnych okoliczności, łamanie procedur, opóźnienia, prowokacyjne zachowanie. To wszystko nie musi wcale świadczyć o winie. Może oznaczać, że Kremlowi właściwie zależy, żeby istniały wątpliwości i podejrzenia, które mogą skutecznie modyfikować zachowania przywódców integrowanych przez Lecha Kaczyńskiego krajów grupy GUAM (Gruzja, Ukraina, Azerbejdżan, Mołdawia) oraz państw Europy Środkowej. To może być politycznie bardzo użyteczne. – „Niszczenie i ukrywanie dowodów, rozpowszechnianie fałszywych informacji, odwracanie uwagi obserwatorów i śledczych od rzeczywistych problemów i skupianie się na sprawach pomniejszych albo zupełnie fikcyjnych, próby ukrywania osób zaangażowanych w wydarzenie, a wprowadzanie w ich miejsce fałszywych świadków... – to zapewne niepełna lista działań, w które musiano zaangażować setki, jeśli nie tysiące ludzi, w tym najwyższych urzędników państwowych, władze lotnicze z MAK na czele. Wiedząc o tej niewiarygodnej, rozbudowanej i kosztownej operacji, każdy poważny i obiektywny obserwator musi zadać pytanie, w czym interesie jest ona prowadzona i kto może za nią stać. Jedyna możliwa odpowiedź jest następująca: rosyjski rząd” – twierdzi Andriej Iłarionow, były gospodarczy doradca Putina, obecnie związany z Instytutem Katona w Waszyngtonie. Pytam się o motywy tej „operacji”. Odpowiedź jest skomplikowana: – „To niewiarygodna tragedia i dla polskiego, i dla rosyjskiego narodu, coś, czego nie znajdziemy w całej historii. Żeby przywódca sąsiedniego kraju wraz z bardzo wysokimi urzędnikami zostali zabici razem i jednocześnie. Nawet w czasach wojen, gdy ginie wielu ludzi, nigdy nic podobnego się nie wydarzyło. Właśnie z powodu zupełnej wyjątkowości tego przypadku nikt nie powinien być bardziej zainteresowany w możliwie obiektywnym i wnikliwym dochodzeniu niż władze rosyjskie. Nawet bardziej niż władze polskie ze względu na możliwe podejrzenie, że po stronie rosyjskiej i rosyjskiego rządu coś było nie tak. Aby oczyścić swoje nazwiska i ich reputację, nikomu tak jak im nie powinno zależeć na tym, aby to śledztwo prowadzić tak dokładnie, rzetelnie, otwarcie i przejrzysto, jak to możliwe i z udziałem najlepszych specjalistów z całego świata. Tak by nikt nie miał nawet cienia wątpliwości. Ale jest zupełnie inaczej. To pewna demonstracja. Niemal jawnie odbywa się niszczenie dowodów, w tym wraku samolotu, produkowanie fałszywych dowodów, ukrywanie nagrań, fałszywe teorie w sprawie przebiegu lądowania, elementów technicznych, pracy kontrolerów lotu, warunków pogodowych, roli innych samolotów itd. Nie wiem, co myślą o tym światowi przywódcy, ale wystarczy popatrzeć na polski rząd. Niemal natychmiast po katastrofie doszło do zbliżenia polityków polskich i rosyjskich. Niezależnie od tego, czy ktoś to zaplanował, wygląda na to, że rządzący obecnie Polską są bardzo szczęśliwi z powodu tego, co się stało.

I z powodu tego zbliżenia z Rosją. Pojawia się zatem pytanie: Czy żeby mieć dobre relacje z Rosją, potrzebna jest śmierć całej grupy przywódców, choćby w katastrofie lotniczej? To przesłanie, ta lekcja, nawet jeśli nie jest przedmiotem publicznej dyskusji, jest bacznie obserwowana i brana pod uwagę przez wielu światowych liderów, szczególnie z tej części Europy. Może nie dotyczy to Baracka Obamy, którego bezpieczeństwo jest przedmiotem troski na nadzwyczajnym i zupełnie wyjątkowym poziomie, ale w państwach bałtyckich, w Polsce, Europie Środkowej, na południowym Kaukazie każdy polityk wiele razy pomyśli, jak się powinien zachować, aby mieć dobre relacje z nieprzewidywalnym sąsiadem. Nawet jeżeli żaden z nich nie będzie wierzył, że rząd Rosji ma coś wspólnego z katastrofą, a przynajmniej nie przyzna tego publicznie, to na pewno pomyśli sobie, że jeżeli te relacje się pogorszą, to nikt nie wie, co się może stać”.

Na zakończenie tych długich cytatów dodajmy jako ilustrację fakt, że kontrowersyjna umowa przewidująca przedłużenie dzierżawy przez rosyjską Flotę Czarnomorską bazy w Sewastopolu do 2042 roku w zamian za obniżkę ceny gazu została zawarta 21 kwietnia 2010 roku przez prezydentów Janukowycza i Miedwiediewa. W praktyce przekreśla ona szanse na wejście Ukrainy do NATO.

* * *

Te wszystkie fakty to też wielkie znaki zapytania. W zasadzie przy każdym zdaniu oznajmującym tego tekstu można dopisać „dlaczego”. Te pytanki wbrew pozorom rządziej dotyczą faktów, ustaleń technicznych lub prawnych. Częściej motywów zachowania ludzi. Rosjan i Polaków. Czasem zupełnie niepojętego stosunku tych pierwszych do swoich obowiązków i całej sprawy. Ale i drugich – naszych ekspertów, prokuratorów i polityków, których zaniechania budzą jeszcze większą zgrozę. Na te pytania nie ma i nie będzie chyba żadnej odpowiedzi poza tymi w sumieniach odpowiedzialnych ludzi. Ale nierzadko owa odpowiedzialność ociera się o zdradę, o rażące niedopełnienie obowiązków, nadużycie władzy, wprowadzenie w błąd opinii publicznej. Też mam nadzieję, że kiedyś ktoś bliżej przyjrzy się motywom ludzi, którzy w tamtych dniach po 10 kwietnia 2010 roku tak bardzo się nie sprawdzili.



Gdy państwo przestaje działać

Marek Pyza
„wPolityce.pl”, „Uważam Rze”

Na niesłuchaną skalę spełnił się scenariusz, który mało kto zakładał. Sposób wyjaśniania katastrofy smoleńskiej nawet największych pesymistów i krytyków obecnej władzy musiał zaskoczyć. Jednym z najbardziej symbolicznych zdań po 10 kwietnia stało się powtarzane przez prezydenta, premiera i wielu ich partyjnych kolegów: „Państwo zdało egzamin”. Każdy miesiąc, tydzień, dzień pokazuje, jak bardzo fałszywą jest ta teza. Katastrofa i to, co stało się po niej, jest największą porażką wolnej Polski. Zobaczyliśmy, jak wiele najważniejszych struktur państwa nie działa. Przekonaliśmy się o lekceważeniu prawa przez tych, którzy za jego przestrzeganie są najbardziej odpowiedzialni. Dowiedzieliśmy się, że na gwarancje ochrony nie mogą liczyć nawet ci, dla których powinny one być najszersze.

Katastrofa smoleńska była też ceną za dziecinne i odarte z wartości prowadzenie polityki. Jakież inne cele, aniżeli chęć osiągnięcia doraźnych politycznych korzyści przyświecały tym, którzy godzili się z dyskredytowaniem głowy państwa albo wręcz w nim uczestniczyli, obniżali rangi jej wizyty, tworzyli atmosferę sprzyjającą ignorowaniu elementarnych zasad bezpieczeństwa? Zobaczyliśmy, że państwo nie działa w sytuacji kryzysowej, że nie jest w stanie zapewnić sobie podstawowych praw w relacjach z dużym sąsiadem, że nie potrafi skorzystać z podpisanych sojuszy, które są fundamentem jego stabilności.

Polski rząd okazał nieudolność i strach, z którego wypływały kłamstwa, szyderstwa, oraz służalstwo wobec silniejszego. Nie wywiązał się do końca w zasadzie z żadnej funkcji – od uhonorowania ofiar, przez wyjaśnienie przyczyn i wyciągnięcie konsekwencji wobec winnych tak tragedii, jak i ujawnionych przy jej okazji zaniedbań, po obronę pozycji międzynarodowej.

Czy to wszystko mogło być dziełem przypadku? Działań błędnych, ale niezamierzonych? Nie. I nie byłoby możliwe, gdyby nie chęć ukrycia swoich win, strach przed odpowiedzialnością i rozpaczliwe próby zrzucenia za wszelką cenę ze swoich barków ciężaru wyjaśnienia katastrofy. Przez dwa lata świetnie to wychodziło.

Mimo, że użycie zdania „Państwo zdało egzamin” okazało się nietrafne nawet w wypadku organizacji pogrzebów, bo również w tej kwestii pojawiły się wątpliwości. Z dokumentów, którymi dysponowała i dysponuje prokuratura wynika, że pogrzeby nie powinny się odbyć bez prawidłowo przeprowadzonych sekcji zwłok. Po dwóch latach od tragedii mamy kolejne ekshumacje. Zapewne nie ostatnie. Rację miały rodziny, które chciały otworzyć trumny w Polsce. Nie pozwolono im. Polscy ministrowie nie chcieli złamać słowa danego Rosjanom. Na dodatek wszystkie te „zasługi” są maskowane niezwykle tanimi i mało bezpiecznymi sposobami. Czymże jest bowiem branie „pełnej odpowiedzialności”? Niczym oczywiście, o czym przekonaaliśmy się w przypadku w zasadzie wszystkich głównych aktorów smoleńskiego dramatu.

Aleja zasłużonych inaczej

Poniższy zestaw personalny to poczet ludzi „niekompromitowalnych”, którym największe grzechy nie przeszkodzą w zdobywaniu awansów, nagród, odznaczeń, a w najgorszym razie pozwolą utrzymać aktualny status.

Jerzy Miller. Główny polityczny śledczy w sprawie Smoleńska. Ponad rok pracował nad raportem, który w znacznej mierze był werdyktem w jego własnej sprawie. Nadzorował przeciw Biuro Ochrony Rządu i zawsze z całych sił go bronił. Dziś wiceszef BOR jest jednym z niewielu ludzi z zarzutami za błędy w przygotowaniu wizyty prezydenta.

To Miller 31 maja 2010 roku w imieniu polskiego rządu podpisał dokument oddający Rosjanom czarne skrzynki na tak długo, jak zechcą, czyli do końca ich postępowania sądowego – które jeszcze się nie zaczęło, bo trwa jeszcze śledztwo prokuratorskie. To Miller przywiózł z Moskwy niepełną kopię nagrania z czarnej skrzynki. Brakowało na niej 17 sekund. Mówił później w wywiadach o „zaciętej końcóweczce” z powodu cofania się taśmy w rejestratorze. Gdy całą Polską wstrząsnęły pokazane w „Misji specjalnej” zdjęcia niszczenia wraku przez rosyjskie służby, Miller stwierdził, że prawdopodobnie był on cięty „do badań laboratoryjnych”.

Jerzy Miller zgodził się na upublicznienie raportu niemającego w kluczowych kwestiach oparcia w materiałach dowodowych. Wysłał Rosjanom 20-stronicową listę brakujących dokumentów. Nic tym nie wskórał. Mimo to raport opublikowano. Zgodnie z zapowiedziami ministra, skupiono się na błędach Polaków – zwłaszcza załogi, choć nie pokazano na nie dowodów. Jeszcze gorzej było z pośrednimi naciskami na załogę. W tej kwestii nie tylko nie było dowodów, ale komisja je po prostu spreparowała, bez żadnych podstaw przypisując część wypowiedzi gen. Andrzejowi Błasikowi.

Jerzemu Millerowi w karierze nie przeszkadzają ani kompromitacje w sprawie Smoleńska ani afera wokół wprowadzania numeru 112 – tak na szczeblu krajowym, jak i wojewódzkim. Dziś znów jest wojewodą małopolskim.

Radosław Sikorski. Do dziś nie wiemy, dlaczego MSZ na kilka tygodni przed kwietniowymi uroczystościami skierował do ambasady w Moskwie Tomasza Turowskiego, PRL-owskiego szpiega, który miał przygotowywać wizyty premiera i prezydenta w Katyniu. Nie wiemy, jakie Turowski miał zadania i jak się z nich wywiązał. Jego rola wydaje się niezwykle ważna, a owiana jest największą tajemnicą.

Sam minister brał udział w kampanii dyskredytowania prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nie tylko drwiąco skandując „Były prezydent Lech Kaczyński”, ale też doradzając, by zamiast do Katynia, głowa państwa udała się na obchody zakończenia wojny w Moskwie i do Charkowa. Nie tylko odmawiał prezydentowi korzystania z konstytucyjnych uprawnień i obowiązków (współprowadzenia polityki międzynarodowej), ale też swoimi wypowiedziami obniżał rangę wizyty pierwszego obywatela.

Resort spraw zagranicznych został przez Najwyższą Izbę Kontroli oceniony negatywnie w zakresie przygotowywania wizyt zagranicznych VIP. Widać to w dokumentach dotyczących katastrofy smoleńskiej. Pokazują, w jakim chaosie podlegli Sikorskiemu urzędnicy przygotowywali wizyty. Oczywiście nie od tego jest szef resortu, aby zajmował się technicznymi szczegółami, ale było kilka zdarzeń, które powinny go zaalarmować i spowodować jakąś reakcję. Choćby w grudniu 2009 r., gdy prezydencki minister Mariusz Handzlik ostrzegł przed rosyjską grą wokół Katynia. W notatce ze spotkania z rosyjskim ambasadorem Władimirem Grininem pisał: „Głównym celem spotkania Ambasadora Grinina było wysondowanie zaangażowania Prezydenta RP w zbliżające się wydarzenia rocznicowe (...) Nie był zainteresowany rozmową na inne tematy, niż wyznaczone przez siebie (...) Aby uniknąć możliwości >>rozgrywania<< udziału najwyższych władz państwowych RP w zbliżających się uroczystościach rocznicowych (...) należałoby zawczasu ustalić rangę przedstawicieli i konkretny plan obchodów.” Notatkę tę otrzymał m.in. Radosław Sikorski. Jego późniejsze zachowanie nie wskazuje, by wziął ją sobie do serca.

Kilka minut po katastrofie wiedział już, że spowodowali ją piloci. Taką wersję przekazał telefonicznie Jarosławowi Kaczyńskiemu. Z kolei 2. maja 2010 roku w rozmowie z nestorem amerykańskiego dziennikarstwa Wolfem Blitzerem, Sikorski powiedział o przyczynach katastrofy: „Moim zdaniem była to kombinacja nadzwyczaj złej pogody, dość prymitywnego lotniska oraz błędu pilota. Jestem przekonany, że wspólna polsko-rosyjska komisja dotrze do prawdy”. Na pytanie o zamach odpowiedział: „Zawsze pojawia-

ją się teorie spiskowe, jednak tym razem nie są one poważne. Nie ma na to najmniejszego dowodu.” Rzuca się w oczy deklaracja o jakiejś mitycznej, zapowiadanej w dniu katastrofy, ale nigdy niewidzianej wspólnej komisji, ale jeszcze ciekawsze jest, skąd minister wiedział, że nie ma dowodów na zamach, a są na błędy pilota? Mówiąc o winie załogi w tak ważnym programie, jak „Situation Room” w CNN walnie przyczynił się do propagowania rosyjskiej, zupełnie bezpodstawnej wersji przyczyn katastrofy. Z drugiej strony polski MSZ ani razu nie interweniował w sprawie zwrotu Polsce jej własności, jaką stanowi wrak TU-154M. Nie wysłano ani jednej noty. Radosław Sikorski nie zrobił nic, by wspomóc polskich prokuratorów niemogących doprosić się z Rosji dowodów. Samego siebie przeszedł w grudniu mówiąc, że w rozmowie z Siergiejem Ławrowem wspominał o oddaniu wraku, ale „odniósł wrażenie, że Rosja nie jest jeszcze na to gotowa”. Nie wykorzystał też swoich – znakomitych podobno – kontaktów za oceanem, by umiędzynarodwić sprawę Smoleńska lub chociaż zwiększyć pomoc amerykańskich służb specjalnych.

Radosław Sikorski wciąż jest ministrem spraw zagranicznych, a jego pozycja nawet przez chwilę nie była zagrożona.

Tomasz Arabski. Szef kancelarii premiera tylko łasce Donalda Tuska zawdzięcza zachowanie posady. Wyborcy w 2011 r. pokazali mu czerwoną kartkę.

Arabski to jedna z osób, które o organizacji katyńskich wizyt wiedzą najwięcej. O jego roli wiadomo już dużo mniej. Pewne jest, że – podobnie jak minister Sikorski – od wielu miesięcy wiedział o rosyjskiej grze na rozbiście polskich władz. Też dostał notatkę Mariusza Handzlika. Z rad raczej nie skorzystał. Wiemy o jego co najmniej jednej wizycie w Moskwie – 17 marca rozmawiał z wiceszefem kancelarii Władimira Putina Jurijem Uszakowem, doświadczonym sowieckim dyplomatą, pracującym w MSZ ZSRR od 1970 roku. Spotkanie odbyło się w dość osobliwym miejscu, bo... w moskiewskiej restauracji. Co o nim wiadomo? Według Arabskiego, panowie zjedli „roboczy lunch”, w czasie którego nie rozmawiali o wizycie prezydenta. Trzeba mu wierzyć na słowo, bo ze spotkania nie sporządzono żadnej notatki.

Według raportu Millera, Arabski odegrał kluczową rolę w organizacji wizyty od strony technicznej (potwierdził to niedawny raport Najwyższej Izby Kontroli). Wiadomo, że złamał porozumienie między czterema kancelariami z 2004 roku dotyczące przewozów VIP. Według tego dokumentu to szef KPRM jest koordynatorem lotów najważniejszych osób w państwie. I to on ma obowiązek m.in. sporządzić oficjalne zamówienie na samoloty specjalne, które przekazuje Dowódcy Sił Powietrznych, dowódcy jednostki wojskowej realizującej lot o statusie HEAD oraz szefowi BOR. W przypadku wizyty prezydenta Arabski nawet tego nie zrobił. Zlekceważył przepisy.

Niewiele dobrego o Arabskim mogą też powiedzieć rodziny ofiar katastrofy. Według Andrzeja Melaka, szef KPRM informował niezgodnie z prawdą, że polscy lekarze uczestniczyli w sekcjach zwłok. Miał też – zgodnie z relacjami rodzin – być dla Rosjan gwarantem, że trumny nie będą otwierane w Polsce.

Ewa Kopacz. Razem z Arabskim w Moskwie była Ewa Kopacz. Długie miesiące po katastrofie oficjalna strona internetowa Platformy Obywatelskiej zawierała takie zdania w krótkiej sylwetce ówczesnej minister zdrowia: „Wstaje zza biurka, jeśli gdzieś rozgrywają się ludzkie dramaty. Po tragedii w Smoleńsku poleciała do Moskwy, żeby wspierać rodziny ofiar, dołączyła do lekarzy, którzy przeprowadzali sekcje zwłok.” Jak wiemy, ani ona ani nikt z Polaków nie uczestniczył w sekcjach zwłok (z wyjątkiem sekcji prezydenta Kaczyńskiego).

Ewa Kopacz nie tylko dezinformowała rodziny, prokuratorów i opinię publiczną w sprawie sekcji, nie tylko mijała się z prawdą opowiadając o pracach na miejscu katastrofy (w sejmowym archiwum wciąż znajduje się sfałszowany stenogram z jej wypowiedzią 29 kwietnia 2010 r., niezgodny ze znanym telewizyjnym zapisem jej wystąpienia), ale również jako najwyższy przedstawiciel władz Polski i oficjalny reprezentant naszego rządu na spotkaniu z Władimierzem Putinem trzy dni po katastrofie nie skorzystała z prawa do uruchomienia pomocy międzynarodowej w śledztwie. Po kilkunastu miesiącach i wygranych przez PO wyborach została człowiekiem numer dwa w Polsce. Absolutna lojalność wobec premiera bardzo jej się opłaciła – dziś jest Marszałkiem Sejmu.

Bogdan Klich. Został odwołany w konsekwencji publikacji raportu komisji Millera. W jego przypadku doszło jednak do tragikomicznych scen. Dymisjonując szefa MON, premier nazwał go człowiekiem honoru i niedługo później nagroził dopuszczeniem do wyścigu o fotel senatora. Mimo, że nawet zagorzali zwolennicy rządu nie potrafili bronić ministra obrony. Co ciekawe wyborcy w ilości 96 tys. obdarzyli go ponownie zaufaniem.

Niemal każdy tydzień badania katastrofy przynosił kolejne wiadomości o patologjach w armii, a zwłaszcza w Siłach Powietrznych, związanych ze sprzętem, szkoleniami, podejmowaniem decyzji czy fałszowaniem dokumentów. Trudno, żeby minister obrony nie poniósł tego konsekwencji. Dymisja wydawała się minimalną symboliczną koniecznością. A jednak premier wytrzymał z pozostawieniem Klicha niemal do samego końca. Odstrzelił go dopiero wtedy, gdy przed zbliżającą się kampanią wyborczą, trzeba było wskazać kogoś winnego. Wcześniej Klich mógł do woli opowiadać o swojej nieświadomości, że wszyscy dowódcy rodzajów wojsk wsiądą na pokład jednego samolotu. W odpowiedzi media opublikowały pismo z 17 marca 2010 r., w którym szef prezydenckiej kancelarii Władysław Stasiak informuje ministra obrony o planowanym składzie general-

skim. Klich dopisał ręcznie: „Zgoda, zwłaszcza, że ja też się wybieram”. Tydzień później napisał do Stasiaka, że „z satysfakcją przyjmuje propozycję zaproszenia najważniejszych dowódców RP”. Został złapany za rękę. Konsekwencji nie poniósł.

Gen. Marian Janicki. W panteonie „zasłużonych inaczej” to bodaj najbardziej groteskowa postać. O ile jego zastępca Paweł Bielawny (oficjalnie Paweł B.) to doświadczony funkcjonariusz ochrony, o tyle Janicki to kierowca (prezydenta Wałęsy), którego kariera w Biurze Ochrony Rządu przebiegała ścieżką działów logistyczno-transportowych. Generał jest jedną z najbardziej skompromitowanych osób po 10/04. W równym stopniu z powodu zaniedbań BOR przed katastrofą, co ze względu na jego aktywność publiczną po tragedii.

Długą listę zarzutów (od zaniżenia kategorii działań ochronnych, przez nieprzeprowadzenie rekonesansu na lotnisku i brak łączności podczas działań, po brak nadzoru nad ochroną VIP) pod adresem specjalnej jednostki ochraniającej najważniejszych ludzi w państwie opublikowała prokuratura. Kwestią, która skupiła publiczną uwagę na Biurze i Marianie Janickim była nieobecność jego ludzi na Siewiernym w czasie podchodzenia do lądowania samolotu z prezydentem na pokładzie. Generał przeczył ujawnianym przez media informacjom. Wreszcie musiał spasować. Jaka jest prawda? Szalenie bolesna.

Płk Jarosław Florczak, który pracował nad organizacją zabezpieczenia polskich VIP-ów w czasie katyńskich uroczystości, kilkakrotnie w czasie przygotowań jeździł do Rosji. Był w Katyniu z premierem. 10 kwietnia miał czekać na prezydenta na lotnisku. Pułkownik po wizycie premiera zadzwonił jednak do Pawła Bielawnego. Argumentował, że niewiele ma do roboty w czasie kolejnych dwóch dni, że grupa pozostająca na miejscu ma wszystko pod kontrolą, dodatkowo na lotnisku w sobotę rano mieli być koledzy (byli BOR-owcy) pracujący w moskiewskiej ambasadzie. Florczak poprosił o zgodę na krótki przylot do Polski, by pobyć dwa dni więcej z żoną i kilkuletnią córką. Do Smoleńska miał wrócić z prezydentem. Bielawny się zgodził. Poinformował o tym Janickiego, który też nie miał żadnych zastrzeżeń. Florczak zamiast czekać w Smoleńsku, leciał Tupolewem z Warszawy. Zgodził się na to Janicki. Generał wiedział, jak wygląda przygotowanie wizyt pod kątem bezpieczeństwa. Wiedział, że Rosjanie nie wpuszczają jego ludzi na lotnisko, by je sprawdzić. Nic z tym nie robił.

Był oczywistym kandydatem do dymisji. Zamiast tego, siedem miesięcy po katastrofie, minister spraw zagranicznych przyznał mu prestiżową Odznakę Honorową Bene Merito, za wzmacnianie pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Pół roku później prezydent Bronisław Komorowski, na wniosek Jerzego Millera, awansował go na generała dywizji.

Mimo obnażenia kłamstw Janickiego, jego zwierzchnicy stoją za nim murem. Na dymisję nie ma szans, bo gwarantem zachowania posady generała jest duet Paweł Graś – Donald Tusk. Nie jest tajemnicą, że ten pierwszy regularnie spotyka się z szefem BOR. O czym rozmawiają, nie wiadomo. Ale nie ma wątpliwości, że Marian Janicki jest człowiekiem o najcenniejszej wiedzy dotyczącej wszystkich ministrów, ochraniających przez jego ludzi.

Płk Edmund Klich. To chyba najbardziej zagadkowa postać. Jemu zawdzięczamy badanie katastrofy według 13 załącznika do konwencji chicagowskiej. To on odebrał telefoniczne polecenie w tej sprawie tuż po tragedii od Aleksieja Morozowa z MAK. To on pierwszy oskarżył śp. gen. Andrzeja Błasika o przebywanie w kokpicie do końca tragicznego lotu. I on od samego początku twierdził, że po polskiej stronie jest większa odpowiedzialność za doprowadzenie do katastrofy. I przez blisko dwa lata zajmował się certyfikowaniem oficjalnych wersji, lansując przy okazji samego siebie. Nie przyniosło mu to spodziewanego mandatu senatorskiego.

Można go było odwołać na początku 2011 roku. Już wtedy minister infrastruktury – Cezary Grabarczyk - wiedział, że są poważne zastrzeżenia do jego pracy jako akredytowanego przy MAK. 13 na 15 członków Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych skarżyło się na współpracę z nim i wskazywało w liście do ministra, że działania Klicha uniemożliwiły zbadanie wraku i realizację praw strony polskiej w czasie prac w Smoleńsku. Grabarczyk pismo zignorował. Przedłużył misję Klicha jako szefa PKBWL na kolejną kadencję.

Dopiero ujawnienie przez „Gazetę Polską”, że Klich nagrywał swoich rozmówców i opublikowanie zapisu jego rozmowy z ministrem obrony narodowej i szefem Sztabu Generalnego doprowadziło do dymisji pułkownika. Na nagraniu były akredytowany mówi o Tatianie Anodinie per „moja szefowa”, nazywa siebie „współpracownikiem” Aleksieja Morozowa, oponuje przeciw wysyłaniu większej liczby akredytowanych do Moskwy, bo – w jego ocenie... pogorszyłyby to pozycję Polski. Z nagrania wynika też, że w pierwszych dniach po katastrofie miał jasno sprecyzowaną opinię o jej przyczynach. Wskazywał na winę Rosjan z powodu niezamknięcia przez nich lotniska przy tak fatalnych warunkach atmosferycznych.

Gdy w mediach pojawiły się cytaty z innych nagrań Edmunda Klicha, na których pułkownik mówi, że „trzeba nagrywać”, bo „rację musimy mieć my”, szef PKBWL proszony o wyjaśnienie tych słów stwierdził, że dziennikarze mogą go „pocałować w tyłek”.

Generał psuje śledztwo

Na osobną kategorię awansowanych po Smoleńsku zasługuje Krzysztof Parulski. 10 kwietnia 2010 r. był jeszcze pułkownikiem, co zresztą było powodem jego frustracji i konfliktów z częścią podwładnych wyższych stopniem (m.in. gen. Zbigniewem Woźniakiem, drugim nadzorcą smoleńskiego śledztwa). Funkcję naczelnego prokuratora wojskowego stracił dopiero po aferze z inscenizacją samobójczą prokuratora Mikołaja Przybyła. Wcześniej, w sierpniu 2010 roku prezydent mianował go generałem. Choć już wtedy było wiadomo, jak Parulski zaszkodził śledztwu. Na uwagę zasługuje kilka wątków. Najważniejszy dotyczy pierwszych dni po katastrofie.

Już 10 kwietnia polscy prokuratorzy sporządzili pierwszy wniosek o pomoc prawną, w którym prosili m.in. o przeprowadzenie „ogłędzin i otwarcia zwłok osób, które poniosły śmierć w zdarzeniu”. W dokumencie tym proszą o zgodę na dopuszczenie do udziału w tych czynnościach polskich ekspertów. Jednak z niewiadomych przyczyn został on prefaksowany Rosjanom dopiero następnego dnia. Podobno część sekcji była już zakończona.

Natomiast jeszcze w sobotę wieczorem na lotnisku Siewiernyj odbyła się narada rosyjskich śledczych z przedstawicielami naszej prokuratury wojskowej i ABW. Wśród sześciorga Polaków byli m.in. Naczelny Prokurator Wojskowy i szef Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Warszawie płk Ireneusz Szelağ. Ustalono wtedy, że w Moskwie błyskawicznie odbędą się sekcje. Nasi śledczy liczyli podobno, że z udziałem Polaków. Czy można było spodziewać się, według jakich standardów Rosjanie przeprowadzą sekcje zwłok? Owszem. Krzysztof Parulski w sobotnią noc uczestniczył, a raczej przyglądał się (pod protokołem nie ma jego podpisu) sekcji ciała prezydenta. Widział, że łamane były zasady sztuki, choćby poprzez niewykonywanie zdjęć. Nie interweniował.

W tym samym czasie na miejscu przebywali niżsi rangą polscy prokuratorzy. Jak później skarżył się nadzorujący śledztwo cywilny prokurator Marek Pasionek, szefostwo NPW nie zadbało o odpowiednie zabezpieczenie prac na miejscu katastrofy. Jego zdaniem powinny być zaangażowane dużo większe siły zamiast ledwie kilku śledczych i żandarmów. Miał za złe Parulskiemu, że nie wymusił na Rosjanach uczestniczenia strony polskiej w czynnościach śledczych, czego skutkiem była choćby bardzo uboga dokumentacja fotograficzna i filmowa. Ma ona charakter bardziej prywatny, niż dowodowy. Włączone do akt niejawnych zdjęcia prokuratorzy robili... telefonami komórkowymi. Nie wyposażono ich nawet w najprostsze aparaty cyfrowe.

Później, bo w czerwcu 2011 roku Parulski zawiesił nadzorującego śledztwo cywilnego prokuratora Marka Pasionka, a wybitnie naciągane postępowanie dyscyplinarne w jego sprawie prowadził nie kto inny, jak Mikołaj Przybył.

Co ciekawe powody zawieszenia wystąpiły rok wcześniej, na słynnym spotkaniu Marka Pasionka z kończącymi misję w Polsce oficerami łącznikowymi FBI i CIA. Prokuratorowi zarzucono m.in. przekazywanie informacji ze śledztwa obcym służbom (ale również defraudację 12,5 dolara czy nigdy nie udowodnione przecieki ze śledztwa do mediów). Po pierwsze Pasionek Amerykanom nic nie przekazywał (co ustaliła później prokuratura cywilna). A po drugie ustalił formę pomocy USA dla polskiego śledztwa. NPW poprzez amerykańską ambasadę miała przekazać prośbę do służb w Waszyngtonie m.in. o materiały dotyczące ewentualnego zamachu – nasłuch komunikacji smoleńskiej wieży z załogami samolotów 10 kwietnia, zdjęcia satelitarne z dnia katastrofy, a także o opinię dotyczącą możliwości zakłócenia pracy urządzeń samolotu. Parulski zaakceptował tę formę współpracy, po czym zmienił zdanie i polecił wystosować oficjalny wniosek o pomoc prawną. Wybrał więc drogę mniej dyskretną, co miało być przyczyną nieprzekazania przez USA interesujących nas materiałów.

Do listy głównych grzechów Parulskiego można jeszcze dodać anulowanie – na prośbę Moskwy – pierwszych zeznań rosyjskich kontrolerów lotu czy – niezrozumiałe zarówno dla prokuratorów jak i opinii publicznej – wielokrotnie wygłaszane przez generała zapewnienia o znakomitej współpracy z prokuraturą rosyjską. Prowadzący śledztwo od początku mieli zupełnie inne zdanie.

Co mówią awanse? Rozgrywka premiera

Wszystkie opisane wyżej postacie spaja premier Donald Tusk. Przez ostatnie pięć lat skupił w swoim ręku władzę po 1989 r. w Polsce niespotykaną. Stał się tak silnym liderem rządzącego układu politycznego, że żaden minister, ani polityk parlamentarny nawet nie pomyśli o zbytnej samodzielności. Od wyborów 2007 r. premier prowadząc coraz bardziej otwartą wojnę z prezydentem i uciekając się do deprecjonowania urzędu głowy państwa, próbował przejąć w całości prowadzenie polityki zagranicznej. Udało się to mu na skutek katastrofy smoleńskiej. Obecny prezydent zdaje się nie mieć nadmiernych ambicji na tym polu, więc specjalnie premierowi nie przeszkadza.

Tusk zlikwidował też stanowisko koordynatora służb specjalnych, by rządzić nimi samodzielnie. Efekt? Są coraz mniej kontrolowane zarówno przez premiera jak i parlament. Nie wiemy, jak poradziły sobie z zapewnieniem bezpieczeństwa Lechowi Ka-

czyńskiemu ABW czy SKW. Wiemy, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie była w stanie przeprowadzić solidnej analizy jednego z bardziej zagadkowych dowodów w smoleńskim śledztwie – amatorskiego filmu znanego pod tytułem „Samolot płonie”, na którym słychać dźwięki brzmiące jak strzały z broni palnej i okrzyki po rosyjsku. ABW stwierdziła jedynie, że film jest oryginalny i nie był montowany.

Wreszcie za rządów Donalda Tuska tak skonstruowano ustawę o prokuraturze, że teoretycznie uniezależniono prokuratora generalnego od rządu, ale poprzez pośrednie mechanizmy wciąż jest on zależny od polityków. Premier wziął więc pełną władzę.

Dochodzimy tu do drugiego, obok „zdanych przez państwo egzaminów” frazesu powtarzanego przez ludzi obecnej ekipy – deklaracji o „braniu pełnej odpowiedzialności”. Jest ono odwrotnie proporcjonalne do brania władzy. Katastrofa smoleńska najbardziej pokazała pustosłowie tego sloganu. Odpowiedzialności za tragedię nie poniósł absolutnie nikt. Ci, wobec których można się było ich spodziewać, dostali awanse albo zostali przesunięci na inne „odcinki”. Wszyscy są potrzebni, wszyscy odegrali jakąś rolę na różnych etapach zaciemniania sprawy smoleńskiej. Wszyscy mają coś do ukrycia, czy też do zapomnienia. Ale to niewykonalne. Są dokumenty, nagrania, krok po kroku zbierane dowody weryfikujące wielomiesięczne kłamstwa.

To, co się udało, to zepchnięcie w niebyt wątków organizacyjnych związanych z politykami. Owszem, wiceszef BOR usłyszał zarzuty, dwóch wojskowych również, ale urzędnicy pozostają bezkarni. Trudno bowiem wykazać, że po pierwsze przyczynili się do rozdzielenia wizyt, a po drugie, że doprowadziło to do katastrofy. Choć poszlaki istnieją. Według wielu dokumentów, kancelaria premiera gotowa była na wspólne uroczystości. Wynika to z innej notatki odnalezionej w sejfie Mariusza Handzlika. 11 lutego – tydzień po telefonie Władimira Putina do Donalda Tuska – prezydencki minister usłyszał od wiceszefa resortu spraw zagranicznych Andrzeja Kremera, że jeden z trzech scenariuszy zakłada wspólny udział w uroczystościach prezydenta i premiera. Miał być co prawda „trudny do realizacji ze względu na stanowisko strony rosyjskiej”, ale jednak wciąż było możliwe, że w kwietniu na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu przemówią Putin, Tusk i Kaczyński.

Jeszcze 19 lutego nikt – oficjalnie – nie zakładał rozdzielania wizyt. Andrzej Przewoźnik przedstawił tego dnia Mariuszowi Handzlikowi kalendarium obchodów: 10 kwietnia uroczystości w Katyniu, 13 kwietnia centralne uroczystości w Warszawie, 17 kwietnia w Miednoje, we wrześniu zaś w Charkowie i Bykowni. Według notatki Handzlika, „Przewoźnik podkreślił, że Prezydent RP i Premier RP muszą się porozumieć odnośnie uczestniczenia w obchodach”. Wciąż chodziło o jedną uroczystość katyńską.

Nie porozumieli się. Zamiast tego minister spraw zagranicznych „radził” prezydentowi jechać nie do Katynia, ale w czerwcu do Moskwy a we wrześniu do Charkowa. Coraz częściej mówiło się też o kwietniowych planach prezydenta jako wizycie „prywatnej”. Również w kontaktach z Rosjanami, czego skutki pokazuje notatka ze spotkania 10 marca ambasadora Jerzego Bahra z dyrektorem w rosyjskim MSZ Siergiejem Nieczajewem „Zwróciłem uwagę, że mamy do czynienia z dwiema wizytami. Premiera – 7 kwietnia i Prezydenta – 10 kwietnia. S. Nieczajew podkreślił, że protokół rządu FR będzie zajmował się wyłącznie organizacją spotkania premiera D. Tuska z premierem W. Putinem”. I dalej: „Zapytałem czy istnieje możliwość, aby grupa przygotowawcza przyleciała do Smoleńska samolotem. S. Nieczajew poinformował, że według jego wiedzy jakiegokolwiek korzystanie z lotniska w Smoleńsku może stanowić poważny problem”.

Jak przyznał później ambasador, Nieczajew miał zniechęcać Polaków do korzystania z lotniska w Smoleńsku. Jerzy Bahr wysłał w tej sprawie specjalną depeszę do Warszawy. Takich ostrzeżeń było więcej. Kapelan z katedry polowej zeznał o spotkaniu organizacyjnym z władzami Smoleńska 24 marca: „Po tych ustaleniach wiedzieliśmy, że 7.04 lądują premierzy, nie było pewne czy lotnisko będzie w stanie przyjąć prezydenta 10.04”. Tego dnia Rosjanie proponowali, by lądować w Moskwie lub Mińsku. Lądowania premierów nikt się nie obawiał. Prezydenta – owszem.

Bez refleksji

Infantylna i szalenie niebezpieczna polityka przyniosła swoje tragiczne skutki w sobotni poranek 10 kwietnia. Kolejne dni, tygodnie i miesiące pokazały, że nawet pod wpływem takiego wstrząsu państwo nie jest w stanie zadziałać, jak należy. Oto w ciągu kilkudziesięciu godzin cały aparat państwa nie dość, że oddał wyjaśnienie sprawy w obce ręce, to jeszcze skupił się na kolportowaniu rosyjskiej wersji zdarzeń. Zakładając odrobinę dobrej woli ze strony rządzących, można by mówić o „błędach”, choć patrząc zdroworozsądkowo, nietrudno doszukać się mieszanki strachu i chęci ukrycia niewygodnych faktów.

Dlaczego polski premier nie zagrał wyżej, nie skorzystał z okazji, gdy na Polskę patrzył cały świat, i nie zażądał międzynarodowej komisji? Brakowało przepisów? Nie z takimi problemami można dać sobie radę, zwłaszcza prosząc o pomoc silnych sojuszników. Tyle, że Polska z tej pomocy zrezygnowała (wiemy, że oferta się pojawiła – mówiła o tym 13 kwietnia Tatiana Anodina na spotkaniu z Putinem, Kopacz i Arabskim, przedstawiciele polskiego rządu milczeli.) A mandat społeczny był – wobec rażących kłamstw dość szybko zebra-

no 300 tysięcy podpisów pod wnioskiem o powołanie międzynarodowej komisji. Dlaczego nie skorzystano z pomocy międzynarodowej? Czy dlatego, że mogłaby naświetlić grzechy polskiej władzy?

Dlaczego nie wyegzekwowano żądania polskiej ambasady, by wrak, a więc miejsce katastrofy traktować eksterytorialnie? Dlaczego pozwoliliśmy Rosjanom na zabranie czarnych skrzynek? Co ustalił na nocnym spotkaniu z Putinem Donald Tusk? Czy polski premier spełnił wszystkie oczekiwania Putina z własnej woli czy został zastraszony?

Dlaczego polski rząd nawet nie przetłumaczył na angielski uwag do raportu MAK, dlaczego w ten prosty sposób nie zawańczył z rosyjskimi kłamstwami? I co się stało z tą zapowiedzią premiera: „Polska będzie szukała międzynarodowych rozwiązań prawnych, które z naszych uwag uczynią ważny dokument”?

Takich pytań można stawiać krocie. Kiedyś trzeba będzie znaleźć na nie odpowiedzi, bo to, co się wydarzyło w ostatnich dwóch latach – jak chłodno by nie patrzeć – nasuwać powinno pytanie o odpowiedzialność, także karną. Dziś wiemy, że strona rosyjska od początku z Polski drwiła. Fałszowała dowody (stenogram, protokoły z sekcji zwłok), niszczyła je (wrak), łamała konwencję chicagowską (brak zgody na udział Polaków w oblocie lotniska), odmawiała dostępu do dowodów (regulamin lotów) etc. Mimo to przy każdej okazji polski premier, prezydent, ministrowie, prokuratorzy zapewniali o doskonałej współpracy ze stroną rosyjską.

Jednocześnie głośzono wersję wydarzeń, która mogła być na rękę wyłącznie Moskwie. Unikano mówienia o odpowiedzialności kontrolerów, skupiano się na błędach pilotów. Celował w tym Edmund Klich, który zamiast być naszym największym skarbem przy MAK, coraz bardziej stawał się prorosyjskim celebrytą.

Gdy prokuratorzy załamywali ręce wobec obstrukcji Rosjan i na spotkaniach z dziennikarzami wprost apelowali do polityków (jak Andrzej Seremet) o wsparcie dla śledztwa, władza milczała. Odrzuciwszy pomoc międzynarodową i oddawszy wszystkie karty Rosjanom, mogła jedynie podążać ścieżką wytyczoną przez MAK. Tak też się działo. Od pierwszej, zawierającej ordynarne fałszerstwa („podchodzimy”, „wkurzy się, jeśli jeszcze”...) wersji stenogramu zapisów czarnej skrzynki przez zamykanie oczu na zdjęcia niszczonego wraku, do raportu MAK, na który nie potrafiliśmy odpowiedzieć, a co najwyżej próbowaliśmy go zmodyfikować.

Nie ma prawdy

Dwa lata po katastrofie mamy dwie oficjalne wersje jej przyczyn – wersję MAK i wersję Komisji Millera. W równej mierze mało wiarygodne, co podobne do siebie.

Pierwsza, sformułowana przez ekipę sowieckiej generał obarcza źle wyszkoloną załogę popełnieniem fundamentalnych błędów pilotażowych w czasie lądowania w gęstej mgłę, a ważnych pasażerów (ze szczególnym uwzględnieniem Dowódcy Sił Powietrznych jako posłańca prezydenta) o wywieranie nacisków na prowadzących maszynę żołnierzy. Co zdumiewające, ma swoich zwolenników wśród części polskich tzw. „ekspertów lotniczych” i chyba jednego dziennikarza.

Druga wersja – komisji Millera – mówi o błędach załogi, która próbując oddalić się znad lotniska zastosowała błędną procedurę odchodzenia od lądowania. Naciski uznaje za mające tylko pośredni wpływ na działania pilotów. Komisja nie dysponowała wieloma dowodami i nie przeprowadziła wielu symulacji czy analiz, więc dla uwiarygodnienia się dołożyła po prostu nieco odpowiedzialności rosyjskim kontrolerom przekazującym załodze błędne informacje.

Polski raport dobrze opisał rosyjski dziennikarz „Komsomolskiej Prawdy”. Co ciekawe, uczynił to na dwa dni przed publikacją dokumentu Jerzego Millera. Anonsonował, że „Polska bierze na siebie winę za śmierć Lecha Kaczyńskiego”, co dobrze oddawało wielokrotnie powtarzaną przez ministra SWiA tezę o tym, że Polaków jego raport zaboli bardziej. Moskiewski dziennik stwierdził też, że Donald Tusk „będzie musiał dopasować się do nastrojów społecznych”, w domyśle – wskazać poniekąd na winę Rosjan. Nie mylił się. Według obu raportów bezpośrednią przyczyną katastrofy było zahaczenie samolotu o brzozę na wysokości kilku metrów, oderwanie się kawałka skrzydła, utrata nośności i rozbitcie się wśród smoleńskich drzew.

Problem w tym, że coraz trudniej w to uwierzyć. Nie zbadano ani oderwanego skrzydła, ani uszkodzonego drzewa. Zignorowano ostatni sygnał systemu TAWS, który wskazuje, że samolot był na innej wysokości, niż zakładają oficjalne wersje. W dodatku pojawiły się wiarygodne symulacje, które przeczą możliwości oderwania się skrzydła po zderzeniu z takim drzewem. Obie komisje stwierdziły też, że maszyna do zderzenia z ziemią była sprawna. Wiemy jednak, że na wysokości kilkunastu metrów przestały działać jej wszystkie urządzenia. Kompletnie zignorowano wątki organizacyjne. W raporcie Millera czytamy co prawda, że przeprowadzono „analizę działań organów administracyjnych związanych z organizacją uroczystości”, ale – dziwnym trafem - wniosków z niej nie ma.

Te wszystkie luki powoli próbuje uzupełniać parlamentarny zespół badający katastrofę smoleńską kierowany przez Antoniego Macierewicza. Tyle, że jego ustaleniom z mozołem przebijającym się do mainstreamowych mediów zawsze towarzyszy akompaniament kpin. Trudno znaleźć odniesienia do meritum problemów, czy dyskusje z ustaleniami, czy hipotezami, ale za to łatwo napotkać wytarte klisze o rozpylaniu helu, sztucznej mgie, i przypisanie posłowi PiS słów, których nigdy nie powiedział. Najczęściej podsumowuje się prace jego zespołu mówiąc o kolportowaniu spiskowych teorii.

Zgadza się, Macierewicz (i słusznie) nie wyklucza spisku, czy – jak kto woli – hipotezy o zamachu. Ale nie wyklucza jej również prokuratura. A na obecnym etapie, gdy upadają kolejne fundamenty wersji rządowych i obalane są kolejne kłamstwa, staje się ona równie prawdopodobna, jak pozostałe. I nie ma, co się bać tego wniosku – postawa Rosjan tylko tę wersję uprawdopodobnia. Warto podkreślić, że ani polska prokuratura ani komisja Millera nie otrzymały żadnych dokumentów świadczących o tym, że Rosjanie zajmowali sobie głowy analizą stanu tupolewa po katastrofie. Ograniczyli się do rutynowego sprawdzenia pirotechnicznego i analizy jakości paliwa. Brak nie tylko wyników wytrzymałościowych badań laboratoryjnych, analiz chemicznych, ale nawet ekspertyz dotyczących skali zniszczeń oraz wykazu tego, co z TU-154M zostało. Bo wiemy, że paru ton brakuje.

Podsumowując, mimo, że wszyscy chcieliby hipotezę o udziale osób trzecich wykluczyć, najwyczejniej nie ma obecnie do tego podstaw. Do tego trzeba posiadać przekonujące argumenty, oparte na badaniach. Tymczasem, w ciągu dwóch lat od katastrofy pojawiło się podszytych lękiem dużo chwytów retorycznych, a badań zaniechano.

Lękowa niepamięć

Trudno powstrzymać się od wniosku, że oficjalne wersje (tak rosyjska, jak i polska) są podtrzymywane z jeszcze jednego powodu – doraźnie politycznego. Mniej groźny jest mit ofiar (a zwłaszcza śp. prezydenta), którego – nawet jeśli nie wprost – można obciążyć winą za tragedię niż gdyby miał być pamiętany jako ofiara niewyjaśnionej tragedii, nie mówiąc o zamachu. Również po śmierci Lech Kaczyński jest więc niewygodny, a zatem dyskredytowany. I to nie tylko przez Palikota.

13 marca 2011 r. Donald Tusk powiedział w Radiu Zet: „(...) w życiu bym nie oskarżył Lecha Kaczyńskiego o to, że spowodował tę katastrofę tylko dlatego, że to on w sposób bardzo jednoznaczny chciał tej swojej wizyty w Katyniu, tylko że ja inaczej, niż Jarosław Kaczyński, nie będę w związku z tym codziennie krzychał: to Lech Kaczyń-

ski proponując dwie wizyty, naciskając na konieczność swojej, odrębnej wizyty doprowadził do katastrofy (...).” Zwróćmy uwagę – w wypowiedzi premiera to prezydent stał się „proponującym” dwie wizyty!

Premier nie zatrzyma tworzenia się mitu. Zauważył to już kilka dni po katastrofie Jan Rokita. 19 kwietnia powiedział „Tygodnikowi Powszechnemu”: „Lecha Kaczyńskiego jego przeciwnicy traktowali nikczemnie, nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości. Od czasów endeckiej nagonki na Narutowicza nie było takiej sytuacji. Normalne wykonywanie przez niego obowiązków traktowane było jako przejaw chorych ambicji, a jego próby współkształtowania polityki państwa – jako awanturnictwo. (...) Polska rozkochała się na nowo w swoim neoromantycznym micie, a nie w swojej państwowości. Trumna prezydenta znalazła się na Wawelu, bo biskup krakowski dobrze wyczuł, że spoczywa w niej nie przede wszystkim głowa państwa, ale bohater romantycznej legendy. Przepraszam Aleksandra Kwaśniewskiego za to porównanie, ale wyobraźmy sobie: gdyby to on jako prezydent znalazł się w samolocie pod Smoleńskiem, całej tej egzaltacji narodowej by nie było, choć jako człowiek i polityk był bardziej od Kaczyńskiego lubiany.”

Dwa dni wcześniej na antenie TVN24 Rokita mówił: “Jesteśmy świadkami, kiedy na użytek może wielu dziesiątków lat definiuje się na nowo istota patriotyzmu polskiego i to definiuje się przez mit Lecha Kaczyńskiego. Tu się wykuwa stary, bardzo neoromantyczny, ale zarazem nowy, być może obowiązujący przez wiele dziesięcioleci XXI wieku model patriotyzmu”

Strach przed rodzącym się mitem i po prostu przed pamięcią dał się we znaki przede wszystkim w Warszawie, gdzie na wszelkie możliwe sposoby pozwalano poniżać ludzi przed pałacem prezydenckim. Policzków ze strony władzy było naprawdę wiele.

10 marca 2011 roku straż miejska – na polecenie władz miasta – ochraniała gaszenie palących się zniczy i wywożenie jeszcze ciepłych na wysypisko (później dowiedzieliśmy się, że strażnik, który się temu przeciwstawił, stracił pracę). Tłumaczono, iż rano chodnik przed pałacem musi być czysty. Miesiąc później, 13 kwietnia strażnicy byli jeszcze szybsi. Na pamiątkę wydarzeń sprzed roku, gdy kondukt z trumną prezydentowej jechał przez miasto do pałacu ulicami usłanymi jej ulubionymi tulipanami, grupa osób postanowiła oddać jej hołd układając kwiaty wzdłuż krawężników przed pałacem. Tym razem nie czekano do wieczora. Zbierano je natychmiast po położeniu. Wspomnieć trzeba o zgodzie na barbarzyńską sierpniową manifestację zwołaną przez Dominika Tarasa i lżenie zarówno zmarłych, jak i modlących się na Krakowskim Przedmieściu. Krzyż skonstruowany z puszek po piwie Lech, oddawanie moczu na pałace się znicze. Na te zachowania służby nie reagowały.

Władza rękami i nogami broniąca się przed stawianiem w centrum Warszawy pomnika ofiarom próbowała pozbyć się kłopotu wieszając potajemnie tablicę na ścianie pałacu prezydenckiego. Prezydent stolicy ostatecznie „załatwiła” tę kwestię zadając standardowej reprezentatywnej grupce ankietowanych, nieco tendencyjne pytanie, czy chcą „kolejnego pomnika”, poza stojącym na Powązkach. Ten żenujący zabieg wystarczył, by temat monumentu w Warszawie został na jakiś czas odsunięty.

11 listopada ubiegłego roku w czasie krakowskich obchodów Dnia Niepodległości policjantom zabezpieczającym uroczystości nie podobało się, że fotograf Stanisław Markowski, twórca hymnu „Solidarności”, czekając w kolejce do krakowskiego Grobu Nieznanego Żołnierza trzymał portret Marii i Lecha Kaczyńskich. Doszło do przepychanki, bo funkcjonariusze – wedle relacji Markowskiego – próbowali zdjęcie mu wyrwać. Nie udało się. Patryk Jaki, dziś poseł Solidarnej Polski, a wtedy lokalny polityk PiS, 10 września 2011 r. z grupą dwustu osób przeszedł po mszy w opolskiej katedrze pod pomnik Żołnierzy Podziemia Antykomunistycznego na Placu Wolności, gdzie co miesiąc w hołdzie ofiarom katastrofy smoleńskiej palone są znicze. Został zatrzymany, oskarżony o przewożenie nielegalnemu zgromadzeniu i ukarany grzywną.

Do tego dorzucić można by długą listę wypowiedzi polityków, ludzi mediów, kultury czy organizacji pozarządowych pracowicie zajmujących się cenzurowaniem pamięci zbiorowej. Gdy w październiku 2010 roku 37 rodzin zaniepokojonych stanem śledztwa wysłało do premiera list z prośbą o spotkanie, Donald Tusk zasugerował, że chcą z nim rozmawiać o odszkodowaniach.

Gdy niedawno prokuratura – z urzędu – podjęła decyzję o kolejnych ekshumacjach, premier mówił: „Nie powinienem komentować determinacji niektórych rodzin na rzecz ekshumacji zwłok, nawet jeśli nie rozumiem tej determinacji, bo nie rozumiem. Ale widocznie jest jakaś potrzeba, która tkwi w tych zranionych uczuciach rodzin zmarłych (...) trzeba uszanować potrzebę rodzin tych, które chcą mieć stuprocentową pewność, czy cała dokumentacja rosyjska jest zgodna z ich wiedzą czy badaniami polskich prokuratorów. Są procedury, jeśli to jest komuś potrzebne do uzyskania, nie wiem, spokoju, to prokuratura będzie tu podejmowała stosowne decyzje.” Szef rządu jest historykiem, a nie prawnikiem, więc nie musi wiedzieć, że sekcje zwłok ofiar nie służą zaspokajaniu potrzeb uczuciowych, ale stanowią dowód w śledztwie.

Cóż, jak powiedział inny rządzący historyk, 2 maja 2010 roku na placu Piłsudskiego: „Państwo polskie w obliczu dramatu katastrofy pod Smoleńskiem i jej skutków zdało egzamin. Zdała egzamin konstytucja, zdały egzamin instytucje państwa, zdaliśmy wszyscy. Wszyscy, którzy modlili się wtedy i myśleli, o tym, by państwo polskie potrafi-

ło ten kryzys jak najlepiej pokonać. Dzisiaj trzeba wspomnieć i o wielu obywatelach państwa polskiego, o wielu przedstawicielach instytucji, o służbach mundurowych, o harcerzach, o tych wszystkich, którzy wzięli udział w organizowaniu narodowej żałoby. Trzeba wspomnieć o tych wszystkich, którzy w najtrudniejszym okresie państwo polskie przeprowadzali przez ten niezwykle bolesny moment. Trzeba dzisiaj wszystkim obywatelom państwa polskiego powiedzieć, że zdaliśmy razem ten trudny egzamin. I mamy prawo być dumni ze współczesnego państwa polskiego. Ono zdało trudny, bolesny egzamin.” Gratulacje te złożył nam Bronisław Komorowski, p.o. prezydenta RP.

Bibliografia:

1. *Tytuł nawiązuje do opracowania Antoniego Z. Kamińskiego, Stracony moment konstytucyjny w pokomunistycznej Polsce: skutki dla jakości rządzenia dwadzieścia lat później, w: W. Morawski, Modernizacja Polski, struktury, agencje, instytucje, Warszawa 2009, Wydawnictwa Akademickie i profesjonalne*
2. *tłumaczenie Andrzej Jaraczewski, w: Wizje Stanów Zjednoczonych w pismach Ojców Założycieli, pod redakcją Wiktora Osiatyńskiego, PIW, Warszawa 1977*
3. *Antoni Z. Kamiński, op.cit.*
4. *Janina Zakrzewska, Spór o konstytucję, Warszawa 1993, Wydawnictwo sejmowe*
5. *Raport NIK, Organizacja wyjazdów i zapewnienie bezpieczeństwa osobom zajmującym kierownicze stanowiska w państwie, korzystającym z lotnictwa transportowego sił zbrojnych RP w latach 2005-2010; 3.2.2.3 str.26*
6. *Raport NIK s.8*
7. *ibid.*
8. *ibid.s.20*
9. *Porozumienie z dnia 15 grudnia 2004..., § 7 ust.1 i ust.6*
10. *Porozumienie z dnia 15 grudnia 2004..., §6 i §10*
11. *raport NIK 3.2.2.5, s.29*
12. *ibid.3.2.2.2, s.26*
13. *ibid.3.2.2.1, s.24*
14. *ibid.3.2.1 str.22, przypis 40*
15. *Szef KPRM o wynikach kontroli NIK, komunikat centrum prasowego rządu z 9.03.2012, http://www.premier.gov.pl/centrum_prasowe/wydarzenia/szef_kprm_o_wynikach_kontroli_9341/, podobne stanowisko Szef KPRM zajął w zastrzeżeniach złożonych do wystąpienia pokontrolnego NIK*
16. *Raport NIK, 3.2.2.4, str.28 w tym przyp.59, oraz 3.2.3.3, str.32*
17. *ibid. 3.2.2.3, str.27*
18. *Ostatecznie Prezydent dotarł do Brukseli wycarterowanym specjalnie samolotem, jednak cała sprawa wywołała zamęt wśród obsługujących polską delegację służb i zaszkodziła zewnętrznemu wizerunkowi Polski.*
19. *Raport NIK, 3.2.2.3, str.27*
20. *Część wystąpień pokontrolnych NIK odnośnie BOR ma charakter niejawnny*
21. *Raport NIK, 3.2.6.1, str.50-51*
22. *ibid.*
23. *ibid.2.2.5 str.13, oraz 3.2.5 str.46-50*
24. *Wywiad z pptk. Krzysztofem Decem: Zatrzymani przed taśmami, Nasz Dziennik 24-25 marca 2012.*
25. *ibid.3.2.5.3, przypis 126 : szczegóły w protokołach niejawnnych*
26. *ibid. 3.2.5.4*
27. *Dla Kwaśniewskiego zrobili remont w Smoleńsku, Fakt, 27.10.2011*
28. *Niccolo Machiavelli, Rozważania nad pierwszym dziesięcioleciem historii Rzymu Liwiusza; rozdz.II o różnych ustrojach republik i ustroju republiki rzymskiej, tłumaczenie: Krzysztof Żaboklicki, Unia Wydawnicza „Verum”, Warszawa 2008, str.142*

- ^{29.} *Kwestię przywództwa transakcyjnego i transformacyjnego w Polsce w latach 1989–2001 rozważa Rafał Matyja w art. Przywództwo i instytucje, w: Badanie instytucji Państwa 1989–2001, pod redakcją Ireny Jackiewicz, Wydawnictwo Sejmowe, W-wa 2004, Matyja odwołuje się do: J. MacGregor Burns, Władza przywódcza, w: J. Szczupaczyński (red.), Władza i społeczeństwo. Warszawa 1995*
- ^{30.} *Takie zrzućy zawiera Biała Księga smoleńskiej tragedii, przygotowana przez Zespół Parlamentarny ds. zbadania przyczyn katastrofy TU-154 M z 10 kwietnia 2010 roku, Warszawa 2011*
- ^{31.} *James Madison, Federalista nr 10, tłumaczenie Andrzej Jaraczewski, w: Wizje Stanów Zjednoczonych w pismach Ojców Założycieli, pod redakcją Wiktora Osiatyńskiego, PIW, Warszawa 1977*
- ^{32.} *Po ponownie wygranych przez PO wyborach w 2011 roku na swoim stanowisku pozostał SzeF KPRM, któremu nie udało się dostać do Parlamentu i awansowany po katastrofie w stopniu generalskim dowódcą BOR, szef MSWiA otrzymał stanowisko wojewody, a minister Obrony Narodowej dostał się do Senatu.*
- ^{33.} *W pracach MAK brał udział, jako akredytowany przedstawiciel Polski pułkownik Edmund Klich.*
- ^{34.} *stenogram z posiedzenia komisji sejmowej, Biuletyn nr: 4821/VI Komisja: Obrony Narodowej/nr 131/Data: 16-03-2011*
- ^{35.} *ibid.*

Wymiar wewnętrzny



Katastrofa smoleńska: niewydolność państwa i zmarnowany moment instytucjonalny w III RP¹

Paweł Soloch
Instytut Sobieskiego

„W ustanowieniu rządu ludzkiego nad ludźmi wielka trudność polega na tym, że najpierw trzeba umożliwić rządowi nadzór nad rządzonymi, a następnie zobowiązać go do kontrolowania samego siebie. Zależność od narodu stanowi niewątpliwie najistotniejszą kontrolę dla rządu, jednakże doświadczenie uświadomiło już ludzkości potrzebę dodatkowych zabezpieczeń.”

James Madison, Federalista nr 51²

„Po pierwsze, system Tuska rozumie władzę, jako panowanie nad ludźmi, a nie rządzenie instytucjami.”

Jan Rokita w wywiadzie dla tygodnika „Uważam Rze”, Nr 11 (58)/2012

Katastrofa Tu 154M i śmierć 96 osób z Prezydentem RP, w połączeniu ze sposobem, w jaki były i są prowadzone działania wyjaśniające okoliczności tego najbardziej tragicznego momentu w dziejach Polski niepodległej po 1989 roku, jest najbardziej wstrząsającym przejawem niewydolności instytucjonalnej państwa polskiego.

Na co dzień dowody tego narastającego zjawiska można wskazać praktycznie na każdym polu: ślimaczące się bez końca realizacje projektów rozbudowy infrastruktury drogowej, chaos i systematyczne pogarszanie się organizacji transportu kolejowego, brak inwestycji w energetyce skutkujący coraz częstszymi awariami przestarzałych sieci przesyłowych, oraz nierozwiązane problemy z zagwarantowaniem w najbliższych latach wystarczającego dostępu do energii elektrycznej, degradacja opieki zdrowotnej i oświaty, groźba załamania się systemu emerytalnego, czy problem zwiększającego się deficytu wody. Widoczne dla postronnego obserwatora przejawy zwiększającego się braku skuteczności państwa polskiego znajdują swoje potwierdzenie w ocenach dokonywanych przez instytucje zewnętrzne. Rankingi Banku Światowego oceniające, jakość rządów od lat umieszczają nasz kraj na jednym z ostatnich miejsc wśród państw Unii Europejskich.

III Rzeczpospolita po 20 latach swojego istnienia nie zdołała rozwiązać podstawowego problemu związanego z organizacją państwa, o którym pisał cytowany na wstępie Madison. Mianowicie, ani nie stworzono skutecznych narzędzi umożliwiających „rządowi nadzór nad rządzonymi”, ani nie zbudowano skutecznych mechanizmów zmuszających ów rząd do „kontrolowania samego siebie”. Przyczyny tego stanu rzeczy mają charakter strukturalny, powstały w konsekwencji „utruty momentu konstytucyjnego”³, kiedy to w roku 1989 i na początku lat dziewięćdziesiątych o podstawach ustrojowych III RP decydowały przede wszystkim partykularne interesy dominujących wówczas środowisk, a nie wzgląd na budowę sprawnego i nowoczesnego państwa⁴. Następna szansa na „moment konstytucyjny” pojawiła się przy końcu rządów SLD po 2003 roku wraz z towarzyszącymi temu hasłem budowy IV Rzeczpospolitej.

I. Przed katastrofą „Polityzacja” słabej koordynacji wizyty w Katyniu i jej systemowe przyczyny

Fakty ujawniane w związku z katastrofą 10 kwietnia 2010 roku odnoszą się nie tylko do łamania zasad i procedur, ale przede wszystkim informują o ich braku, co ma swoje głębsze, systemowe przyczyny. Zarówno podczas przygotowań do wizyty Prezydenta RP w Katyniu, jak i po tragedii na lotnisku w Smoleńsku, mieliśmy do czynienia z działaniami ad hoc, nierzadko chaotycznymi i w znacznym stopniu podyktowanymi bieżącymi interesami poszczególnych osób zasiadających w rządzie i podległych im urzędników i funkcjonariuszy. Improwizacja i pierwszeństwo dla decyzji podyktowanych partykularnymi interesami były możliwe wskutek braku podporządkowania procesów informacyjno-decyzyjnych jasno określonym regułem, wynikającym z instytucjonalnego ładu. **Brak reguła i nieład instytucjonalny utrudnia kontrolę, przez co rozmywa odpowiedzialność za zaistniały stan rzeczy, premiuje specyficzny „spryt” polegający na zaspokajaniu doraźnych potrzeb przełożonych i wpływowych grup interesów. Pozwala to decydentom utrzymywać się na stanowiskach bez konieczności podejmowania naprawy źle funkcjonujących struktur.**

Powyższe znalazło swoje odzwierciedlenie w nieprawidłowościach przy organizacji zabezpieczenia wizyty Lecha Kaczyńskiego w Katyniu. Na podjętych wówczas czynnościach organizacyjnych niewątpliwie zaważyło dążenie ze strony stojących na czele administracji rządowej, politycznych przeciwników Prezydenta, do blokowania prowadzenia przez niego aktywnej polityki zagranicznej. W działaniach tych, **obok publicznego dezawuowania jego inicjatyw (również przy politycznej współpracy z innymi państwami), nie wahano się sięgać po szykany administracyjne.**

Taką szykaną była bezpodstawna, jak to wykazała kontrola NIK⁵, odmowa prawa do skorzystania przez Prezydenta RP z samolotu rządowego na przelot do Brukseli w związku ze szczytem Unii Europejskiej w 2008 roku.

Przenoszenie logiki wewnętrznej walki politycznej na poziom decyzji administracyjnych powoduje uwikłanie w nią funkcjonariuszy państwowych bezpośrednio odpowiedzialnych za realizację procedur związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa osób pełniących najwyższe funkcje państwowe, co jest oczywistym zagrożeniem. Jeżeli zdarzenia tego typu powtarzają się wielokrotnie, to pojawienie się formalnie uzasadnianych przeszkód przy realizacji inicjatyw podejmowanych przez najważniejsze osoby w państwie może być przez nie traktowane, jako rozmyślne działanie będące elementem walki politycznej. To z kolei budzi nieufność, co do rzetelności otrzymywanych komunikatów i informacji (wątpliwości, co do intencji, w jakiej są przekazywane). Może to sprzyjać ich lekceważeniu ze strony urzędników i funkcjonariuszy zapewniających obsługę decydentów uwikłanych w wewnętrzną walkę polityczną. **Powoduje to specyficzną „polityzację” czynności, które z założenia nie powinny być traktowane uznaniowo, ale podlegać ściśle kontrolowanym procedurom.**

Owa „polityzacja” stała za przygotowaniami do tragicznie zakończonego lotu do Smoleńska. Polityczna wola obniżenia rangi wizyty Prezydenta w Kattyniu była demonstrowana zarówno w działaniach (rozdzielenie wizyty Premiera i Prezydenta), jak i w publicznych wypowiedziach przedstawicieli rządu, tworzyła atmosferę presji, która sprzyjała obniżeniu staranności z jaką organizowano podróż. Podobne mechanizmy ujawniły się we wcześniejszych wypadkach: przy okazji wsparcia udzielonego przez Prezydenta Gruzji w prowadzonej przez nią wojnie z Rosją czy kwestii udziału w delegacji polskiej na szczycie UE w 2008 roku. Pojawienie się niebezpieczeństwa zaniżania standardów funkcjonowania struktur państwowych wskutek walki politycznej ma także, a może nawet przede wszystkim, swoje przyczyny systemowe.

Oceniając przygotowanie prezydenckiego lotu do smoleńska Najwyższa Izba Kontroli w swoim raporcie mówi o tym, „że podmioty korzystające z wojskowego specjalnego transportu lotniczego (WSTL) oraz realizujące zadania dotyczące przygotowania wizyt osób zajmujących kierownicze stanowiska w państwie, **nie stworzyły spójnego systemu procedur i zasad postępowania**, który skutecznie minimalizowałby ryzyko wystąpienia sytuacji, mogących mieć negatywny wpływ na bezpieczeństwo tych osób”⁶. Rozliczne zaniedbania odnotowane w raporcie NIK wynikają z braku „precyzyjnego określenia kompetencji tych podmiotów {...} ich wzajemnych relacji {...} przy braku właściwej współpracy tych podmiotów”⁷.

a) Szef KPRM jako koordynator

Podstawy dla organizacji korzystania z WSTL zostały określone w Porozumieniu z dnia 15 grudnia 2004 roku zawartym między Szefami czterech Kancelarii: Prezydenta RP, Sejmu, Senatu, Prezesa Rady Ministrów oraz Ministrem Obrony Narodowej. Zgodnie z piątym paragrafem dokumentu **„Koordynatorem realizacji Porozumienia jest Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów”**, czyli **minister Tomasz Arabski**. Kluczowe znaczenie Szefa KPRM dla organizacji lotów najważniejszych osób w państwie dobrze pokazuje schemat zamieszczony w raporcie NIK⁸. Po powzięciu decyzji o wizycie przez jedną z osób uprawnionych do korzystania z WSTL osób (Prezydenta RP, Marszałka Sejmu, Marszałka Senatu lub Prezesa Rady Ministrów) Szef KPRM, jako formalny „Koordynator” odpowiada za przyjęcie zamówienia na realizację lotu zgodnie z określonymi zasadami, a następnie sam sporządza zamówienie, które przekazuje Dowódcy Sił Powietrznych (jednocześnie do wiadomości jednostki wykonującej transport) oraz Szefowi Biura Ochrony Rządu.⁹ Ponadto Koordynator odpowiada za uzgadnianie, w porozumieniu z Ministrem Obrony Narodowej, limitów dysponowania WSTL na potrzeby osób uprawnionych „w ujęciu godzinowym i finansowym” oraz prowadzi ewidencję składanych zamówień i wykonanych lotów.¹⁰ Oprócz tego Szef KPRM współpracuje z Ministrem Spraw Zagranicznych w wypadku organizowania wizyt zagranicznych. Zapisy Porozumienia z 15 grudnia z 2004 roku okazały się zbyt ogólne i nieprecyzyjne by skutecznie zapobiegać złej organizacji i zapewnienia bezpieczeństwa podczas wizyt.

Zarzuty postawione Szefowi KPRM przez NIK w bezpośrednim związku z przygotowaniem wizyty Prezydenta RP w Smoleńsku dotyczą: a) braku działań zmierzających do uzupełnienia brakujących danych (wymaganych w §7 ust. 2 pkt 1-2 Porozumienia) w zawiadomieniu o potrzebie wykorzystania WSTL wysłanym przez Kancelarię Prezydenta RP, b) niewykonania przez KPRM wymaganego zamówienia na realizację lotu. Zgodnie z oświadczeniem pracownika KPRM zajmującym się przygotowaniem wizyty 10 kwietnia 2010 roku, powszechną, nieujęta w żadne formalne procedury, praktyką w Kancelarii Premiera było przekazywanie bez jakiegokolwiek weryfikacji składanych zamówień bezpośrednio do Szefa BOR, oraz do Dowództwa Sił lotniczych i podległej mu jednostce wykonującej zadania transportu lotniczego (36 SPLT). Dalsza wymiana informacji odbywała się bezpośrednio między tymi instytucjami a kancelarią zgłaszającą wizytę z pominięciem uczestnictwa Szefa KPRM jako Koordynatora.

W opinii NIK „akceptacja dla stosowania takiej praktyki powodowała, że Szef KPRM nie posiadał danych i informacji niezbędnych do prawidłowej koordynacji, co z kolei miało negatywny wpływ na przebieg przygotowania wizyt przez 36 SPLT i BOR.”¹¹ **Brak wywiązywania się z obowiązku właściwego przyjmowania i spo-**

rzządzania zamówień własnych oraz nierzetelne prowadzenie ewidencji wykorzystywania WSTL miały swoje przyczyny strukturalne. Po pierwsze, sprawami tymi zajmował się w KPRM tylko jeden pracownik odpowiedzialny za realizację działań związanych z przygotowaniem średnio ponad 260 lotów rocznie.¹² Po drugie, jeszcze gorzej wyglądała kwestia organizacji uzgadniania limitów korzystania z WSTL, która zgodnie z Porozumieniem z 2004 roku, również powinna być koordynowana przez Szefa KPRM. Realizacja tego zadania nie została przydzielona na stałe do żadnej z komórek w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (nikt się formalnie tym nie zajmował) i nie zostały stworzone żadne pisemne procedury określające zasady i tryb ustalania limitów. Spowodowało to, że w praktyce limity WSTL były określane przez Ministra Obrony Narodowej, a Szef KPRM, jako formalny koordynator, nie dysponował na ten temat żadną wiedzą, co czyniło niemożliwym wykonywanie nałożonego na niego obowiązku monitoringu wykorzystania WSTL.¹³

Zawarte w Porozumieniu przepisy prawne o ogólnym charakterze, określające rolę Szefa KPRM jako Koordynatora, okazały się niewystarczające dla realizacji przypisanych mu zadań. Pociągało to za sobą konsekwencje w postaci braku synchronizacji procesu przygotowania i realizacji wizyt, a także jego rzetelnego nadzoru. Na te problemy w 2007 roku, po dwóch latach funkcjonowania systemu, wskazywali zarówno odpowiedzialny z tej kwestii pracownik KPRM, jak i ówczesny Minister Obrony, który proponował zmianę porozumienia.¹⁴ Propozycje te nie zostały podjęte przez kierującego w następnych latach Kancelarią Premiera Tomasza Arabskiego. Wobec braku precyzji w zapisach Porozumienia Szef Kancelarii Premiera podtrzymywał założenie, że zadania te powinny być wykonywane bezpośrednio przez tego, kto zamawia lot i odbywa wizytę. W odniesieniu do wyników kontroli NIK minister Arabski stwierdził, że „...przedmiotem kontroli NIK była sfera, w której Szef KPRM - ani jako Szef KPRM, ani Koordynator Porozumienia - nie posiadał kompetencji przypisywanych mu przez NIK. Nie jest prawdą, że Szefowi KPRM przypisane zostały kluczowe zadania koordynatora integrującego działania wszystkich zaangażowanych w realizację porozumienia jednostek. W przypadku wizyt i lotów organizowanych przez Kancelarie Sejmu, Senatu i Prezydenta RP, żaden Szef KPRM nie uczestniczył i nie uczestniczył nigdy w ich przygotowaniu. Jakikolwiek próby ingerencji w działalność tych instytucji, próby narzucania im przez KPRM takich lub innych działań czy terminów zostałyby słusznie potraktowane, jako naruszanie ich autonomii zagwarantowanej Konstytucją RP.”¹⁵

Konsekwencją przyjęcia przez Szefa KPRM założenia, że zapisy dotyczące koordynacji wizyt zawarte w Porozumieniu z 15 grudnia 2004 roku nie mają walu normatywnego, było przerzucanie odpowiedzialności na inne instytucje,

co wywoływało chaos kompetencyjny, a w konsekwencji zaniechanie kluczowych dla bezpieczeństwa czynności. Przykładem takiej sytuacji są kontrowersje między KPRM a MSZ w kwestii organizowania spotkań koordynacyjnych pomiędzy podmiotami przygotowującymi wizyty zagraniczne i brak przeprowadzania misji przygotowawczych (rekonesansów) w państwach będących celem wyjazdu. Zadania te w latach 2005-2010 w odniesieniu do zagranicznych wizyt Prezydenta i Premiera były wykonywane niezwykle rzadko, a obie instytucje: KPRM i MSZ po katastrofie w Smoleńsku wzajemnie obarczały się odpowiedzialnością za brak ich organizowania.¹⁶

Pomimo odżegnywania się przez ministra Arabskiego od odpowiedzialności za koordynację organizacji wizyt, można stwierdzić, że w rzeczywistości Szef KPRM w latach 2005-2010 faktycznie odgrywał rolę dysponenta WSTL i często samodzielnie decydował o przydziale transportu lotniczego osobom nieuprawnionym. Działo się to wbrew zapisom Porozumienia z 2004 roku, zgodnie z którym mogli to robić tylko Prezydent, Marszałkowie Sejmu i Senatu, oraz Premier.¹⁷

Koronnym przykładem kluczowej a zarazem niepoddanej żadnym regułom roli, jaką Szef KPRM odgrywa w systemie organizacji wizyt była odmowa prawa do skorzystania z WSTL przez Prezydenta RP w 2008 roku w związku z przelotem do Brukseli na posiedzenie Rady Europejskiej.¹⁸ Zgodnie z § 7 ust.2 Porozumienia Szef KPRM mógł odmówić sporządzenia zamówienia z wykorzystaniem WSTL w sytuacji otrzymania niekompletnego zawiadomienia, występując jednocześnie o jego uzupełnienie. W myśl powyższego jego rola ograniczała się do pilnowania procedury. Minister Arabski w wyjaśnieniach dotyczących rezygnacji z wypełnienia przepisów Porozumienia, tłumaczył swoją decyzję o blokowaniu lotu Prezydenta RP sporem na linii Prezydent-Premier o reprezentację na spotkaniu w Brukseli. W ten sposób **Szef Kancelarii Premiera realizował kompetencje organu właściwego do rozstrzygnięcia sporów kompetencyjnych między Prezydentem a Premierem – czyli Trybunału Konstytucyjnego**, mimo że nie wskazują na to żadne przepisy prawa.¹⁹ Wskazany w Porozumieniu na Koordynatora organizacji przejazdów najważniejszych osób w państwie, **zamiast być strażnikiem przypisanych mu procedur zajmował się ich łamaniem i naginaniem na użytek bieżącej gry politycznej prowadzonej przez swojego przełożonego.**

Takim zachowaniom sprzyjała niedoskonałość działającego od 2005 roku systemu. Obecny Szef KPRM objął swoje stanowisko w roku 2007, czyli w niespełna dwa lata po jego wprowadzeniu, czyli po okresie wystarczającym do weryfikacji jego skuteczności. Jednak ani nowy Szef Kancelarii ani jego przełożony – Premier, nie zdecydowali się na jakiegokolwiek działania naprawcze mimo formalnych sygnałów o nieprawidłowościach.

Odzwierciedla to istnienie szerszego zjawiska w funkcjonowaniu państwa, gdzie zamiast stosowania instytucjonalnych reguł preferuje się woluntarystyczny i uznaniowy model działania, który dzięki nieprzejrzystości reguł zapewnia większą swobodę w przeprowadzaniu doraźnych działań politycznych. Towarzyszy temu presja na uzyskanie możliwie dużej, nieskrępowanej formalnymi przepisami dyspozycyjności przedstawicieli instytucji państwa wobec sprawujących rządy polityków. Nagradzane wtedy są nie działania systemowe i przestrzeganie ustalonych zasad, ale oparta na improwizacji skuteczność w załatwianiu bieżących potrzeb decydentów. W dłuższej perspektywie rezygnacja z automatyzmu stosowania pewnych procedur, na rzecz działań uznaniowych, pozbawia rząd skutecznego panowania nad podległym mu aparatem. Bowiem wskutek powszechnego odchodzenia od przestrzegania reguł na rzecz nieustającej improwizacji niemożliwe się staje stosowanie instytucjonalnych mechanizmów kontroli, pozwalających sprawdzać rzeczywistą wydolność nadzorowanych struktur.

b) BOR bez nadzoru

Skutki powyższego można prześledzić na przykładzie ujawnionych informacji²⁰ odnośnie funkcjonowania Biura Ochrony Rządu (BOR); trzeciej co do ważności instytucji (po Kancelarii Premiera i MSZ) odpowiedzialnej za organizację wizyty w Katyniu. Zgodnie z prawem nadzór i kontrolę nad BOR sprawuje Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji. Jednak wszystko wskazuje na to, że w praktyce Biuro było instytucją pozostawioną samej sobie i pod tym względem jego sytuacja bardzo przypominała sytuację nadzorowanego przez MON 36 Specjalnego Pułku Lotniczego. W wypadku BOR, głównym kryterium skuteczności tej służby był poziom zadowolenia korzystających z niej decydentów. Ponieważ z ich strony nie stwierdzano ani żadnych skarg ani informacji o nieprawidłowościach, stanowiło to dla MSWiA powód, który usprawiedliwiał rezygnację przez Ministra z nakazywanych przez przepisy procedur weryfikujących rzeczywistą skuteczność Biura Ochrony Rządu.²¹ Dodatkową okolicznością, która według urzędników ministerstwa miała tłumaczyć zaniedbania w tym względzie miało być obciążenie Ministerstwa nadzorem i kontrolą innych obszarów znajdujących się w jego kompetencji (sic!).²²

Pozbawione skutecznego nadzoru i kontroli zewnętrznej BOR nie wytworzyło własnych skutecznych mechanizmów wewnętrznych. Przepisy wewnętrzne nie tworzyły spójnego systemu, źle został oceniony funkcjonujący w BOR system nadzoru i kontroli nad przygotowaniem i prowadzeniem działań ochronnych w stosunku do osób zajmujących kierownicze stanowiska w państwie, nie prowadzono analizy zagrożeń i aktualnych planów ochrony.²³ Wstrząsającym dowodem braku procedur i bezradności jest świadectwo oficera BOR, który znajdował się na lotnisku w Smoleńsku w momencie katastrofy.²⁴

Oficer ów zaniechanie czynności zabezpieczania ciał ofiar wypadku tłumaczy brakiem szkolenia w tym zakresie i mówi „Ja myślę, że to nie jest rola BOR, tylko kancelarii – jednej albo drugiej, albo MSZ”. O stosunku do Rosjan mówi, że im ufał, ponieważ „oni spotykają się na co dzień z nieco poważniejszymi zagrożeniami niż te, które my mamy na terytorium naszego kraju. Oni są Bardziej zahartowani, jeżeli chodzi o czujność (sic!), mają też większe fundusze.”

Brak też było właściwej współpracy pomiędzy BOR a instytucjami uczestniczącymi w organizacji wizyt: odpowiedniej Kancelarii, MSZ, także ze służbami państw obcych, co zdaniem NIK mogło prowadzić do zagrożenia osób ochraniających.²⁵

c) sprawdzanie stanu bezpieczeństwa lotniska

Brak realnej koordynacji opartej na systemowych regułach, powodował, że dla wielu czynności mających kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa organizowanych wizyt nie istniały żadne stałe procedury. W konsekwencji pewne standardy związane z zapewnianiem bezpieczeństwa były stosowane uznaniowo i stopniowo ulegały zanikowi. Takim przykładem jest sprawa sprawdzania stanu bezpieczeństwa lotniska, zwłaszcza, gdy nie jest ono lotniskiem czynnym jak to było w wypadku Smoleńska. Kontrola NIK ustaliła, że w ramach przygotowań do lotu **10 kwietnia 2010 roku, BOR nie dokonał sprawdzenia stanu bezpieczeństwa lotniska, ponieważ nie wynikało to z obowiązujących w BOR procedur.** Nie było to również przewidziane w umowach zawartych z Dowództwem Sił Powietrznych, w związku, z czym dowództwo 36 SPLT obsługujące przelot głowy państwa również nie zwróciło się do BOR w tej sprawie.²⁶

Tymczasem jeszcze na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych stosowano zasadę wysyłania przed przylotem najważniejszych osób w państwie grupy operacyjnej dokonującej odpowiednich weryfikacji (w jej składzie byli między innymi nawigator i operator systemów lądowania). Później z tego zrezygnowano i **obecnie w rutynowej praktyce zabezpieczania przelotu zarówno w stosunku do lotniska docelowego jak i w stosunku do wskazywanych pilotowi lotnisk zapasowych nie stosuje się automatycznie procedur związanych z tzw. listą potwierdzeń stanu lotniska,** czyli procedury bezpośredniego sprawdzenia przed przylotem, czy dane lotnisko rzeczywiście spełnia podane wcześniej parametry bezpieczeństwa. Według takich ostrzejszych standardów była przygotowywana wizyta w Smoleńsku Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego w 1996 roku. Grupa rekonesansowa, pojawiła się na lotnisku trzy miesiące przed wyznaczonym terminem i doprowadziła między innymi do przedłużenia pasa lotniska, a samą wizytę miało zabezpieczać kilkudziesięciu uzbrojonych oficerów BOR.²⁷

Porzucenie zasady automatycznej realizacji listy potwierżeń lotniska docelowego i pełnego zabezpieczenia lotnisk zapasowych w następnych latach tłumaczone było brakiem wystarczających środków. Procedury takie były realizowane tylko w wyjątkowych sytuacjach, np. podczas wizyty Papieża Benedykta XVI w Polsce w 2006 roku, czy Prezydenta USA G. Busha w roku 2007. Wobec najwyższych przedstawicieli władz polskich zastosowano je w związku z obecnością Prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Szczycie NATO w Rydze w 2006 roku.

II. Po katastrofie Utrata momentu instytucjonalnego w Polsce i utrwalenie się transakcyjnego modelu przywództwa

Katastrofa smoleńska w niespełna dwadzieścia lat od uzyskania suwerenności, obnażyła strukturalną słabość państwa, wywołała wśród Polaków olbrzymi wstrząs i postawiła w centrum uwagi kwestię państwa, jego sprawności i definicji celów, które powinno realizować. Napięcie i poczucie zagrożenia towarzyszące tragicznemu zdarzeniu stwarzały atmosferę dla „momentu instytucjonalnego”, bo wywołana dramatycznymi okolicznościami powszechna refleksja nad sytuacją w państwie, stwarzała szanse dla głębokiej analizy skuteczności jego instytucji i mogła prowadzić do działań służących istotnej korekcie sposobu funkcjonowania III RP.

Reakcja na katastrofę, wyrażana w masowych postawach i zachowaniach obywateli, mogła potencjalnie prowadzić do sytuacji, o której pisał Niccolo Machiavelli: „Jedno jest pewne: **korzystnych zmian ustrojowych nie zaprowadzi się nigdy bez niebezpieczeństwa,** ponieważ olbrzymia większość ludzi nigdy nie zgodzi się na ustanowienie nowego prawa dotyczącego ustroju państwa, o ile nie dowiedzie się jej konieczności takiego posunięcia; konieczność taka może być wywołana jedynie grożącym niebezpieczeństwem, a więc zanim udoskonali się ustrój, państwo może stanąć w obliczu swojej zguby.”²⁸

Jednak problem polegał na tym, że partia, która 10 kwietnia 2010 roku rządziła krajem, wcześniej nie nawoływała do głębokich reform państwa. Wręcz przeciwnie: hasłem wyborczym PO w zwycięskich dla niej wyborach w 2007 roku było zachowawcze wezwanie do „powrotu do normalności”, od której miały odciągać Polaków nieodpowiedzialne rządy Prawa i Sprawiedliwości. **Potraktowanie tragedii smoleńskiej, jako strasznego przejawu niewydolności państwa i wymagającego w związku z tym pilnej rekonstrukcji, byłoby zaprzeczeniem dotychczasowej linii rządu.** Rząd działający do tej pory zgodnie z modelem przywództwa transakcyjnego nastawionego na wymianę korzyści, musiałby przyjąć model inny: przywództwa nastawionego na realizację wizji wielkich zmian instytucjonalnych.²⁹

Wyjaśnienie okoliczności, które doprowadziły do śmierci najważniejszych osób w państwie z Prezydentem RP na czele musiałyby stać się punktem wyjścia dla poprowadzenia działań naprawczych. Nie ulegało wątpliwości, że **znaczna część zaniedbań, zwłaszcza tych, które mają charakter systemowy, obciążała po kolei wszystkie rządy, choć w niejednakowym stopniu. Jednak zarazem było oczywistym, że zasadnicza odpowiedzialność spadała na tych, którzy sprawowali władzę w czasie, kiedy nastąpiła katastrofa.** Ich odpowiedzialność była tym większa, że ich rządy w momencie zdarzenia były wystarczająco długie (dwa i pół roku), aby móc je rozliczać ze skuteczności w zarządzaniu bezpieczeństwem w państwie.

Dodatkową okolicznością niekorzystną dla rządu, był fakt, że do tragicznie zakończonej wizyty w Smoleńsku, doszło w atmosferze ostrego, trwającego od trzech lat, sporu rządu z głową państwa. Skutkiem tego było zorganizowanie oddzielnych uroczystości w Katyniu: osobnej dla Prezydenta 10 kwietnia i osobnej dla Premiera 7 kwietnia. Przy czym uroczystościom z udziałem Premiera Donalda Tuska nadano większą rangę dzięki uczestnictwu w nich Premiera Rosji Władimira Putina. Do rozdzielenia wizyt i w rezultacie obniżenia rangi wizyty Prezydenta RP doszło w trakcie kontaktów między rządem Polski a rządem Rosji. Niewyjaśnione do końca okoliczności, które im towarzyszyły stały się podstawą do oskarżeń o prowadzenie przez rząd swoistej gry z Rosjanami przeciw Lechowi Kaczyńskiemu.³⁰

Podsumowując, można stwierdzić, że wykorzystanie przez rząd Platformy Obywatelskiej „momentu instytucjonalnego”, jaki pojawił się w związku z wielkimi emocjami społecznymi wywołanymi tragedią smoleńską nie było możliwe.

Po pierwsze, **rząd musiałby zaprzeczyć dotychczasowej transakcyjnej filozofii rządzenia i przyjąć filozofię przywództwa transformacyjnego.** Zważywszy, że dotychczasowy „transakcyjny” styl sprawowania władzy pozwalał Platformie Obywatelskiej na skuteczne zachowanie poparcia społecznego, radykalna zmiana byłaby bardzo ryzykowna zwłaszcza w perspektywie przyspieszonych wyborów prezydenckich i mających nastąpić w następnym roku wyborów do parlamentu.

Po drugie, **gdyby rząd przyjął za punkt wyjścia dla swoich działań pełne wyjaśnienie wszystkich okoliczności katastrofy 10 kwietnia 2010 roku, to musiałby dokonać rzetelnej oceny własnej odpowiedzialności w tej sprawie.** W przypadku złych rozwiązań ustrojowych i niskiej kultury obywatelskiej jest to praktycznie niewykonalne, bo jak zwracał uwagę James Madison: „Nikt nie powinien być sędzią we własnej sprawie, ponieważ poczucie własnego interesu z pewnością wpłynie na jego osąd i, co niewykluczone skazi, jego uczciwość. W równym a nawet jeszcze większym stopniu

zgromadzenie ludzkie nie jest zdolne stanowić jednocześnie i sądu i strony [...] A czymże są rozmaici członkowie władz, jeśli nie zwolennikami i stronnikami spraw przez siebie rozstrzyganych?”³¹

Budowanie „momentu instytucjonalnego” i podsycanie nastrojów sprzyjających żądaniom radykalnej przebudowy państwa, które okazało się niezdolne do zapewnienia bezpieczeństwa swoim najwyższym przedstawicielom, w istocie oznaczało domaganie się rozliczenia i zmiany rządu. A zatem w partykularnym interesie sprawujących władzę leżało, jak największe bagatelizowanie i ukrywanie instytucjonalnego, wskazującego na niewydolność państwa, wymiaru tragedii w Smoleńsku. Chodziło o wykazanie, że katastrofa była wydarzeniem losowym, którego przyczyną mogły być tylko błędy popełniane przez ludzi znajdujących się na pokładzie samolotu i, jak to potwarzano z emfazą; mimo strasznego zdarzenia „państwo zdało egzamin”. Dlatego też jego sprawnie funkcjonujące instytucje nie wymagają zasadniczej korekty.

Wskutek przyjęcia takiego założenia Premier nie dopuścił do rozliczenia z odpowiedzialności osób stojących na czele instytucji zapewniających bezpieczeństwo państwa i jego najważniejszych przedstawicieli. W stosunku do tych osób nie wyciągnięto żadnych konsekwencji politycznych, zgodnych ze standardami stosowanymi w rozwiniętych demokracjach, takimi jak dymisja bądź zawieszenie w czynnościach. Zgodnie z logiką przywództwa transakcyjnego swoje stanowiska zachowali zarówno Szef KPRM, jak i Minister Obrony Narodowej wielokrotnie krytykowany za nieudolne kierowanie podległym mu ministerstwem (wcześniej podczas jego kadencji doszło między innymi do katastrofy samoloty CASA w której zginęli wysocy rangą oficerowie sił powietrznych). Na swoim stanowisku pozostał dowódca BOR i nadzorujący go Minister Spraw Wewnętrznych, który jednocześnie kierował Komisją Badania Wypadków Lotniczych powołaną przez Premiera w celu wyjaśnienia okoliczności katastrofy w Smoleńsku. Pozostawieni na swoich stanowiskach byli opisywani przez Madisona „zwolennikami i stronnikami spraw przez siebie rozstrzyganych”, chronili swoją pozycję i pozycję Premiera gwarantującego im pozostawanie na stanowiskach,³² uniemożliwiając tym samym realną kontrolę i ocenę skuteczności kierowanych przez nich instytucji.

Kolejnym przejawem niewydolności państwa, który ujawnił się w następstwie tragedii 10 kwietnia 2010 roku, okazał się brak mechanizmów kontroli dla poczynań rządu, które ten może prowadzić ze szkodą dla żywotnych interesów państwa. Trudności w uzyskaniu przejrzystości działań władz w tym względzie

pojawiły się wcześniej, chociażby w kwestii domniemanych więzień CIA na terenie Polski. W wypadku katastrofy smoleńskiej chodziło o rzecz fundamentalną: zapewnienia państwu polskiemu możliwości ustalenia przyczyn śmierci Prezydenta RP i towarzyszących mu osób, w tym najwyższych dowódców wojskowych, parlamentarzystów i wybitnych postaci życia publicznego.

Przyjęcie przez rządy Polski i Rosji załącznika nr 13 Konwencji chicagowskiej z 1944 roku o międzynarodowym lotnictwie cywilnym - wbrew faktycznemu wojskowemu statusowi lotu prezydenckiego samolotu - jako podstawy do działań wyjaśniających przyczyny tragedii zapewniło w dochodzeniu wiodącą rolę Rosji. Skutkowało to i skutkuje do dziś pojawianiem się faktów podważających rzetelność prowadzonego śledztwa.

Nie został należycie zabezpieczony wrak samolotu, który wraz z czarnymi skrzynkami nie został wydany stronie polskiej. Towarzyszą temu napływające od dwóch lat nowe informacje o znajdowaniu jego niezabezpieczonych fragmentów wraz z przedmiotami należącymi do ofiar. Coraz więcej jest również informacji świadczących o niestarannie przeprowadzonej identyfikacji ciał i skandalicznie prowadzonej sekcji zwłok. Kontrowersje wzbudził raport przygotowywany w myśl zapisów załącznika nr 13 Konwencji chicagowskiej działającego na terenie Wspólnoty Niepodległych Państw Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego (MAK). Obarczał on całkowitą winą za katastrofę stronę polską i nie stwierdzał istnienia istotnych błędów popełnianych przez obsługę lotniska Smoleńsku.³³

Ponieważ powyższe wskazywało, że państwo polskie nie miało istotnego wpływu na tak istotną dla jego suwerenności sprawę, jaką było dochodzenie w sprawie śmierci jego najwyższych przedstawicieli, uzasadniona stawała się kontrola działań rządu w tym względzie. Chodziło o ustalenie i ujawnienie okoliczności, w jakich rząd polski podjął decyzje odnośnie zastosowania załącznika nr 13 Konwencji chicagowskiej. Próbę taką podjęła grupa posłów opozycji zgłaszając na sejmowej Komisji Obrony wniosek o uchwalenie dezyderatu **o jak najszybsze przygotowanie i opublikowanie „białej księgi”, która zawierałaby kalendarium oraz dokumentację działań i decyzji rządu związanych z badaniem przez stronę polską i rosyjską przyczyn i okoliczności katastrofy smoleńskiej.**³⁴ Poseł Ludwik Dorn, który uzasadniał składany wniosek wskazywał, że rząd nie upublicznił praktycznie żadnego istotnej dokumentacji związanej z tą sprawą łącznie z formalnym udokumentowaniem powołania i działalności zespołu międzyresortowego do spraw koordynacji działań podejmowanych w związku z wypadkiem pod Smoleńskiem. O istnieniu i aktywności tego zespołu podobnie jak i innych działaniach rządu posłowie

mogli dowiadywać się tylko z mediów.³⁵ Wniosek został odrzucony, co pokazuje, że Parlament w obecnym kształcie, w warunkach ścisłej dyscypliny partyjnej wymuszanej sposobem ustalania miejsc na listach wyborczych, nie jest ciałem zdolnym do skutecznej kontroli tych, którzy sprawują władzę. Zważywszy, że przewagę w nim na ogół mają reprezentanci partii tworzących rząd, Parlament jest, jak to zauważył wcześniej cytowany Madison, zgromadzeniem ludzkim, które w jeszcze większym stopniu niż pojedyncze osoby nie jest zdolne „stanowić jednocześnie sądu i strony.”

Okoliczności tragedii w Smoleńsku, ciągle uzupełniane o nowe fakty, dowodzą braku mechanizmów bieżącej korekty wydolności państwa. Jediną możliwość weryfikacji zapewniają demokratyczne wybory umożliwiające zmianę władzy, ale dla zapewnienia skuteczności państwa niezbędne są instytucje oparte na przestrzeganych, systemowych regułach działania.



Długa wędrówka przez mgłę. Poglądy Polaków na katastrofę smoleńską

Tomasz Żukowski
Uniwersytet Warszawski

Co wiemy o przeżyciach i zachowaniach Polaków w pierwszych dniach i tygodniach po katastrofie smoleńskiej, w nadzwyczajnym czasie żałoby? Jakie były i są nasze poglądy na temat tego dramatycznego wydarzenia po wystygnięciu lawy ludzkich przeżyć, w czasie zwykłym, codziennym?

Pamięć każdego z nas stanowi tylko niewielki, przekształcony doświadczeniami ostatnich dwóch lat, ułamek tego obrazu. Przybliżony, całościowy obraz poglądów naszych rodaków w „sprawie smoleńskiej” możemy poznać dzięki licznym badaniom opinii społecznej: prostym, socjologicznym fotografiom otaczającej nas rzeczywistości. Od kwietnia 2010 roku było ich wiele: dziesiątki, może setki. Przyjrzyjmy się najważniejszym результатам tych pomiarów³⁶. Spróbujmy odpowiedzieć, co z nich wynika.

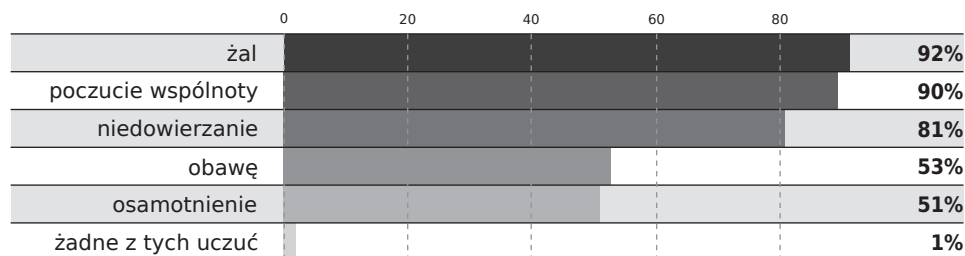
Kwiecień 2010: pospolite ruszenie czasu żałoby

Jest sobotni rano, 10 kwietnia 2010 roku. Opodal smoleńskiego lotniska rozbił się samolot z polską delegacją lecącą na uroczystości katyńskie. Giną Maria i Lech Kaczyńscy, a także dziewięćdziesiąt cztery inne osoby: przedstawiciele elit państwowych i politycznych, generalicja. Wiadomość o tragedii bardzo szybko dociera do milionów Polaków. Jak reagują na szokującą wiadomość o katastrofie?

Na początku jest – jak uczy psychologia społeczna – niedowierzenie. Pod wpływem napływających informacji szybko przeobraża się ono w żal, obawę i osamotnienie, wreszcie – w poczucie wspólnoty. Formuje się „żałobne pospolite ruszenie Polaków”. Żal i pragnienie wspólnoty przeżywają nie tylko setki tysięcy osób pod Pałacem Prezydenckim, czy ulicach Warszawy i Krakowa, ale także dziesiątki milionów ludzi w całym kraju: wedle unikalnych badań OBOP przeprowadzonych dla Ośrodka Myśli Politycznej tuż po żałobie – ok. 90% Polaków odczuwało żal i poczucie wspólnoty. Oba te uczucia łączą – są one udziałem praktycznie wszyst-

kich grup i kategorii Polaków, również tych prezydenta Kaczyńskiego dotąd krytykujących. Inaczej rzecz się ma z obawami, osamotnieniem, które odróżniają ludzi zgodnie z ich politycznymi wyborami i identyfikacjami. Odczuwa je nieco ponad połowa Polaków, w tym większość wyborców Lecha Kaczyńskiego z roku 2005 i mniejszość stronników Donalda Tuska.

W dniach katastrofy, powrotu do Polski ofiar i pogrzebu pary prezydenckiej towarzyszyły nam różne uczucia. A czy Pan(i) odczuwał(a):



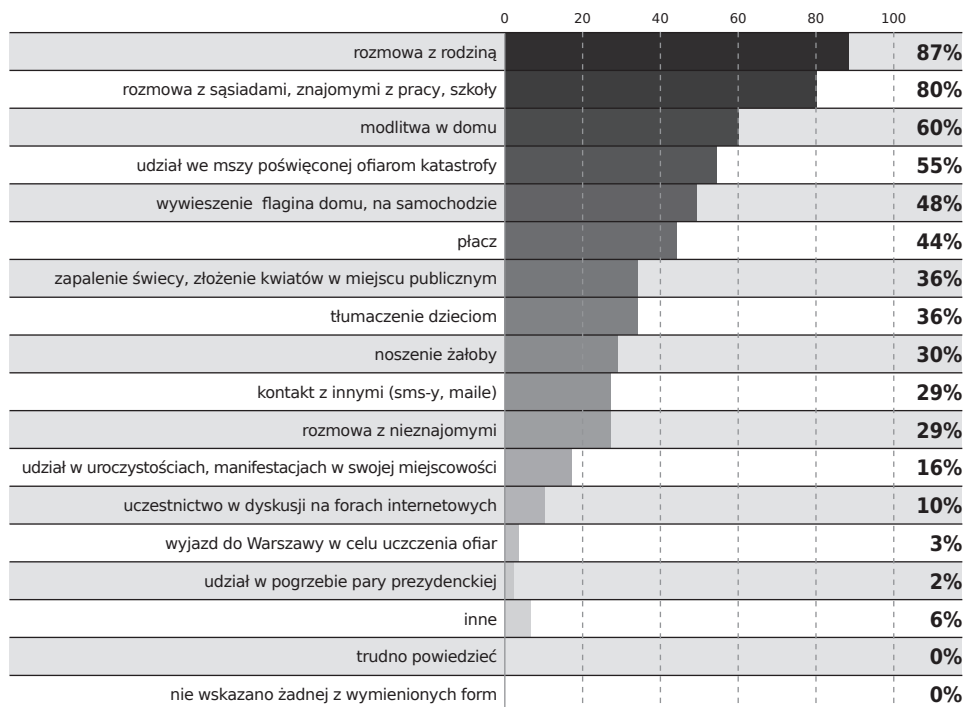
Dane OBOP z 19-20 kwietnia 2010 r.

Masowe są także ludzkie zachowania. Zdecydowana większość Polaków rozmawia z rodziną, sąsiadami, znajomymi. Trzy piąte naszych rodaków modli się, ponad połowa uczestniczy w mszy poświęconej ofiarom katastrofy, miliony wywieszają flagi, noszą żałobę, palą świece, składają kwiaty. Na kilkaset tysięcy należy szacować liczbę uczestników uroczystości pogrzebowych pary prezydenckiej w Krakowie. Zapewne więcej niż milion osób składa znicze i kwiaty pod Pałacem Prezydenckim.

Żałobne uroczystości to jednak nie tylko setki tysięcy osób oglądanych – także za pośrednictwem mediów – pod Pałacem Prezydenckim i Kościołem Mariackim, na ulicach Warszawy i Krakowa, W wielu miejscowościach całego kraju w takich publicznych manifestacjach uczestniczy 16% dorosłych Polaków – około 5 milionów ludzi. Masowa jest także aktywność w „wirtualu”.

Poeta powiedziałaby, że pod wpływem smoleńskiego dramatu spod skorupy społecznych instytucji wypływa lawa nadzwyczajnych przeżyć i zachowań. Polacy angażują się w trzech różnych przestrzeniach: prywatnej (rodzina, znajomi), publicznej (ulice, place) i w sferze sacrum. Najczęściej – w przestrzeni prywatnej. Warto tu zwrócić uwagę na masowość kontaktów ludzi z osobami dotąd obcymi. O katastrofie i żałobie z osobami, których się wcześniej nie znało, rozmawia prawie jedna trzecia Polaków. **W sytuacji nadzwyczajnej zdolność ludzi do kreowania kapitału społecznego zaufania zdecydowanie rośnie.**

W jaki sposób wyrażał(a) Pan(i) swe uczucia?



Dane OBOP z 19-20 kwietnia 2010 r.

Powszechnie przeżywa się żałobę także w sferze sacrum: w świątyniach, kaplicach. W przestrzeni publicznej żałoba „dzieje się” najrzadziej (choć właśnie tu widać ją w mediach najwyraźniej). I jeszcze jedno: przytłaczająca większość badanych (wedle OBOP – aż 96%) jest dumna z zachowań większości Polaków w dniach żałoby. Mówią o tym także i ci ludzie, którzy w owej szczególnej, narodowej, konfederacji nie uczestniczą, odmiennego zdania są nieliczni.

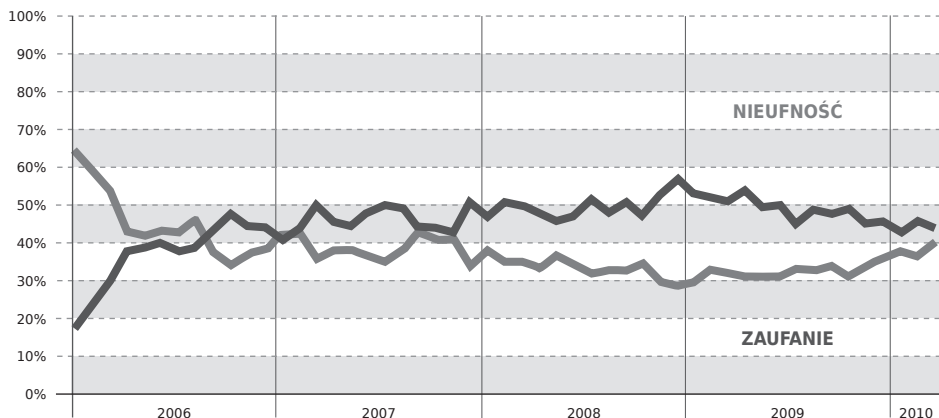
W żałobnej wspólnotie uczestniczą władze państwa. Pierwsze, społeczne oceny ich działań po katastrofie są jednoznacznie pozytywne: państwo ten egzamin zdało, było razem z nami.

Od 10 kwietnia w tę wspólnotę starają się włączyć władze Rosji (symboliczne objęcie premiera Tuska przez premiera Putina w miejscu katastrofy, wyświetlenie filmu „Katyń” Andrzeja Wajdy w rosyjskiej telewizji). Część polskich elit mówi o pojednaniu, przełomie. Także społeczeństwo, choć ostrożniejsze, reaguje na te sygnały wzrostem pozytywnych ocen Rosji i Rosjan.

Prezydent ujrzany na nowo

Stosunek opinii publicznej do Lecha Kaczyńskiego w czasach jego prezydentury zmienił się bardzo wyraźnie. Początkowo, na przełomie lat 2005-6, ufała mu zdecydowana większość badanych. Od wiosny roku 2006 do jesieni 2007 r. odsetki jego zwolenników i przeciwników zrównują się: ufa mu około 40% badanych, zaś odsetki nieufnych wynoszą 40-50.

Zaufanie do Lecha Kaczyńskiego w czasach jego prezydentury



Dane CBOS

Od przedterminowych wyborów parlamentarnych wizerunek Lecha Kaczyńskiego ulega pogorszeniu. W końcu roku 2008 zaufanie do niego deklaruje 29% badanych, zaś nieufnych jest dwukrotnie więcej (57%).

Przyczynia się do tego ofensywa antyprezydenckiej koalicji partii i mediów. Jej celem jest osłabienie instytucji głowy państwa, zniszczenie godnościowych podstaw prezydentury (relacja Janusza Palikota). Rozwija się – wedle słów znanego dziennikarza Piotra Zaremby – swoisty „przemysł pogardy i odzierania z godności” z udziałem „didżejów, autorów pozornie niepolitycznych programów telewizyjnych, aktorów i piosenkarzy”. Psuje to reguły debaty publicznej, mechanizmy funkcjonowania państwa. I choć skuteczniejsza niż wcześniej polityka prezydenta przynosi – w kolejnych, kilkunastu miesiącach – poprawę jego wizerunku, to jest on ciągle silnie obciążony negatywnymi emocjami znaczącej części społeczeństwa. W początkach marca Lechowi Kaczyńskiemu ufa 40% badanych Polaków, nie ufa 44%. Gorsze (ok. 25-30% ocen pozytywnych) są opinie o jego prezydenturze. Także i one jednak powoli rosną.

Katastrofa zmienia tę sytuację. Skokową zmianę opinii Polaków rejestruje „rutynowe”, comiesięczne badanie OBOP zaplanowane na drugi tydzień kwietnia. Pytani w czwartek 8-go i piątek 9-go odpowiadają zgodnie ze schematami kształtowanymi przez antyprezydencką koalicję partyjno-medialną. Deklaracje ankietowanych od 10 do 14 kwietnia, a więc tuż po katastrofie, są inne. Wśród osób pytanym właśnie wtedy dwie trzecie mówi o zmarłym prezydencie dobrze. Tydzień później – w szczególnym, społecznym klimacie tuż po pogrzebie na Wawelu – jest to aż cztery piąte Polaków. Wraz z końcem żałoby te odsetki zmniejszają się. Jednak po kolejnych tygodniach, w maju-czerwcu 2010, zmieniony wizerunek Lecha Kaczyńskiego stabilizuje się. Ponad połowa Polaków pytanym wówczas przez OBOP ocenia jego prezydenturę pozytywnie, mniej więcej jedna trzecia – negatywnie.

Wedle bardziej szczegółowego badania CBOS, w maju 2010 r. prawie dziewięć dziesiątych Polaków mówi o patriotyzmie Lecha Kaczyńskiego, jego przywiązaniu do tradycji i wartości. Prawie trzy czwarte – o uczciwości. Ponad połowa o tym, że rozumiał problemy zwykłych ludzi. Także ponad połowa – że był prawdziwym mężem stanu. I jeszcze jeden, bardzo ważny wynik: prawie połowa ankietowanych mówi, że był niedoceniany przez większość ludzi.

Największe, jakościowe zmiany społecznych opinii dotyczą stosunku prezydenta do zwykłych ludzi i dobra kraju. Warto też zauważyć, że trwale pozytywnymi elementami wizerunku Lecha Kaczyńskiego były jego patriotyzm i osobista uczciwość.

Ewolucja społecznego wizerunku Lecha Kaczyńskiego między lutym a majem 2010 r.

	luty 2010	maj 2010
Był przywiązany do tradycji i wartości narodowych	74%	89%
Nie przywiązywał należytej wagi do tradycji i wartości narodowych	15%	4%
Był uczciwym człowiekiem	49%	72%
Nie był uczciwy	19%	7%
Rozumiał problemy zwykłych ludzi, troszczył się o ich los	30%	57%
Nie obchodził go los zwykłych ludzi	51%	22%
Był prawdziwym mężem stanu - kierował się dobrem kraju	26%	52%
Kierował się przede wszystkim własnymi interesami politycznymi	56%	32%
Był niedoceniany przez większość Polaków	-	47%
Był oceniany tak, jak na to zasługiwał	-	42%
Nie wyróżniał żadnej z sił politycznych	22%	20%
Kierował się przede wszystkim interesami partii, z której się wywodził	64%	64%

W badaniu przeprowadzonym w lutym 2010 r. pytania zadawane były w czasie teraźniejszym.
 Dane CBOS z lutego i maja 2010 r.

Z licznych badań wynika, że po katastrofie zarejestrowano także inne, istotne zmiany społecznych nastrojów: poprawiają się oceny rządu i premiera, rośnie bardzo wyraźnie zaufanie do polityków wszystkich opcji. To konsekwencja budowania przez Polaków wspólnoty, szczególnej potrzeby przynależności (ciekawe, że owe „wzmożenie” nie obejmuje osób deklarujących nieuczestniczenie w praktykach religijnych). W nadzwyczajnej sytuacji społeczeństwa i narodu politycy stają się dla ludzi postaciami „na serio”: przedstawicielami zagrożonej wspólnoty. Traci jedynie postpolityczny „główny inżynier przemysłu pogardy” Janusz Palikot.

Wawel: Krypta Srebrnych Dzwonów

Parę dni po katastrofie pojawia się propozycja pochowania pary prezydenckiej na Wawelu. Część elit – w tym Andrzej Wajda – potępia ją, inna część – popiera. Spory zostają jednak rychło wygaszone. Po decyzji gospodarza Katedry Wawelskiej kard. Stanisława Dziwisza 18 kwietnia w Krakowie odbywa się uroczysty pogrzeb Marii i Lecha Kaczyńskich.

Co o pochówku w Krypcie Srebrnych Dzwonów sądzą wówczas Polacy? Z badania OBOP dla Ośrodka Myśli Politycznej wynika, że połowa ankietowanych popiera tę decyzję (choć nie wszyscy od początku), zaś jedna trzecia nie popierając uważa, iż „trzeba ją uznać”.

Co sądzą Pan(i) o pochowaniu Pary Prezydenckiej na Wawelu?

od początku popierałem(am) tę decyzję	42%
nie popierałem(am) tej decyzji, ale teraz ją popieram	9%
nie popierałem(am) i nie popieram tej decyzji, ale uważam, że trzeba ją uznać	34%
nie popierałem(am) i nie popieram tej decyzji i jej nie uznaję	9%

Dane OBOP z 19-20 kwietnia 2010 r.

Specyficzny klimat „stanu nadzwyczajnego” – republikańskiego, narodowego poruszenia – powoduje, że znaczenie pochówku zmarłej tragicznie głowy dzisiejszego państwa pomiędzy monarchami i naczelnikami Polski jest intuicyjnie rozumiane. Ludzie różnią ją i oddzielają to co metapolityczne od bieżącej polityki. Tylko nieliczni twierdzą, że decyzji „nie popierało, nie popiera i nie uznaje”.

Warto przypomnieć, że na przebieg uroczystości pogrzebowych wpływa wybuch islandzkiego wulkanu 14 kwietnia 2010 r. Chmura popiołu dezorganizuje ruch lotniczy nad Atlantykiem i Europą. Swoją udział w uroczystościach pogrzebowych odwołują m.in.

prezydenci USA i Francji, kanclerz Niemiec i przewodniczący Rady Europejskiej. Wśród przywódców państw obecnych na pogrzebie są prezydent Rosji oraz m.in. prezydenci Niemiec i Czech, przywódcy Ukrainy. Do Krakowa dociera też – ze Stanów Zjednoczonych – prezydent Gruzji. Kilka dni później – zgodnie z wymogami konstytucji – marszałek Sejmu wyznacza termin wyborów nowego Prezydenta RP. Pierwsza ich tura ma się odbyć 20 czerwca, ewentualna druga – 4 lipca. Niewypełniony jeszcze, szczególnie czas żałoby przechodzi w kolejny „czas nadzwyczajny”: okres demokratycznej kampanii wyborczej.

Czas żałoby: nietypowa rola mediów

Jak twierdzą dość zgodnie różni obserwatorzy polskiej debaty publicznej, w czasie żałoby po katastrofie smoleńskiej opinie mediów o parze prezydenckiej, a także o całym świecie polityki, wyraźnie się zmieniły dostosowując do nowego, nadzwyczajnego klimatu społecznego. Dzieje się tak pod bardzo silną, oddolną presją (przypomnijmy choćby wymuszone przez uczestników krakowskich uroczystości pogrzebowych usunięcie TVN 24 z telebimów zainstalowanych na Rynku).

Komercyjne media (czyli – by użyć słów Benjamina Barbera – polski telesektor informacyjny) przechodzą – dziś wiemy, że na krótko – od kreowania ludzkich przeżyć i zachowań do ich relacjonowania i wspierania (podobnie rzecz miała się w kwietniu roku 2005). Ofiary katastrofy, dotąd negatywni bohaterowie dziennikarskich narracji, stają się nagle tym, kim byli naprawdę. Ludzie przypominają sobie na nowo Marię i Lecha Kaczyńskich jako sympatycznych ludzi, ciekawe osobowości, ważne, pozytywne postacie polskiej wspólnoty. Uruchamia to po 10 kwietnia dysonans poznawczy między wcześniejszym i bieżącym przekazem wielu mediów. Polacy wyciągają z tego dwa wnioski. Obciążają media grzechem niesprawiedliwego traktowania prezydenta. Tuż po powszechnej żałobie dwie trzecie (68%) badanych zgadza się, że był on przez nie niesprawiedliwie atakowany.

Mówi się dziś o tym, że prezydent Lech Kaczyński był niesprawiedliwie atakowany przez dziennikarzy, media. Czy Pan(i) zgadza się z tą opinią, czy też nie?

	kwiecień 2010	maj 2010
Zdecydowanie zgadzam się	38%	23%
Raczej zgadzam się	30%	29%
Raczej nie zgadzam się	16%	22%
Zdecydowanie nie zgadzam się	9%	12%
Trudno powiedzieć	7%	14%

Dane OBOP z 18-20 kwietnia i 7-12 maja 2010 r.

Z drugiej strony większość ludzi ocenia pozytywnie sposób relacjonowania i wspierania przez media ludzkich przeżyć i zachowań czasu żałoby.

Szukanie odpowiedzi: co się stało?, co z Rosją?, co z polskim państwem?

Koniec kwietnia, maj i czerwiec to specyficzny okres przekształcania się jednego stanu nadzwyczajnego polskiego społeczeństwa w drugi: przechodzenia od żałobnej wspólnoty do kampanii wyborczej. Przez parę tygodni klimat społeczny w Polsce współkształtują przeżywanie śmierci polskich elit i polityczna rywalizacja o pierwszy urząd w państwie. W miarę upływu czasu znaczenie tego drugiego procesu nieuchronnie rośnie.

Ważną częścią zdarzeń toczących się w Polsce w okresie kampanii prezydenckiej są polityczne decyzje oraz telewizyjne, prasowe i internetowe dyskusje związane ze sprawą smoleńską: jej przebiegiem, przyczynami i konsekwencjami. Przypomnijmy niektóre z nich.

6 maja większość sejmowa (PO, SLD, PSL) odrzuca rezolucję PiS wzywającą premiera do wystąpienia do Rosji o przekazanie Polsce postępowania w sprawie katastrofy. 19 maja wstępny raport MAK obciąża odpowiedzialnością za katastrofę stronę polską. Nasz rząd nie zaprzecza tym wnioskom, choć obecny na konferencji MAK akredytowany przedstawiciel Polski Edmund Klich jeszcze w kwietniu informował przełożonych, że dotychczasowe, polskie śledztwo obciąża Rosjan (o czym wiemy z ujawnionych w grudniu 2011 r. nagrań).

1 czerwca na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego przedstawiono (upubliczniając je następnie) odczytane przez MAK zapisy „czarnych skrzynek”. Nagłośnione przez media mają potwierdzać (dziś wiemy, że bezzasadnie) „narrację naciskową”, obciążającą polskich pilotów i gen. Błasika. Nie ujawniają natomiast polskie władze uderzających w stronę rosyjską nagrań rozmów kontrolerów ze smoleńskiego lotniska otrzymanych na początku śledztwa przez E. Klicha (poznamy je dopiero na początku roku 2011). W ramach dyskusji o przyczynach katastrofy, znacząca część najbardziej wpływowych polskich mediów, a także ważni przedstawiciele władz i celebryci, już od dnia katastrofy prezentują Polakom diagnozy obciążające winą ofiary tragedii. Mówi się o błędach pilotów i wywieranych na nich naciskach. Istotnym źródłem tych informacji są „przecieki” z instytucji prowadzących śledztwo oraz rosyjskie media. Pojawiające się w debacie – przede wszystkim tej inter-

netowej - diagnozy obciążające winą stronę rosyjską są marginalizowane, wypychane poza główny nurt dyskursu.

Jak wyglądają wówczas opinie Polaków o sprawie smoleńskiej? Ich odpowiedzi świadczą o niepewności, wątpliwościach. Powszechne są obawy, że przyczyny katastrofy nie zostaną ustalone. W maju – wedle OBOP – sądzi tak połowa badanych, w to, że do ich wyjaśnienia dojdzie wierzy ponad jedna trzecia (37%) Polaków.

W przestrzeni publicznej debaty ściera się kilka różnych diagnoz sytuacji. **Ludzie odrzucają tezę, że winni są piloci. Mniej jednoznaczne są ich opinie o odpowiedzialności strony rosyjskiej. Choć miesiąc - dwa po tragedii przeważa pogląd obciążający obsługę lotniska (wedle majowych pomiarów OBOP podziela go 40-45%, odrzuca 30%), to pośród ludzi młodych, wykształconych, z wielkich miast, kampanijnych zwolenników Bronisława Komorowskiego oraz osób preferujących jako źródło wiedzy o świecie i kraju stację TVN24, jest inaczej. O kilka-kilkanaście punktów przeważa tu wiara, że „wieża” błędu nie popełniła.** Polacy, w ślad za organizującymi debatę publiczną mediami, spoglądają po katastrofie na Rosję i Rosjan znacznie cieplej niż dotąd. Ma to oczywisty związek z sygnałami wysyłanymi przez władze Rosji i Polski, a także przez wpływowych przedstawicieli świata kultury (choćby Daniela Olbrychskiego i Andrzeja Wajdę). Ponad połowa (58%) naszych rodaków wierzy w maju, że Moskwie zależy na wyjaśnieniu przyczyn katastrofy.

Czy uważa Pan(i), że władzom rosyjskim zależy na wyjaśnieniu przyczyn katastrofy smoleńskiej, czy też nie?

Zdecydowanie zależy	19%
Raczej zależy	39%
Raczej nie zależy	24%
Zdecydowanie nie zależy	8%
Trudno powiedzieć	10%

Dane OBOP z 8-13 maja 2010 r.

Większość badanych oczekuje jednak równocześnie, że śledztwo powinna prowadzić Polska. Nadziejom na pojednanie i deklaracjom współpracy towarzyszy też stabilne przekonanie połowy Polaków (dane CBOS z maja), że to właśnie Rosja jest tym państwem, którego „Polska powinna się najbardziej obawiać”. Jest więc ówczesne, polskie myślenie mieszaniną poczucia wspólnoty i niepewności, co przyniesie przyszłość, nadziei na partnerstwo i lęku (prowadzącego czasem do gotowości podporządkowania się polityce sąsiada z północnego wschodu).

Niejednoznaczna jest też ocena działalności władz państwa w czasie katastrofy. Opinie Polaków pogarszają się, choć – wedle czerwcowych badań OBOP – nadal ponad połowa badanych uznaje, że państwo swój egzamin zdało. Z bardziej szczegółowych odpowiedzi wynika jednak, że sprawdziło się przede wszystkim jako organizator żałoby, w tym – uroczystości pogrzebowych. Inaczej oceniają ludzie przygotowanie lotu oraz wyjaśnianie przyczyn katastrofy. Tu – zdaniem większości pytanym – państwo egzaminu nie zdało.

Jak ocenia Pan(i) działania państwa w związku z katastrofą smoleńską w zakresie:

	b. dobrze	dobrze	źle	b. źle	trudno powiedzieć
przygotowania i przebiegu przelotu prezydenta	5%	29%	35%	16%	15%
sprowadzenia zwłok i pogrzebów ofiar katastrofy	20%	56%	14%	5%	5%
wyjaśnienia przyczyn katastrofy	4%	25%	37%	18%	16%

Dane OBOP z 10-15 czerwca 2010 r.

Niewielkie są też – w czasie kampanii - oczekiwania Polaków wobec państwa (i szerzej – aktorów ze sfery publicznej) na przyszłość. Nie mają złudzeń, że media przestaną manipulować informacjami, a większość polityków zadba o dobro wspólne. Spodziewają się zwiększonych wymagań ludzi wobec polityków i mediów. Wierzą też, że przeżycia czasu żałoby pozostawią trwały ślad w ludziach.

Bilans kampanii

Kampania dobiega końca. W drugiej turze głosowania, 4 lipca, Bronisław Komorowski wygrywa kilkoma punktami z Jarosławem Kaczyńskim. Jak wpłynęła na właśnie taki rezultat kwestia smoleńska?

Z pewnością oddziałuje ona na stosunek Polaków do obu głównych kandydatów: jeden jest przecież bratem zmarłego tragicznie prezydenta, drugi – zgodnie z art. 131 Konstytucji RP – wykonuje tymczasowo prezydenckie obowiązki. Ponadprzeciętnie silna społeczna potrzeba wspólnoty (sprzyjają temu kolejne fale powodzi) powoduje, że w hasłach zarówno Kaczyńskiego, jak i Komorowskiego mowa jest o budowaniu, o tym co łączy, zaś temperatura rywalizacji jest niższa od odnotowywanych w większości kampanii wyborczych we współczesnej Polsce. Ważne jest i to, że większość sejmowa oraz p.o. prezydenta obsadzają szybko szereg ważnych stanowisk wakujących po katastrofie. Oznacza to zwiększenie się – już w trakcie kampanii - przewagi PO (obozu władzy) nad opozycyjnym obozem PiS, gdy chodzi o skalę wpływów na scenie politycznej.

Trudny do precyzyjnego zmierzenia wpływ na wyniki głosowania mają – kształtujące się w czasie kampanii - opinie Polaków nt. przyczyn katastrofy. Diagnozy mówiące o odpowiedzialności ofiar katastrofy (pilotów i prezydenckiej delegacji na uroczystości w Katyniu) oraz odciążające Rosję sprzyjają najpewniej poparciu kandydata obozu władzy. Te wskazujące na potrzebę większej podmiotowości Polski i mówiące o winie strony rosyjskiej – działają odmiennie. Generalnie obozowi władzy nie sprzyjają, ale – w niektórych wersjach – mogą uruchamiać lęk przed otwartym, międzynarodowym konfliktem i ucieczką ku „spokojowi”.

Jaki jest zatem wpływ sprawy smoleńskiej na wybory? Z dotychczasowych, socjologicznych analiz wynika, że nie zmieniła ona struktury politycznych preferencji uformowanej w wyborach z lat 2005-7. Przeciwnie – można sądzić, że **posmoleńskie wybory Polaków utrwaliły wcześniejsze podziały i identyfikacje większości z nich. Zmiana polega na uzupełnieniu głównych osi współtworzących podstawowy polski podział socjopolityczny (z dwoma głównymi obozami: zbudowanym wokół PiS oraz skupionym wokół Platformy „antiPiSem”) o nowy, istotny wymiar: stosunek do katastrofy z 10 kwietnia, jej znaczenia, przyczyn i konsekwencji.** Inna zmiana wywołana przez sprawę smoleńską polegała na zmniejszeniu się – dotyczyło to głównie „czasów nadzwyczajnych”: żałoby i kampanii wyborczej – wizerunkowej przewagi obozu Platformy nad obozem PiS. Część socjologów sądzi, że gdyby kampania była „dłuższa o dwa, trzy tygodnie, nie można by wykluczyć zwycięstwa Jarosława Kaczyńskiego” (Tadeusz Szawiel).

Harcerski krzyż

15 kwietnia harcerze przynoszą przed Pałac Prezydencki drewniany prosty krzyż. Otoczony kwiatami i tysiącami płonących zniczy stoi w samym centrum toczących się, nadzwyczajnych wydarzeń. Jest tu, przed siedzibą głowy państwa, wśród tysięcy żałobników, czymś oczywistym. Tak jak i umieszczony na nim nieco później apel „harcerzy i harcerek do władz i społeczeństwa o zbudowanie tutaj pomnika”.

Smoleński krzyż, powszechnie akceptowany w tym miejscu w „czasie nadzwyczajnym”, staje się po wyborach przedmiotem zaostrzającego się sporu. Jego początek przypada na 10 lipca. Prezydent elekt Bronisław Komorowski, mówi „Gazecie Wyborczej”: „Pałac Prezydencki jest sanktuarium państwa. Krzyż, co było zrozumiałe, postawiono w nastroju żałoby, lecz żałoba minęła i trzeba te sprawy porządkować. Krzyż to symbol religijny, więc zostanie we współdziałaniu z władzami kościelnymi przeniesiony

w inne, bardziej odpowiednie miejsce”. Rozpoczyna się pełna emocji debata o sposobie upamiętnienia ofiar katastrofy, potrzebie i terminach przenosin krzyża. W tym samym okresie temperatura masowych, ludzkich przeżyć stale nieuchronnie spada. „Czasy nadzwyczajne” się kończą, zaczyna się zwykła codzienność. Lawa stygnie. Społeczne nastroje wracają do stanu sprzed 10 kwietnia. Stąd intensywne zaangażowanie w konflikt „pod krzyżem” mniejszości Polaków i dystansowanie się większości opinii publicznej wobec obu stron zaostrzającego się sporu. **W nowej, powyborczej sytuacji zwycięski obóz – wsparty przez większość mediów - odrzuca apel harcerzy o „pomnik tutaj”, zyskując dla tej decyzji rosnącą - w miarę rozwoju sytuacji - część opinii publicznej.** Kolejne badania pokazują słabnące poparcie ludzi dla upamiętnienia ofiar katastrofy smoleńskiej pomnikiem postawionym pod Pałacem Prezydenckim, a więc w centralnym kręgu żałobnego pospolitego ruszenia „czasów nadzwyczajnych”. Większość polskiej opinii publicznej akceptuje jednak we wrześniu 2010 r. jego postawienie w Warszawie.

Czy, Pana(i) zdaniem, w Warszawie powinien, czy też nie powinien, stanąć pomnik upamiętniający wszystkie ofiary katastrofy prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem?

Zdecydowanie powinien	36%
Raczej powinien	40%
Raczej nie powinien	13%
Zdecydowanie nie powinien	6%
Trudno powiedzieć	5%

Dane OBOP z 1-8 września 2011 r.

W tym samym czasie ci sami badani większością głosów odmawiają prawa do pomnika w stolicy prezydentowi Polski (a wcześniej – Warszawy), który tragicznie zginął pełniąc swój urząd.

Czy, Pana(i) zdaniem, w Warszawie powinien, czy też nie powinien, stanąć pomnik upamiętniający prezydenta Lecha Kaczyńskiego?

Zdecydowanie powinien	11%
Raczej powinien	24%
Raczej nie powinien	24%
Zdecydowanie nie powinien	34%
Trudno powiedzieć	8%

Dane OBOP z 1-8 września 2011 r.

Realizowana przez obóz władzy strategia wykluczenia pamięci o prezydencie Lechu Kaczyńskim z przestrzeni publicznej okazuje się skuteczna. Jak wynika z badań, **trzy czwarte zwolenników PO i SLD (czyli głównych sił „obozu antyPiSu”) odmawia prezydentowi Kaczyńskiemu pomnika w Warszawie równocześnie przyznając („za” jest ok. 70%) takie prawo wszystkim ofiarom katastrofy. Jednak taki pomnik w stolicy także nie powstaje.** Inne, realizowane w tym czasie, badania informują, że spada społeczna aprobata dla pochówku Marii i Lecha Kaczyńskich na Wawelu. Spór o pomnik i o krzyż stają się dodatkowym, ważnym elementem tożsamości dzielącym Polaków na przeciwstawne obozy polityczne.

Polacy o katastrofie w czasie „normalnym” (jesień 2010 i później)

Minęła powszechna żałoba i kampania wyborcza, wraca codzienność. Sprawy związane z katastrofą smoleńską są jednym z ważniejszych nurtów politycznych wydarzeń i istotnym tematem publicznej debaty „czasu zwyczajnego”. W roku 2011 tymi wydarzeniami są przede wszystkim ogłoszenie w Moskwie raportu MAK (styczeń), ujawnienie przez stronę polską nagrań rosyjskich kontrolerów z lotniska w Smoleńsku (styczeń), kwietniowe obchody rocznicy katastrofy, raport komisji Jerzego Millera (koniec lipca), debata nt. Smoleńska w trakcie kampanii wyborczej do parlamentu (lato i wczesna jesień), wreszcie grudniowe „taśmy Klicha”.

W pierwszym kwartale roku 2012 wymienić można prace polskiej prokuratury (w tym nowe odczytanie „czarnych skrzynek”) oraz ekspertów niezależnych od władz.

Przyjrzyjmy się reakcji społecznej na niektóre z tych wydarzeń. Wpierw – raportowi MAK oraz późniejszemu raportowi „komisji Millera”. Dochodzi wówczas do konfrontacji stanowisk strony rosyjskiej (mówiącej o polskiej winie i bezpośrednich naciskach na pilotów) oraz władz Polski (mówiących o winie obu stron i – dziś wiemy, że na podstawie nieprawdziwych dowodów – o naciskach pośrednich).

Oceny raportów komisji ustalających okoliczności katastrofy pod Smoleńskiem

	Raport MAK	Raport Millera	
	oceny: luty 2011	oczekiwania: luty 2011	oceny: sierpień 2011
rzetelny - uwzględniono w nim wszystkie okoliczności katastrofy	8%	48%	30%
nierzetelny - nie uwzględniono w nim wszystkich okoliczności katastrofy	75%	32%	41%
trudno powiedzieć, nie słyszałem (łam) o tym raporcie	17%	20%	29%

Dane CBBOS z lutego - sierpnia 2011 r.

Ten pierwszy odrzuca (przy dużych, negatywnych emocjach) zdecydowana większość Polaków. Drugi jest odebrany lepiej (za rzetelny uznaje go mniej niż jedna trzecia badanych), nie spełnia jednak wiązanych z nim społecznych oczekiwań. **Polacy zmieniają swoje zdanie o odpowiedzialności strony rosyjskiej. Po uznaniu za jednoznacznie niewiarygodny raport MAK oraz opublikowaniu stenogramów z „wieży” smoleńskiego lotniska, o winie rosyjskiej obsługi lotniska przekonana jest zdecydowana większość Polaków, także tych młodych, wykształconych, z metropolii.** Niewiele pozostaje po ociepleniu stosunku do Rosji i Rosjan z kwietnia-maja 2010 r. Powraca nieufność, narasta – szczególnie po raporcie MAK – negatywna ocena śledztwa prowadzonego przez stronę rosyjską. **W lutym 2011 r. wierzą, że władzom Rosji zależy na wyjaśnieniu przyczyn katastrofy, deklaruje 33% badanych przez CBOS (przypomnijmy że w maju 2010 r. - 58%). W sierpniu 2011 r. – już tylko 24%.**

Czy uważa Pan(i), że władzom rosyjskim zależy na wyjaśnieniu przyczyn katastrofy smoleńskiej, czy też nie?

	maj 2010	wrzesień 2010	luty 2011	sierpień 2011
zależy	58%	35%	33%	24%
nie zależy	32%	53%	59%	63%
trudno powiedzieć	10%	12%	8%	13%

Dane CBOS z maja 2010 - sierpnia 2011r.

Z drugiej strony większość wierzy (badanie z wiosny 2011) w możliwość partnerskich stosunków z Moskwą, zaś odpowiedzialnością za katastrofę obciąża obie strony. Odrzucając – jeszcze przed opublikowaniem „raportu Millera” – tezę o winie polskich pilotów, spora część badanych jest gotowa – wedle wiosennej „Diagnozy Społecznej 2011” - uznawać za przyczynę katastrofy naciski na pilotów. Taką odpowiedź wybiera najczęściej (36%) pytanym, w tym prawie 60% wyborców PO i około 55% - SLD. Po „raporcie Millera” – wedle nieporównywalnych z „Diagnozą” badań CBOS – jako najważniejsze przyczyny katastrofy Polacy wymieniają nieprzygotowanie lotniska, błędne informacje z wieży i – na trzecim miejscu – naciski na pilotów. Nowe odczytanie „czarnych skrzynek” przez polskich ekspertów w początkach roku 2012 podważa także i takie przekonanie.

Tak oto przyjmowane przez opinię publiczną diagnozy współtworzone wiosną i latem roku 2010 przez większość szeroko rozumianego establishmentu ulegają stopniowym zmianom. W miarę postępu śledczych prac prokuratury i rządu, ludzie rządziej a nie częściej wskazują jednoznacznie na przyczyny katastrofy. Tylko nieliczni uważają, że zostały już w pełni wyjaśnione, aż jedna trzecia mówi, że w zasadzie nic jeszcze nie wiadomo (badania OBOP z wiosny 2011 r.). **Nie oznacza to jednak**

– przynajmniej dotąd – jakościowych zmian pamięci zbiorowej Polaków o katastrofie smoleńskiej. To raczej erozja dotychczas dominującego systemu opinii i diagnoz, „wypadanie” jego kolejnych elementów. Zbyt niska jest społeczna mobilizacja, w zbyt wysokich temperaturach ludzkich emocji i społecznych samo-identyfikacji formował się ów, kruszący się, system. Masowej aktywności nie uruchamiają także rocznicowe uroczystości z kwietnia 2011 roku.

Czy Pan(i) osobiście zamierza uczcić w jakiś sposób pamięć ofiar katastrofy?

	maj 2010	marzec 2011
tak, biorąc udział w uroczystościach, obrzędach, manifestacjach	21	2
tak, ale na swój własny sposób	55	45
nie	23	51
trudno powiedzieć	1	2

W maju respondenci odpowiadali na pytanie: „Czy uczcił(a) Pan(i) w jakiś sposób pamięć ofiar katastrofy pod Smoleńskiem?”

Punktem zwrotnym nie staje się też kampania wyborcza do parlamentu z lata i jesieni 2011 roku. W podwyższonej temperaturze politycznej rywalizacji różne diagnozy równoważą się, nie docierają szerzej poza prezentujące je środowiska polityczne. Do zdarzenia zawierającego największy potencjał zmiany uformowanych, społecznych diagnoz (jest nim prezentacja raportu Millera) dochodzi w szczycie wakacji, jeszcze przed startem kampanii wyborczej.

Ważne, irytujące?

Istotnym elementem stabilizującym kształt pamięci zbiorowej o Smoleńsku jest zmiana klimatu towarzyszącego debacie na ten temat. Stopniowo upowszechnia się opinia, że „za dużo się o tym mówi”, co jest „nudne i irytujące” (w marcu 2011 r. zgadza się z tym cztery piąte pytanym przez CBOS). Ludzie są skłonni zgodzić się z tezą, że sprawa katastrofy to dziś „przede wszystkim narzędzie w walce politycznej”, „wygodny temat zastępczy”. Z drugiej strony potwierdzają (to opinia 56% ankietowanych), że zbadanie tej sprawy to – dla Polski – sprawa najwyższej wagi: jej poruszanie „nie powinno nikogo dziwić”.

Jak widać, w świadomości Polaków zderzają się ze sobą dwie alternatywne narracje na temat katastrofy smoleńskiej. Pierwsza podkreśla ogromne znaczenie tego zdarzenia. Druga do wyjaśniania sprawy zniechęca. Kreowana przez wielu organizatorów debaty publicznej osłabia i, w pewnym stopniu, wypiera pierwszą.

Jak bardzo? Przypomnijmy: po żałobie ponad połowa Polaków uważała, że została ona trwały ślad wśród większości ludzi. Wiosną 2011 r. opinię taką podziela tylko o parę punktów procentowych badanych mniej. Przekonani są o tym zwłaszcza ludzie silniej związani z Kościołem i wyborcy PiS, ale też połowa stronników PSL i spore grupy zwolenników SLD i PO. Trwa natomiast, mimo zmian społecznego klimatu, zrewitalizowany w „czasie nadzwyczajnym”, pozytywny wizerunek prezydentury Lecha Kaczyńskiego: wedle badań OBOP z jesieni 2011 roku dobrze ocenia ją ponad połowa Polaków. Tu strategia wykluczania najwyraźniej nie działa.

Próba podsumowania. Pomiędzy czasem „nadzwyczajnym” a „normalnym”, poznawaniem a emocjami

Co pokazały nam badania przeprowadzone tuż po katastrofie smoleńskiej, a co te z lipca i sierpnia 2010, czy z roku 2011? Ile na tych socjologicznych fotografiach podobieństw, ile różnic? Bez wątpienia sondaże zarejestrowały dwa, odmienne stany naszego społeczeństwa: wpiery nadzwyczajny, szczególny, później – zwykły, codzienny. Stąd różna temperatura ludzkich przeżyć, nieporównywalne skale ludzkich zachowań związanych z tragedią. To – odpowiednio – miliony i tysiące osób na placach i ulicach. To wpiery wspólnota (a w jej tle – zróżnicowania), zaś później głębokie różnice (a w tle – to co wspólne). Ktoś powie: nieuchronne. Czy rzeczywiście? Czy inaczej być nie mogło? Wydaje się, że zarówno sposób przeżywania przez Polaków „stanu nadzwyczajnego”, jak i nieuchronne przejście do sytuacji codziennej oraz kształt owej „zwyczajności” mogły wyglądać różnie. Do zrealizowania się wariantu, który miał miejsce przyczyniło się kilka kluczowych rozstrzygnięć, punktów zwrotnych.

Pierwsze z nich wiąże się ze **sposobem wejścia Polski i Polaków w „czas nadzwyczajny”: kryzys wywołany katastrofą**. To rezygnacja rządu (wbrew społecznym oczekiwaniom) z podmiotowego udziału w wyjaśnianiu tragedii smoleńskiej i oddanie śledztwa stronie rosyjskiej. To włączenie się władz Rosji w żałobną wspólnotę przy równoczesnym ekspozowaniu przez stronę rosyjską od samego początku winy Polaków, w tym – ofiar katastrofy. To sposób zachowania głównych, komercyjnych mediów, które pomagając w budowie żałobnej wspólnoty z drugiej strony, w ramach rozpoczynającej się dyskusji o przyczynach katastrofy, prezentują często Polakom diagnozy obciążające winą ofiary tragedii.

Taki sposób oddziaływania na żałobną wspólnotę Polaków musi opóźnić proces wyjaśniania przyczyn katastrofy a zarazem prowadzi tu, w Polsce, do głębokich, wewnętrznych napięć (dziś wiemy to znacznie lepiej niż wówczas).

Kolejne, ważne – potencjalnie przełomowe – wydarzenie to stanowiący kulminację żałoby **monarszy pogrzeb Pary Prezydenckiej na Wawelu**. Jego poparcie (lub uznanie) przez większość opinii publicznej (protest wpływowej części establishmentu nie zyskuje społecznej akceptacji) otwierało możliwość silniejszego zakorzenienia naszego systemu życia publicznego i kultury politycznej w republikańskim doświadczeniu I Rzeczypospolitej. Trwalszego złączenia ze sferą polityki kluczowych dla Polski tożsamości obywatelskich, narodowych i religijnych. Zgodnego ustalenia „wspólnej metapolityki”: określenia nie tylko tego, co nas dzieli ale i tego, co łączy.

Zdarzenie następne to **nowe wybory prezydenckie** zarządzane rychło przez marszałka Sejmu RP. Rozpoczynająca się szybko – zgodnie z regułami konstytucji – kampania oznaczała przekształcanie się jednego stanu nadzwyczajnego polskiego społeczeństwa w drugi: przechodzenia od żałobnej wspólnoty do kampanii wyborczej. Przyspieszało to erozję ogólnonarodowego „moralnego wzmożenia”, jego upolitycznienie, związaną z rywalizacją partyjno-medialnych obozów. W połączeniu z decyzją władz o nieobwinianiu strony rosyjskiej (patrz rozmowa ministra obrony z akredytowanym przedstawicielem Polski nagrana na „taśmach Klicha”) oznacza koncentrację krajowej dyskusji o przyczynach katastrofy na kwestiach nacisków i odpowiedzialności pilotów.

Ważnym rozstrzygnięciem czasu kampanii jest obsadzenie przez obóz skupiony wokół PO szereg ważnych stanowisk wakujących po katastrofie. Skala tych zmian (dopełnionych rezultatem wyborów prezydenckich) pozwala mówić o przesuwaniu się systemu politycznego od stanu względnej równowagi głównych obozów politycznych ku dominacji jednego z nich, a więc w stronę modelu wielopartyjności ze stronnictwem (pre)dominującym.

Następnym punktem zwrotnym w kształtowaniu się społecznych opinii na temat katastrofy smoleńskiej jest **sposób obecności spraw związanych z tragedią katyńską w czasie** nieuchronnego kończenia się przedłużonego przez wybory „stanu nadzwyczajnego”, **powrotu społeczeństwa do „czasu codziennego”**. Konflikt pod smoleńskim krzyżem jest częścią większej całości. Zwycięzcy wyborów, zamiast „budowania zgody”, stabilizowania zrewitalizowanego głosem wyborców podziału na dwa posolidarnościowe bieguny (ten wokół Platformy i ten wokół PiS), wybierają alternatywną strategię „umacniania lewej nogi”. Wypierają konserwatywno-społecznych konkurentów z różnych instytucji, mediów i - szerzej - z głównych pól publicznej debaty. Nie chcą budować w Rzeczypospolitej wspólnej, posolidarnościowej tożsamości, a więc także – zbiorowej pamięci. Ważną częścią tego procesu jest, oczekiwana przez centrolewicowe media, niezgoda obozu Platformy na „pomnik tutaj”, pod Pałacem Prezydenckim, a więc w centralnym kręgu żałobnego pospolitego ruszenia „czasów nadzwyczajnych”.

Próby upamiętnienia postaci Lecha Kaczyńskiego w sferze publicznej zostają uznane przez establishment za element sporu a nie – wydawałoby się oczywistego w takich przypadkach - konsensu, za coś „antysystemowego”. Ostre starcie na Krakowskim Przedmieściu prowadzi do pojawienia się w przestrzeni publicznej załączków antyklerykalnego ruchu odrzucanego przez większość opinii publicznej, lecz witanego z radością przez dużą część mediów. W rok później ów ruch będzie jednym ze źródeł wyborczego sukcesu partii Janusza Palikota.

Od jesieni 2010 roku społeczeństwo wkracza w „czas codzienny”. W tej kolejnej fazie opisywanych zjawisk dochodzi do kilku ważnych wydarzeń dostarczających nowych faktów i interpretacji. W świadomości Polaków toczą się splecione ze sobą procesy potwierdzania i obniżenia ważności katastrofy, zapominania i odnawiania wiedzy o tym dramacie, wreszcie ścierania się ze sobą różnych diagnoz przyczyn zdarzenia. Diagnozy ukształtowane w pierwszych tygodniach i miesiącach po 10 kwietnia 2010 pod wpływem nowych faktów i interpretacji ulegają erozji, przekształceniom. Wyhamowuje te procesy – prócz przeciwdziałania zainteresowanych tym instytucji i środowisk – mechanizm dysonansu poznawczego.

Przed nami uroczystości związane z drugą rocznicą katastrofy, dalsze prace prokuratorów oraz ekspertów. Kolejne miesiące czasu codziennego, zwyczajnego. Przed nami wreszcie zapewne kolejne, ważne zdarzenia, w tym – wcześniej, czy później - kolejne „czasy nadzwyczajne” oraz punkty zwrotne w trudnym i długim, ważnym polskim egzaminie z pamięci zbiorowej. I zapewne kolejne, ważne zdarzenia, w tym – wcześniej, czy później – kolejne „czasy nadzwyczajne” i punkty zwrotne w tym trudnym i długim polskim egzaminie z pamięci zbiorowej.

Czy, a jeśli tak, to kiedy, przyjdzie taka „nadzwyczajna normalność”, w której Polacy będą mówić: „wiemy już o tej sprawie wszystko”, składać – ponad politycznymi podziałami – kwiaty przed stojącym opodal Pałacu pomnikiem Pary Prezydenckiej oraz pozostałych uczestników katyńskiej delegacji? A przede wszystkim – budować nowoczesną, zakorzenioną w tradycji Rzeczpospolitą, dyskutując także o tym, jak wyobrażał ją sobie Lech Kaczyński.

Tomasz Żukowski jest socjologiem i politologiem. W latach 2008-2010 był doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Pracuje w Instytucie Polityki Społecznej na Uniwersytecie Warszawskim.

Katastrofa, Mesjasz, Krzyż³⁷

Michał Łuczewski
Uniwersytet Warszawski

W wielu społeczeństwach prymitywnych bliźnięta budzą wyjątkową trwogę. Bywa nawet tak, że jedno z nich się uśmierca, lub częściej – że zabija się oboje (Girard 1993: 77).

Katastrofa w Smoleńsku doprowadziła do procesu społecznego, który domaga się wyjaśnienia. Wszystkich komentatorów życia publicznego zaskoczyła bowiem skala żałoby narodowej oraz towarzyszący jej proces umoralnienia i sakralizacji ofiar, w tym przede wszystkim zmarłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Z przywódcy niepopularnego, krytykowanego nawet w swoim własnym obozie, stał się po śmierci bohaterem narodowym, cieszącym się powszechnym szacunkiem i opłakiwanym nawet przez swoich dotychczasowych przeciwników. Wśród wielu sformułowanych dotąd teorii próbujących wyjaśnić to zjawisko nie znalazłem takiej, która tłumaczyłaby tę transformację w sposób wyczerpujący. Dlatego też chciałbym zaproponować teorię, która dostarczy – jak sądzę – pełniejszej perspektywy. Odwołam się w tym celu do koncepcji kozła ofiarnego, opracowanej przez francusko-amerykańskiego literaturoznawcę i antropologa Rene Girarda.

Istniejące teorie transformacji Lecha Kaczyńskiego

Istniejące teorie, formułowane dotychczas przez komentatorów, możemy podzielić na dwie główne grupy. Pierwszą stanowią analizy metafizyczne. W tej perspektywie katastrofę analizował na przykład Marek Horodniczy, doszukując się w niej symbolu Krzyża i Opatrzności Bożej, „która rzuca perły przed wieprze” (Bończa-Tomaszewski, Horodniczy 2010: 19, 23). Nikodem Bończa-Tomaszewski mówił o „tajemniczej sile” i „duchu narodu” (s. 19), a Wojciech Wencel (2010) o „świecie historii”, i o tym, że Bóg wciąż mówi do ludzi. Z kolei Tomasz Terlikowski (2010a) widział w tragedii smoleńskiej „wyraźne przypomnienie, że nie będzie nam dane bycie «normalnym» narodem, który może żyć w świętym spokoju, że od nas Pan Bóg wymaga co jakiś czas daniny krwi, ofiary (czasem boleśnie absurdalnej) z najlepszych synów”. Zbigniew Stawrowski (2010) dopatrywał się znów w 10 kwietnia „prześwitu dziejów” i początku „oczyszczania z demonów” polskiej polityki.

Z drugiej zaś strony te same zjawiska interpretowano jako „przebudzenie demonów patriotyzmu” (wypowiedź Grzegorza Miecugowa w „Szkle Kontaktowym” TVN), „mroczne wyziewy polskiego pseudomesjanizmu” czy kult Tanatosa właściwy Polakom, którzy poszukują „cudownego spełnienia zbiorowego popędu śmierci” (Bielik-Robson 2010a, 2010b). W opisie i wyjaśnieniu mobilizacji odwoływano się także do takich filozoficznych kategorii jak stan wyjątkowy (Kaczorowski 2010) czy Wydarzenie (Nowak i Rymkiewicz 2010).

Druga grupa wyjaśnień to analizy empiryczne, skupiające się na perspektywie makro bądź mikro. Perspektywa makro w poszukiwaniu głównych zmiennych wyjaśniających mobilizację społeczną bierze pod uwagę kontekst społeczny: **politykę, media i kulturę**.

Zwolennicy analiz kulturalistycznych twierdzą na przykład, że mobilizacja jest wyrazem formy życia Polaków, że tego typu zachowania są pewnym trwałym kodem kulturowym (Szawiel 2010) czy też że żałoba jest najbardziej naturalnym językiem dramatu społecznego w Polsce (Tokarska-Bakir 2010). W tym kontekście za niezwykle istotne uznawano także działanie mediów, które – przed 10 kwietnia krytyczne wobec prezydenta – naraz zaczęły pokazywać go w pozytywnym świetle (zob. Nosowski 2010). Media uwodziły odbiorców (Sułek 2010) i chciały formatować żałobę (Tokarska-Bakir 2010). Sugerowano nawet, że mobilizacja po 10 kwietnia stała się medialnym spektaklem (Krzemiński 2010). Wreszcie, kluczową zmienną wyjaśniającą miała być polityka. Oto jedna bądź druga strona politycznych sporów miała na mobilizacji „zbijać kapitał” (zob. Nosowski 2010).

Perspektywa mikro odwoływała się do działań indywidualnych. Zgodnie z klasycznym rozróżnieniem Maksa Webera, zwracano uwagę na:

- **emocje** („efekt Lady D.” – jak wyjaśniał skalę żałoby Ireneusz Krzemiński 2010; „hysteryczna agresja” – Bielik-Robson 2010a; „egzaltacja”, „zachowania stadne”, „rozszlochany tłum nad trumnami” – Szumowska 2010; nienawiść – Kuźniar 2010; Rymkiewicz 2010),
- **tradycje** (z jednej strony, to powrót do mesjanizmu – Bielik-Robson 2010a; Bończa-Tomaszewski i Horodniczy 2010; czy też form zachowania znanych z żałoby po Janie Pawle II i obecnych w pierwszej „Solidarności” – Stawrowski 2010),
- **interes** („szantażująca taktyka”, „zawłaszczenie w nienawiści i nietolerancji” Jarosława Kaczyńskiego miały być odpowiedzialne za masowy udział w uroczystościach żałobnych – Kuźniar 2010; a z drugiej strony – w żałobie uczestniczyli politycy, którzy „niechlujnie klęczeli dla potrzeb socjotechniki” – Nosowski 2010; politycy pełni cynizmu i hipokryzji – Krasnodębski 2010b; Rymkiewicz 2010),

- **wartości** (pojednanie – Lisicki 2010; Terlikowski 2010b; republikanizm, patriotyzm – Smolar 2010; śmierć – Bielik-Robson 2010a, 2010b; Tokarska-Bakir 2010; dojrzałość obywatelska – Gawin 2010).

Zaskakuje fakt, że **wśród wymienionych wyjaśnień mało jest takich, które posługują się językiem teorii**. Mimo że wiele z wymienionych diagnoz formułowali badacze społeczni, czynili to jako osoby publiczne, a nie naukowcy właśnie. Można jednak wskazać na najciekawsze próby. Agata Bielik-Robson (2010a, 2010b) zaproponowała na przykład analizę psychoanalityczną, odwołującą się do Freuda z Totemu i tabu. W tej perspektywie Lech Kaczyński jest „uosobieniem totemicznego Ojca, a zarazem symbolem przeszłości, którą Polacy zdecydowali się odesłać do lamusa, by wreszcie móc zacząć uczestniczyć w normalnym życiu zachodniej cywilizacji. (...) Ojciec reprezentuje archaiczny typ władzy suwerennej, tłumiący wszelki odruch wolności u swych dzieci. Synowie, aby wkroczyć na drogę emancypacji i cywilizacji, muszą dokonać »mordu na Ojcu«, zarazem jednak pozostaje w nich nieusuwalne poczucie winy z aktem tym związane. (...), [większość Polaków] rzeczywiście »zabiła Ojca«, który nie pozwalał im żyć. Niech umarli grzebią swoich umarłych – Polacy tymczasem wybrali życie” (Bielik-Robson 2010b). Perspektywę socjologiczną w najbardziej rygorystyczny sposób zastosował Antoni Sułek (2010). Badacz ten odwoływał się w szczególności do pojęcia rytuału, świętości i bohatera narodowego, zastosowanego przez Stanisława Czarnowskiego do opisu narodotwórczego kultu św. Patryka w Irlandii. Z kolei Paweł Kuczyński (2010), czerpiąc z innych tradycji socjologicznych, w analizie mobilizacji społecznej skorzystał z teorii ruchów społecznych. Wreszcie, inspirujące ujęcie antropologiczne zaprezentowała Joanna Tokarska-Bakir (2010), opierając się na koncepcji „dramatu społecznego” i liminalności Victora Turnera.

Mimo wielu zalet przywoływanych wyżej wyjaśnień, mimo nawet niekwestionowanej wyższości perspektywy teoretycznej, żadne z nich nie jest wolne od pewnych mankamentów.

Po pierwsze, **istnieje tendencja do skupiania uwagi na jednym aspekcie: indywidualnym, społecznym lub metafizycznym. Metafizycy abstrahują od empirii, a empirycy – od wartości czy filozoficznych kategorii**. Co więcej, ta tendencja reprodukuje się na każdym z poziomów. Jeśli na poziomie metafizycznym dostrzega się demonizm, nie dostrzega się działania Boga. Jeśli ktoś widzi w mobilizacji społecznej wynik emocji, nie dostrzega wartości. Jeśli zaś widzi wartości, to dostrzegając wartości pozytywne (republikanizm), nie dostrzega negatywnych (kult śmierci). Jeśli ktoś twierdzi, że Polakami „manipulowały media”, pomija udział polityków z obozu politycznego zmarłego prezydenta. Jeśli zaś dopatruje się w tych ostatnich działaczy, którzy na żalobie zbijali „kapitał polityczny”, nie będzie zwracał równie bacznej uwagi na media.

Po drugie, powyższe wyjaśnienia są bardzo lokalne, to znaczy nie obejmują całej trajektorii sakralizacji Lecha Kaczyńskiego, lecz skupiają się na jej wybranym aspekcie. Na przykład Joanna Tokarska-Bakir (2010) zajmuje się żałobą, „karnawałem smutku” i procesem „uświęcenia” prezydenta po śmierci, pomijając kwestię jego „profanowania” przed katastrofą. Ten aspekt nie staje się również obiektem refleksji Agaty Bielik-Robson (2010a, 2010b), mimo że autorka zauważa, że Lech Kaczyński został poddany rytualnemu mordowi przez (większość) Polaków. Nie wyjaśnia jednakowoż, jaki charakter miał ów mord i co do niego doprowadziło. Choć Antoni Sułek (2010) pisze o procesie wynagradzania prezydentowi po jego śmierci krzywdzących opinii, nie jest ów proces wmontowany w główną, Durkheimowską narrację teoretyczną.

Po trzecie, **większość wyjaśnień ma charakter wyjaśnień *ad hoc***. Nie wynikają one z pogłębionego namysłu nad rzeczywistością społeczną, lecz powstają pod wpływem chwili. Nawet analizy teoretyczne nie są od tego do końca wolne. Zarówno Tokarska-Bakir (2010), jak i Bielik-Robson (2010a, 2010b) łączą analizy teoretyczne z wyjaśnieniami *ad hoc*. W pierwszym przypadku teoria dramatu społecznego łączy się z przypisaniem Polakom „nieprzystosowania do życia” i „fantazji o zemście”. W drugim przypadku zaś Freud łączy się z metafizyką Tanatosa i demonizmem.

Z tych trzech powodów powyższe wyjaśnienia są nie tyle nieprawdziwe, ile niepełne. Widzą jedynie część rzeczywistości, ale całość zakrywa niewiedza. Konsekwencją tego jest ich ukryty (albo jawny) wartościujący charakter. **Jest rzeczą oczywistą – widać to na przykładzie analiz Bielik-Robson i Tokarskiej-Bakir – że nauka może służyć nie tyle definiowaniu, opisywaniu i wyjaśnianiu rzeczywistości społecznej, ile jej ocenianiu.** Wydaje mi się, że we wspomnianych przypadkach podstawowym odruchem jest negatywna ocena (własna: Bielik-Robson; cudza: Tokarska-Bakir), która następnie pełni funkcję struktury sterującej wyjaśnieniem. **W takiej sytuacji teoria jest parawanem, pojawia się nie dlatego, że chcemy coś lepiej zrozumieć, ale dlatego, że chcemy naszym początkowym ocenom nadać naukowy sztafaż.**

Rene Girard: perspektywa socjo-teologiczna

W niniejszym tekście chciałbym zaproponować teorię, która będzie od powyższych mankamentów przynajmniej częściowo wolna. Po pierwsze, uwzględni zarówno wymiar metafizyczny, jak empiryczny. Po drugie według mnie ujmie w jednej narracji dwie fazy: profanowanie i sakralizację Lecha Kaczyńskiego. Po trzecie, nie będzie teorią *ad hoc*. Tego typu kryteria spełnia według mnie teoria kozła ofiarnego Rene Girarda.

Jest ona teorią bez wątpienia empiryczną, ale nie abstrahuje od procesów uświęcenia i demonizacji, na które zwracają uwagę teologowie i filozofowie. Bierze również pod uwagę początkową niepopularność, a następnie sakralizację danego członka przez wspólnotę. Wreszcie, dotyczy ona właśnie procesów uświęcenia. Jej podstawowe założenie głosi bowiem, że tego typu przeobrażenie symbolu zła w symbol świętości dokonywało się i dokonuje nieustannie od początku ludzkiej historii. Choć teoria Girarda zapewne nie jest doskonała, to – jak myślę – jest pełniejsza niż wszystkie teorie konkurencyjne.

Ze względu na sformułowanie pełnego wyjaśnienia **ważną cechą podejścia Girarda jest to, że łączy perspektywę teologiczną z empiryczną**. Po pierwsze zwraca uwagę, że teologia w ogóle istnieje. Socjologowie bowiem, dążąc do Weberowskiego ideału nauki wolnej od wartości, tym razem przeciwko Weberowi, bardzo często pomijają w swych analizach religię. Religia jawi się jako epifenomen, tymczasem kwestie demonizmu i świętości są kluczowe dla procesów, którymi chcemy się zajmować. Po drugie zakłada, że perspektywa teologiczna jest ważna. Teologia opisuje rzeczywistość społeczną i historyczną jako zmagania między dobrem a złem, socjologia zaś od tego typu rozważań abstrahuje, nie dostrzegając tego, co widzi teologia. W wypadku katastrofy smoleńskiej, perspektywa zwracająca uwagę na moralność wydaje się jednak bardziej uprawniona niż, dajmy na to, analizy strukturalno-klasowe. Po trzecie Girard zakłada, że teologia jest prawdziwa, ale nie każda teologia – jedynie teologia judeochrześcijańska. Tutaj nie pójdę ramię w ramię z Girardem, ale moja analiza będzie na tego typu interpretację otwarta. W szczególności będzie można w niej wyczytać teologiczne założenie, że **demonizacja, a następnie sakralizacja kozła ofiarnego jest zjawiskiem opartym na niewiedzy wspólnoty**.

Teoria Girarda (1987, 1992, 2001, 2002, 2006) była już wielokrotnie komentowana i eksplikowana przez samego autora (zob. też Bolewski 2007). Tutaj ograniczę się więc do jej podstawowych filarów: mimetyzmu i kozła ofiarnego (zob. Girard 2006: 5–14). Girard-literaturoznawca odkrył „mechanizm mimetyczny” (Girard 2001), Girard-antropolog utożsamiał go z „mechanizmem ofiarniczym” (Girard 2006: 61–63). Oto jego podstawowe fazy.

1. Ludzkie **pragnienie** ma charakter naśladowczy, tj. **mimetyczny**. We wszystkich społeczeństwach ludzie pożądamy rzeczy nie ze względu na ich samoistną wartość, lecz ze względu na to, że naśladowają pożądanie innych. Pieniądze, władza, sława są dla nas ważne tylko dlatego, że już wcześniej były ważne dla innych.
2. Ten podstawowy mechanizm wiedzie do **mimetycznej rywalizacji**. Ponieważ dóbr, do których dążymy, jest zawsze za mało, musimy zwracać się przeciw sobie. Musimy nieustannie usuwać tych, którzy stają na przeszkodzie naszemu pożądanemu. Pro-

wadzi to do tego, że przeciwnicy zaczynają się do siebie upodabniać, stają się niejako swoimi sobowtórami. Im bardziej stają się do siebie podobni, tym większe napięcie osiąga wrogość między nimi. Konflikt ze skutku rywalizacji zmienia się w jej cel. Ostatnią jego fazą jest **kryzys mimetyczny**, to znaczy **ofiarniczy**. Skłócenie rywale zaczynają poszukiwać osoby odpowiedzialnej za wszechogarniający chaos.

3. Jeśli życie społeczne nie zamieniło się jeszcze w niekończącą się walkę wszystkich przeciw wszystkim, to tylko dlatego, że istnieje jeden mechanizm, który przywraca mu pokój i równowagę: mechanizm **kozła ofiarnego**. Przeciwnicy nigdy nie pogodzą się sami z siebie, bo walczą o to samo, połączą się jednak szybko we wspólnym działaniu przeciwko ofierze, w rytualnym mordzie. Kiedy naszą wzajemną agresję skupiamy na wspólnym unicestwianiu ofiary, na powrót odzyskujemy utraconą jedność. Kozioł ofiarny zostaje zamordowany przez wspólnotę jako źródło zła, a następnie uświęcony jako źródło jej jedności. Następuje tutaj przejście od **pierwszego przekształcenia prześladowczego** (demonizacja) do **drugiego przekształcenia prześladowczego** (sakralizacja).

Patrząc z tej perspektywy, **widać bardzo jasno, że Lech Kaczyński doskonale nadał się do roli kozła ofiarnego i że na nim zbudowała się chwilowa jedność narodowa.**

Aby umożliwić ekspulsję ofiary, muszą się pojawić tak zwane stereotypy prześladowań (Girard 1987: 21–36). Pierwszym z nich jest „stereotyp kryzysu”, który zakłada, że wspólnota znalazła się w zabójczym dla niej stanie, polegającym na zaniku różnic i hierarchii, to znaczy na „odróżnorodnieniu”. Stereotyp drugi to „stereotyp oskarżycielski”. Teraz wspólnota poszukuje „zbrodni odróżnorodniających”, które są odpowiedzialne za zaistniały kryzys. Na podstawie dodatkowych „stygmatów ofiarniczych” – i to jest stereotyp trzeci – wspólnota odnajduje ofiarę, która popełniła owe zbrodnie i zrzuca na nią odpowiedzialność (Girard 1987: 37). Stereotypy uruchamiają mechanizm, który w ostatecznym rachunku prowadzi do grupowego zabójstwa ofiary.

Wszystkie te stereotypy w złagodzonej formie odpowiedniej dla społeczeństw nowoczesnych, które z racji swych chrześcijańskich korzeni nie akceptują mordów rytualnych (Girard 2002: 170, 2006: 262), odnajdziemy w Polsce po tym, jak w 2005 roku w zaskakujący sposób Prawo i Sprawiedliwość doszło do władzy, a Lech Kaczyński został wybrany na prezydenta. Oczywiście dziś mechanizm ofiarniczy nie może mieć takiego samego przebiegu, jaki miał u naznaczonych przemocą początków ludzkiej kultury. Jest jednak rzeczą zaskakującą, że pojawiają się w nim te same elementy. Co prawda, przybierają one inną formę – na ogół nie są wypowiedane serio, lecz z ironią, dystansem. Niemniej jednak są to wciąż te same stereotypy. I cały czas tak samo dehumanizują przyszłą ofiarę.

Rolę „kapłana”, przywódcy archaicznej, agresywnej wspólnoty przejmują dziś „błazen” (zob. Kołakowski 1989: 161–180), a rolę przemocy fizycznej – śmiech. **Tak jak przed wiekami dokonywano fizycznej eliminacji ofiary, tak dziś dokonuje się eliminacji symbolicznej, korzystającej z komizmu, który stał się „rodzajem broni”** (Żygulski 1976: 117). Jego obiektem są te same cechy, które przyciągają przemoc. „Każda sztywność charakteru, umysłu, a nawet ciała, będzie czymś podejrzanym dla społeczeństwa, bo jest przypuszczalną oznaką jakiejś słabnącej siły, która chciałaby usunąć się od centrum społeczeństwa, bo jest – słowem – objawem ekscentryczności, (...) a śmiech [jest] jej skarceniem” (Bergson, za: Żygulski 1976: 7). Podobnie jak przemoc, komizm wymyka się spod kontroli. „Z chwilą gdy dopuszczamy możliwość przekształcenia istniejących i uznawanych za ważne treści, otwieramy na oścież możliwość krytyki wszystkiego, krytyki nieeliczącej się z niczym, bezwzględnej, niekończącej się, burzącej wszystko, aby w zamian nic nie postawić” (Bystroń, za: Żygulski 1976: 8). Wreszcie, tak jak grupowe zabójstwo dla społeczeństw pierwotnych, tak dziś śmiech reguluje działanie wspólnoty, „osłabia napięcie nieuniknione powstające w działalności politycznej, służy integracji, nieraz ośmieszając” (Żygulski 1976: 117). **Wspólnota śmiechu jest wspólnotą o olbrzymiej sile jednoczącej analogicznej do siły zbrodni.**

Pierwsze przekształcenie prześladowcze

Rozpocznijmy od stereotypu kryzysu. Ideologia narodowa wyznawana przez obóz twórców PiS jest ideologią moralną (jej podstawowe hasła: „moralna rewolucja” i „IV RP” miały właśnie taki wydźwięk) i znajduje się w konflikcie z ideologią odwołującą się do jedności, wyznawaną na przykład przez PO („rządy miłości”).

Zgodnie ideologią PO, którą za Jadwigą Staniszkis możemy nazwać nominalistyczną, **Polacy stanowią wspólnotę homogeniczną, liczną i zjednoczoną** – której wszyscy członkowie pozostają sobie równi. Polakiem się jest albo się nim nie jest. W związku z tym Polaków należy łączyć, a nie dzielić. **Konkurencyjne wyobrażenie, czyli ideologia PiS** – odwołując się znów do Jadwigi Staniszkis: bliższe duchem tomizmowi – **przedstawia Polaków jako wspólnotę heterogeniczną, której członkiem można być w większym lub mniejszym stopniu**, w zależności od tego, czy jest się moralnym i zaangażowanym, zgodnie z daną koncepcją moralności i zaangażowania. Polskość staje się wtedy stopniowalna: Polakiem jest się bardziej lub mniej. W języku psychologii poznawczej powiedzielibyśmy, że nominalistyczna ideologia narodowa buduje kategoryalną wizję narodu, a ideologia tomistyczna – wizję prototypiczną.

Podstawową cechą ideologii moralnej jest utopijność i rewolucyjność, zmierza ona bowiem do tego, by przekroczyć obecny stan społeczny. **Z samej swej natury zatem ideologia braci Kaczyńskich godziła w uświęcone hierarchie i różnice społeczne** („układ”, „korporacje”, „system”, „łże-inteligencję”, „postkomunizm”, „autorytety”, „związki biznesu z polityką”, „pseudoelity”) i prowadziła tym samym do nieustannego „odróżnicowywania wspólnoty”, a więc do jej kryzysu. Już nie było wiadomo, kto znajduje się na górze, a kto na dole drabiny społecznej. Ci, którzy do tej pory należeli do elit, okazywali się podejrzani, a prości Polacy naraz byli uznawani za sól ziemi. Kryzys symboliczny spowodowany przez Kaczyńskich był bardzo głęboki, gdyż, z jednej strony, dzielił społeczeństwo do tego stopnia, że nawet Jarosław Kaczyński mówił o „wojnie polsko-polskiej”, a z drugiej strony – z konfliktu lokalnego przeistaczał się w międzynarodowy, gdyż polska polityka zagraniczna, realizująca ideologię moralną, zmierzała do „odróżnicowania” dotychczasowego układu sił: Rosja i Niemcy z dotychczasowych „starszych braci” Polski miały stać się partnerami, którzy zaczną Polskę szanować. Bez wątpienia zatem w Polsce mógł się pojawić – i pojawił się – „stereotyp kryzysu” („Polacy są zmęczeni walką”). Trzeba przy tym pamiętać, że „najmniejsza zmiana w klasyfikacji i hierarchizacji żywych stworzeń i istot ludzkich niesie ze sobą ryzyko rozregulowania systemu ofiarniczego” (Girard 1993: 55).

W obliczu nieustannego kryzysu wspólnota rozpoczęła poszukiwania osoby, która do niego doprowadziła. Łączący się z poszukiwaniami „stygmatów ofiarniczych”, stereotyp oskarżycielski, który musiał się w takiej sytuacji pojawić, nieodmiennie kierował się na braci Kaczyńskich. Nie chodziło tu jednak jedynie o przypisanie odpowiedzialności, ale o wykluczenie ze wspólnoty i moralne potępienie. **Tak jak bracia Kaczyńscy wykluczali ze wspólnoty tych, którzy nie odpowiadali wyznawanemu przez nich wzorowi moralnego zaangażowania** (warto przypomnieć sobie akcję palenia kukły Lecha Wałęsy), **tak teraz oni zaczęli być wykluczani ze wspólnoty**. Na arenie politycznej pojawili się politycy i komentatorzy, którzy nawzajem się atakowali, a jednocześnie stawali się coraz bardziej do siebie podobni. W zaogniającym się konflikcie politycznym obok braci Kaczyńskich pojawiały się ich agresywne sobowtóry. Różnice między partiami ulegały zatarciu.

Koniecznym warunkiem uruchomienia mechanizmu ofiarniczego jest postrzeganie przyszłej ofiary jako innej, jako w jakiś sposób odstającej od grupy, ale zarazem podobnej. **Ofiara, żeby stać się ofiarą, musi przede wszystkim należeć do wspólnoty, musi być naszą ofiarą** (Girard 1993: 17). Bracia Kaczyńscy niewątpliwie ten warunek spełniali.

Dopóki jednak należały do nich instytucje państwowe, służące do realizacji ich moralnej ideologii, nic im nie groziło. Ze względu na swą siłę to oni byli bardziej niebezpieczni dla swoich przeciwników. Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy w roku

2007 Prawo i Sprawiedliwość zostało odsunięte od władzy przez Platformę Obywatelską (która dodatkowo systematycznie zyskiwała poparcie społeczne), a Lech Kaczyński, tracąc stopniowo popularność, zaprzepaścił – jak się wydawało – szansę na reelekcję. Bracia Kaczyńscy z przywódców większości, za którymi stał aparat państwowy, stali się przywódcami malejącej frakcji obywateli. Ci, którzy byli do tej pory silni, zaczęli okazywać coraz większe oznaki słabości.

Spośród członków grupy, a więc sobowtórów, dążących do tych samych celów i niczym się od siebie nie różniących, **ofiary wybiera się w sposób arbitralny, ale zawsze towarzyszą temu stygmaty ofiarnicze.** „Im więcej znaków ofiarniczych posiada jakieś indywidualium, tym większą ma szansę ściągnąć na swoją głowę gromy” (Girard 1987: 39–40). Bracia Kaczyńscy stali się bardzo podatni na obsadzenie w roli kozła ofiarnego, ponieważ zgromadzili bardzo wiele takich znaków.

Jak wywodził Rene Girard, często zdarza się, że chwilę przed rytualnym mordem ofiary, tłum ją wywyższa. Prześladowaniu mogą podlegać zarówno osoby zmarginalizowane, jak i królowie (Girard 1993: 17; 1992: 119). Wywyższenie bowiem oddziela ją od grupy, a stosunek do niej, jeśli jest już zawiązany, łatwo przechodzi z przyjaźni do wrogości. Droga wiodąca do nienawiści od miłości jest znacznie krótsza niż droga od obojętności. Wystarczy przypomnieć sobie Chrystusa, który wkroczył do Jerozolimy jako król, by po tygodniu zostać przez tłum ukrzyżowany. **Wywyższenie odegrało podobną rolę w przypadku Kaczyńskiego, którego wybór na prezydenta oddzielił od reszty, a jednocześnie uczynił widocznym i łatwym obiektem ataku.** Co więcej, wywyższenie uczyniło go tym niebezpieczniejszym, gdyż dało mu olbrzymi mandat społeczny, a jednocześnie świadczyło o tym, że jego diagnozy są powszechnie przyjmowane jako trafne. **Największą agresję u przeciwników powoduje zaś fakt, że oskarżenia kierowane przeciw nim przez oskarżanego są prawdziwe, że trafnie demaskuje on grzechy wspólnoty** (korupcję, zablokowane kanały awansu, władzę korporacji, strach przed niezależną polityką międzynarodową itp., zob. Girard 1987: 194).

Przyszła ofiara nie musi popełnić żadnych grzechów godzących we wspólnotę, wystarczy jakiś drobny defekt ciała, zmyślony czy też mało znaczący incydent, żeby rzucić na nią podejrzenie (Girard 2002: 170). Przeciwnicy Kaczyńskich rozpoczynali więc od stwierdzania pozornie obiektywnego faktu, że są... braćmi bliźniakami. Lecz za stwierdzeniem faktu czaiła się gdzieś w tle negatywna ocena. Wyczuwał to doskonale Jarosław Kaczyński, który po wyborze Lecha Kaczyńskiego na prezydenta zdecydował się nie być premierem, gdyż Polacy nie byli – według niego – na to przygotowani. W ustach krytyków słowa „bliźniacy” i „bracia” traciły bowiem walor opisowy, a stawały się stwierdzeniem anomalii, a nawet oskarżeniem.

Jeden z ważnych polityków PO urządził na przykład konkurs na znalezienie dziesięciu różnic między braćmi, a inny pół żartem, pół serio tłumaczył obawę przed nimi tym, że „jest ich dwóch”. Może wyglądać to na niewinne uwagi, ale właśnie takie niewinne i nieważne komentarze uruchamiają mechanizm ofiarnczy i mają swoje ukryte analogie w archaicznych kulturach. **W kulturach pierwotnych panuje powszechna, „religijna fobia bliźniąt”**, która prowadzi do oskarżeń o groźne epidemie, tajemnicze choroby, nieporozumienia między bliskimi, upadek rytuałów, gwałcenie zakazów (Girard 1993: 79), a w ostatecznym rachunku do rytualnego mordu bliźniąt (Girard 2006: 83). Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ nie można ich odróżnić, i stają się niejako symbolem „odróżnicowania” społeczeństwa, a więc jego głębokiego kryzysu (Girard 1993: 87). Tym samym „wydają się zapowiadać największe niebezpieczeństwo, grożące społeczności prymitywnej: ślepą przemoc” (Girard 1993: 78).

Nie jest również przypadkiem, że nagminnie wytykano Lechowi Kaczyńskiemu niski wzrost i brzydotę („kartofel”). W wyniku tego typu operacji prezydent zaczynał więc przypominać „mitologiczne monstrum”, w którym „strona »fizyczna« i »moralna« są nierozdzielne” (Girard 1987: 53). Wskazywanie na fizyczne ułomności jednocześnie sugerowało ułomności moralne („Prezydent może być niski, ale nie może być mały”). Śmiano się również z nazwiska prezydenta („Kaczory”, „dwugłowa kaczka”). Tym samym, **choć w sposób żartobliwy i ironiczny, systematycznie go dehumanizowano, powielając przy tym nieświadomie archaiczny motyw istot, które stają się niebezpieczne dla wspólnoty, gdyż zawieszają granicę między tym, co ludzkie, a tym, co zwierzęce**. W archaicznych wspólnotach zaś „stanowi to najistotniejszą i najbardziej spektakularną dominantę mitologicznej monstrualności” (Girard 1987: 74).

Podobny charakter miały z pozoru nieznaczące przejęzyczenia prezydenta (np. „Irsiad” i „Borubar”). Albowiem „język – jak podkreślał Girard – jest najpewniejszym wskaźnikiem »bycia z« (...). Ktoś, kto ma akcent, jakkolwiek akcent, zawsze jest kimś, kto nie jest stąd” (Girard 1987: 224). Wystarczyła więc drobna pomyłka w wymowie, aby wyciągnąć wniosek, że prezydent „nie jest stąd”, że „nie jest naszym prezydentem”.

Na podobnej zasadzie przypisywano Lechowi Kaczyńskiemu zmyślane bądź rzeczywiste choroby. Jeden z jego adwersarzy mówił wprost, że prezydent jest „pół-żywy”, że jest „trupem na wrotkach”. W trakcie kampanii wyborczej w 2007 roku oskarżano go wspólnie z bratem o „nekrofilie polityczną” (polegającą na zbijaniu kapitału na śmierci Barbary Blidy). Tego typu oskarżenia w społeczeństwach prymitywnych były zaś bardzo niebezpieczne. Panicznie bano się bowiem tych, którzy przekraczali granicę między życiem a śmiercią. „Żywy trup” był niezwykle groźną figurą (Girard 1987: 246).

Stygmaty ofiarnicze bardzo szybko przekształcają się w formułowane wprost oskarżenia. Chociaż w społeczeństwie wszyscy stanowią przeszkodę dla wszystkich, to **przyszła ofiara zaczyna być postrzegana jako przeszkoda główna, jako zawada,** która zarazem odpycha i przyciąga (Girard 1987: 194). **W tym kierunku zmierzała polityczna strategia przeciwników Kaczyńskiego, której głównym celem było przedstawienie go jako tego, który przeszkadza** (Krasnodębski 2010). Oskarżano go więc o to, że uniemożliwia realizację reform ekonomicznych (przez Kaczyńskiego nie możemy być bogaci), że ośmiesza Polskę na arenie międzynarodowej (przez Kaczyńskiego nie jesteśmy poważani), że zamiast budować sprawne państwo, wymachuje szabelką (przez Kaczyńskiego nie możemy być silni), że zamiast łączyć Polaków, tylko jątrzy (przez Kaczyńskiego nie możemy wreszcie się pokochać i jesteśmy podzieleni), że, wreszcie, stanowi przeszkodę w osiągnięciu jedności europejskiej (niepodpisanie traktatu lizbońskiego). W konsekwencji prezydent jawił się jako „obciachowy” i „śmieszny” (Wiścicki 2010).

Aby wzmocnić oskarżenie, często przypisuje się ofierze grzechy, zwłaszcza godzące w istotę wspólnoty i naruszające seksualne tabu. W przypadku Kaczyńskiego oskarżano go o łamanie zasad demokratycznych, na przykład brak szacunku dla wyborców, zwłaszcza tych pozornie najsłabszych („Spieprzaj dziadu”, prześladowanie bezdomnego Huberta), a także o nieuczestniczenie w rytuałach wspólnotowych lub ich profanowanie. Wytykano mu na przykład fakt, że wbrew oficjalnym regułom nad Pałacem Prezydenckim łopotała bandera, a nie flaga narodowa. Ponieważ dla współczesnych społeczeństw jednym z najważniejszych rytuałów jest sport, bardzo bolesne było wskazywanie na nieznaną nazwiska bramkarza reprezentacji Polski, przekręcenie szalika z napisem „Polska” na meczu reprezentacji, a także fałszowanie przy wykonaniu hymnu narodowego. Podobną funkcję spełniały oskarżenia o antysemityzm i homofobię, które stanowią tabu współczesnej Europy. Wreszcie, sugerowano, że Lech Kaczyński ma niezdrowe relacje z matką i bratem, a temu ostatniemu imputowano homoseksualizm („Zapraszam Jarosława Kaczyńskiego z mężem”, „Wśród bliźniaków jednojałowych często jedno z nich jest homoseksualistą”), zniewieściałość („Czy Jarosław jest Jarosławą?”) i sodomię („zrób wszystko, żeby pierwsza dama nie sikała do kuwety”). **Co ciekawe, w prześladowaniach czarownic sięgano właśnie po takie oskarżenia.** „Skoro domniemana czarownica ma domowe zwierzę – kota, psa lub ptaka – wkrótce powiada się, iż jest podobna do tego zwierzęcia”, Girard 1987: 74). Grzechy brata stawały się również jego grzechami.

Krok ostatni to unicestwienie ofiary. „Proces prześladowczy wywiera tak silny nacisk na indywidualia poddane jego działaniu, że ofiary nie mają szans, aby wskazać swoją niewinność” (Girard 1993: 63). O ile w dawnych kulturach przybierało ono formę mordu rytualnego, o tyle **w kulturach współczesnych przybiera formę mordu wyobrażonego, symbolicznego.**

Eliminacji prezydenta dokonywano w wyobraźni. Im ktoś był bardziej podobny do Kaczyńskiego, to znaczy, im bardziej pragnął władzy, do zdobycia której Kaczyński stanowił przeszkodę, tym był bardziej brutalny.

To, że wspólnotowy śmiech ukrywał agresywną retorykę wobec prezydenta, nie było zatem przypadkiem. Oto **następowała nagle, niekontrolowana już przez nikogo eskalacja przemocy**. Życzono więc Polakom, żeby Kaczyński przestał być prezydentem. Mówiono o nim w czasie przeszłym. Odwoływano się nawet do archaicznych toposów, naznaczonych przemocą. Przywódca konkurencyjnego obozu politycznego obiecywał, że „nie zrobi krzywdy Kaczyńskiemu”, a jeden z jego byłych współpracowników, który zmieniał polityczne barwy, nawoływał, żeby „dorznąć watahy”. Wydawało mu się być może, że wyobrażeniowa przemoc jest konieczną ceną akceptacji w nowej partii. **Sz szczególnie ciekawe jest, że najbardziej agresywny był konkurent do fotela prezydenckiego** (a więc „sobowtór” *par excellence*). **To on fantazjował, że „może prezydent gdzieś polec i to się zmieni”**, a w bon mocie „jaka wizyta, taki zamach” sugerował jednocześnie, że na takiego prezydenta nie warto nawet organizować zamachu, że nawet nie warto go zabijać. Aby ponownie wrócić do historycznej analogii, w starożytnym Rzymie, jak przypomina Giorgio Agamben (2008), najniżej w hierarchii społecznej stał tak zwany homo sacer, ten, którego życie jest tak mało warte, że nawet nie można go złożyć w ofierze. Wydawało się, że właśnie tak nisko upadł Kaczyński. Jawił się jako tak mała i marna postać, że nie warto go zabijać. **Czytając uwagi krytyków Kaczyńskiego, można odnieść wrażenie, że przekraczali kolejne granice i wpadli w rodzaj upojenia przemocą** (Krasnodębski 2010a).

Upiorność dramatu, który rozegrał się w Smoleńsku, polegała na tym, że słowa, które wypowiedano nie do końca serio, naraz stały się prawdą. Naraz przeszliśmy od śmierci wyobrażonej do śmierci rzeczywistej. We wspólnocie nastąpiło krótkie spięcie, które doprowadziło do radykalnej zmiany.

Drugie przekształcenie prześladowcze

Jest rzeczą zadziwiającą, choć w świetle mechanizmu ofiarniczego w pełni zrozumiałą, że **tragiczna śmierć Kaczyńskiego przywróciła wspólnocie jedność**. W tym wypadku jedność miała aspekt nie tylko wewnątrzspołnotowy, ale doprowadziła do pojednania Polaków z inną wspólnotą, dla której Lech Kaczyński był zawadą: z Rosjanami. Razem z tym procesem **wspólnota nagle zmieniła opinię o ofierze**. O ile przed śmiercią jawiła się ona jako odpowiedzialna za wszelkie zło, o tyle teraz zaczęto utożsamiać ją z błogosławioną, ekstatyczną jednością, która nagle zapanowała. W ten sposób rozpoczął się proces uświęcenia ofiary.

Uderzająca była przede wszystkim zmiana nastrojów, bo – jak pisze Girard (1987: 131) – **to dotychczasowi prześladowcy („mordercy”) sakralizują swoją ofiarę. Paradoksalnie, żałoba była celebrowana przez tych, którzy czuli się winni katastrofy.** Paweł Reszka i Michał Majewski (2011) przytaczają słowa byłego ministra: „Katastrofa zmasakrowała psychicznie Donalda. On od początku wiedział, że to się skończy oskarżeniami pod jego adresem, że to jego wina, że ponosi odpowiedzialność. Miał tę świadomość od pierwszych dni”. Podobną świadomość miał zapewne Bronisław Komorowski, który publicznie żałował swoich fantazji o śmierci Lecha Kaczyńskiego („jaka wizyta...”). Uderzająca jest scena z filmu „Mgła”, gdy Tusk, Komorowski i Sikorski przyjmują kondolencje od delegacji z całego świata, a Jarosław Kaczyński wraz z rodziną jest w tym czasie w krypcie wawelskiej katedry. **Mamy kapitalną scenę, gdy „sprawcy” przyjmują na dziedzińcu Wawelu kondolencje w imieniu swoich „ofiar”. I właśnie „sprawcy” tworzą jedność narodową. Jedność ich wzmacnia, jest im na rękę, służy ich interesom. Jedność zawsze służy tym, którzy stoją na szczycie systemu.**

Znikły dotychczasowe głosy krytyki pod adresem Lecha Kaczyńskiego. Nawet jego najbardziej zajadły przeciwnik na czas żałoby narodowej „się zmienił”. Nie ma znaczenia, czy zrobił to ze względów taktycznych, czy nie. Inaczej nie mógł w tamtym czasie postąpić. W pełnej pasji wypowiedzi Zdzisław Krasnodębski wskazywał na tę głęboką transformację, pisząc, że przeciwnicy Kaczyńskiego całkowicie przeobrazili swoją tożsamość i „nie są już sobą”, bo zamiast drwić i wyśmiewać jak dotychczas, naraz stali się „chórem zawodowych płaczków”. Jarosław Marek Rymkiewicz (2010) ujął to bardzo ostro: „Ludzie, którzy Go nienawidzili, którzy Nim gardzili, którzy Nim pomiatali, teraz płaczą nad Jego trumną”. O ile wcześniej można było mówić o upojeniu przemocą (Krasnodębski 2010a), teraz mówiono o upojeniu żałobą (BielikRobson 2010a).

Żałoba stanowiła fakt społeczny o niesamowitym ciężarze, stała się rodzajem przymusu nie tylko dla tych, którzy Kaczyńskiego nie darzyli szacunkiem, ale przede wszystkim dla tych, którzy byli z nim najbliższymi. Odczuwali oni społeczny nacisk, „by odkreślili przeszłość grubą kreską, by się pojednali, by nie zakłócili atmosfery żałoby” (Krasnodębski 2010a). Mimo pojawiających się z ich strony krytycznych głosów o fałszywej „retoryce narodowego pojednania”, która przesłaniała winę prawdopodobnych sprawców (Krasnodębski 2010a, 2010b; Lisicki 2010; Rymkiewicz 2010; Terlikowski 2010b), ulegli oni ostatecznie presji wspólnoty. Jarosław Kaczyński i jego obóz polityczny nie próbował zakłócać jedności narodowej, co już samo w sobie było dla jego przeciwników zaskakujące. Podobnie jak jego adwersarze, i on w sposób zdumiewający „zmienił się” i przeobraził swoją tożsamość. Oto agresywny wojownik przedzierzgnął się w zwolennika pojednania z Rosjanami i zakończenia wojny polsko-polskiej, tym samym przejmując nominalistyczną ideologię narodo-

wą, którą do tej pory zwalczał. **Cena akceptacji Jarosława Kaczyńskiego jako równoprawnego członka wspólnoty, a więc takiego, który jest taki, jak inni i razem z innymi podtrzymuje zgodę narodową, była prosta: musiał „zapomnieć” o pierwszym przekształceniu prześladowczym, o tym, że obecnymi kapłanami żaloby są niedydysiejsi prześladowcy. Innymi słowy, Kaczyński musiał się swego brata „zaprzec”** (zob. Girard 1987: 226). Polegało to między innymi na tym, że odcinał się od jego dotychczasowych zwolenników („twardy elektorat PiS”, „antykomuniści”, Radio Maryja) i poszukiwał poparcia tych, którzy byli jego dotychczasowymi wrogami („postkomuniści”, pogrobowcy Gierka). **Była to przemiana tak daleko idąca, że z perspektywy czasu może się wydawać, że była skutkiem nie indywidualnych decyzji, lecz procesów społecznych o wielkiej sile, działających niemal poza świadomością jednostki. Dziś ci, którzy w niej uczestniczyli, nie potrafią jej wyjaśnić inaczej niż odwołując się do czynnika zewnętrznego, takiego jak działania silnych środków uspokajających.**

Z perspektywy czasu komentatorzy, powracając do tamtych wyjątkowych dni, dostrzegali to samo zjawisko: jedność. Zbigniew Nosowski (2010) wspominał wszechogarniające „poczucie wspólnoty narodowej”. Michał Bardel (2010: 56) pisał zaś, że skłonny był wtedy dostrzegać szansę „nowego otwarcia” i „przemiany polskiej duchowości”. Społeczeństwo jawiło się jako wspólnota tak głęboka, że pojawił się nawet antypolityczny pomysł prezydentury ponadpartyjnej (Bugaj 2010: 49–50).

Jedność zaś, jak pokazał Durkheim, któremu Girard pozostaje tutaj wierny, jest interpretowana przez społeczeństwo jako świętość (zob. Sułek 2010). Nie mogło być zatem przypadkiem, że trumna prezydenta i jego małżonki, wystawiona na widok publiczny w Pałacu Prezydenckim, stała się celem „pielgrzymek” ludzi z całej Polski. **Było rzeczą naturalną, że przed pałacem ustawiono krzyż, kwiaty i znicze, że ludzie się modlili, śpiewali religijne pieśni, a także, że przyklękali przed trumnami zmarłych.** Naturalne wydawało się również, dodanie drobnego elementu wraku samolotu do nowej sukni Matki Boskiej Częstochowskiej. W ten sposób następowało podwójne uświęcenie. Najważniejsza polska ikona używała swojej świętości zmarłym, a jej nowa suknia stawała się jednocześnie wotum polskiego narodu. Wreszcie, naturalne wydawało się, że **pochówek pary prezydenckiej** powinien mieć miejsce wraz z wszelkimi honorami **na Wawelu**, w najważniejszym polskim sanktuarium, obok polskich królów i wieszczów (Magierowski 2010). **Był to moment ostatecznej sakralizacji kozła ofiarnego.**

Aby proces ów był możliwy, należało jednak wyprzeć poprzednie przekształcenie prześladowcze, a przede wszystkim – zataić kolektywny mord (Girard 1987:

134). „Religie i kultury ukrywają przemoc, żeby się ustanawiać i trwać” (Girard 1987: 138). Oczywiście, można do sprawy w ogóle nie powracać, ale wśród prześladowców pojawia się niepokój (Girard 1987: 136–137), pamięć o ofierze nie chce ich opuścić, nie mogą uwierzyć w jej definitywną śmierć (Girard 1987: 215). W takiej sytuacji stosują szereg strategii, które mają minimalizować ich domniemaną winę.

Po pierwsze przedstawiają konflikty z ofiarą poprzedzające jej śmierć jako „zwykłe nieporozumienia” (Girard 1987: 121), jako coś niezamierzonego (Girard 1987: 120). W tym przypadku za owo „nieporozumienie” odpowiedzialne miały być media, które przedstawiały Lecha Kaczyńskiego w krzywym zwierciadle, a dopiero po śmierci pokazały, „jaki był naprawdę” (Sulek 2010; Wiścicki 2010). To, co może jawić się z perspektywy czasu brutalnym atakiem, przedstawia się jako „niefortunną wypowiedź”, nieledwie wyraz poczucia humoru, a śmiech wszakże wydaje się czymś niewinnym i nieszkodliwym.

Po drugie, **nawet gdy przyjmuje się odpowiedzialność za ataki na ofiarę, przedstawia się je jako uzasadnione. Jeśli wykluczano ze wspólnoty Lecha Kaczyńskiego, to tylko dlatego, że to on najpierw wykluczał. Jeśli go atakowano, to tylko dlatego, że on atakował.** Działania przeciwko niemu były zatem jedynie usprawiedliwioną reakcją obronną. Jak pisze Girard (1993: 20), „Zemsta chce być odwetem, a każdy odwet domaga się odwetu. Zbrodnia, którą karze zemsta, nigdy nie jest rozpatrywana jako czyn początkowy – mści ona zawsze jakąś wcześniejszą zbrodnię”.

Po trzecie wreszcie, gdy uzna się, że ataki były nie do końca usprawiedliwione, następuje rozmycie winy. **Chociaż wszyscy uczestniczyli w unicestwieniu ofiary, to nikt nie wchodził z nią w kontakt bezpośredni, fizyczny. Ponieważ winna jest grupa, nie jest winny nikt konkretny. Nikomu więc nie można przypisać bezpośredniej odpowiedzialności moralnej i politycznej** (zob. Girard 1987: 258; 2006: 85).

W konsekwencji nikt nie dostrzega swojej własnej winy. Mechanizm kozła ofiarnego może zaś sprawnie działać jedynie wtedy, gdy jego uczestnicy są jego nieświadomi, gdy pozostają w niewiedzy. Wydaje się, że ten podstawowy warunek został spełniony. Dominująca ideologia nominalistyczna nie potrafi bowiem dostrzec tego, że może być tak samo, a nawet bardziej wykluczająca niż ideologia moralna. Ponieważ zakłada, że nie można dzielić Polaków na lepszych i gorszych, żeby dokonać skutecznego wykluczenia ze wspólnoty, musi dokonać wykluczenia bardziej radykalnego. **W wizji tomistycznej członków narodu dzieli się zgodnie z tym, czy znajdują się dalej, czy też bliżej prototypu zaangażowanego, moralnego Polaka, w wizji nominalistycznej takiej operacji nie można przeprowadzić. Aby więc kogoś oskarżyć w sposób skuteczny, należy**

go całkowicie wyeliminować ze wspólnoty. Osoba oskarżona nie jest już gorszym Polakiem, lecz nie-Polakiem, a nawet nie-człowiekiem. **W ten sposób można zachować świadomość własnej tolerancyjności,** jednocześnie nie dostrzegając własnej radykalnej nietolerancji. Popelniając wykroczenie, można wciąż być przekonanym o własnej wyższości moralnej (Girard 2006: 92).

Tego typu wspólnota jednocześnie odmawia przyjęcia perspektywy ofiar, które – przeciwnie – zmusza do przyjęcia własnej perspektywy. Jeśli ktoś nie chce temu naciskowi ulec, nie traktuje się serio jego argumentów, lecz dokonuje się jego psychoanalizy, co jest inną formą wytoczenia mu procesu (Girard 1987: 227). W optyce Girarda (2002) tego typu wspólnota jest wspólnotą demoniczną, to znaczy taką, która nie jest świadoma swojego demonizmu. Nieprzypadkowo na poły żartobliwe słowa Jarosława Kaczyńskiego (wzięte z wiersza Kornela Ujejskiego) „inni szatani tam byli czynni” były powszechnie wyśmiewane. „W miarę upływu czasu znaczenie diabła w myśli socjologicznej słabnie. Szatan znika jednak w nieodpowiednim momencie w tym sensie, w jakim ściśle wiąże się z mimetyzmem konfliktowym” (Girard 2002: 162). **Kwestionując istnienie sfery demonicznej, wspólnota traciła możliwość spojrzenia na siebie krytycznie.** Skoro szatana nie ma, nie możemy popełniać zła.

Krzyż

W nowoczesnym społeczeństwie jedność nie może trwać wiecznie. **Już w kwietniu 2010 roku było widać pierwsze oznaki rozbicia wspólnoty. Z jednej strony, następowała kanonizacja Lecha Kaczyńskiego, który był przedstawiany jako niewinna ofiara, a z drugiej strony – profanacja, która polegała na jego powtórnej demonizacji i obarczaniu winą za katastrofę.**

Kanonizacja ujawnia demoniczne korzenie jedności społecznej. Początek tego procesu uchwycił film Ewy Stankiewicz *Solidarni 2010*, dający po raz pierwszy głos ludziom, którzy domagają się prawdy o katastrofie smoleńskiej. Przypomnijmy, że Jarosław Kaczyński i PiS początkowo się od nich dystansował, a przedstawiciele partii rządzącej poczuli się nimi bardzo zagrożeni. Jak pokazuje Girard, nigdy nie da się całkowicie wymazać przemoicy i winy. W takiej sytuacji zaczynają pojawiać się teorie spiskowe. Zwłaszcza pospólstwo lubi rozsiewać niesprawdzone pogłoski o dokonanym mordzie (Girard 1987: 131). Jest to początek procesu, który prowadzi do dekonstrukcji jedności wspólnoty. Dostrzegła to Agata Bielik-Robson (2010a), która – co ciekawe – jedynie w tym momencie przeprowadziła trafną analogię z analizami francuskiego antropologa: „zła społeczna energia” „nie znajdzie ujścia dopóty, dopóki nie polecą głowy ofiarnych kozłów: tych, którzy Lecha Kaczyńskie-

go krytykowali za czasów jego nieudolnej prezydentury i których teraz girardowska czarna magia wyasygnuje na odpowiedzialnych za całą katastrofę”. Poszukiwanie winnych przez społeczeństwo, któremu najlepszy wyraz dał film Ewy Stankiewicz *Solidarni 2010*, wywołało reakcję łańcuchową. Była to pierwsza oznaka, że wspólnota wraca do swego naturalnego stanu wojny wszystkich przeciw wszystkim.

Nieprzypadkowo ich najważniejszym symbolem stał się krzyż. **W naszej kulturze krzyż pojawia się w momentach narodowej traumy, ale też w chwilach kiedy ktoś odchodzi. Patrząc dalej, krzyż to symbol niewinnej ofiary, niewinnego cierpienia. Krzyż jest znakiem, który każe sobie zadawać pytanie o „nasze winy”. Takim właśnie symbolem był krzyż na Krakowskim Przedmieściu. Jeśli ci, którzy zginęli, lecąc do Katynia, ponieśli niewinną śmierć, to znaczy, że ktoś jest winny. W ten sposób narodowa jedność rozpadała się. Nie da się stworzyć wspólnoty między sprawcą a ofiarą.**

Ponieważ była to katastrofa narodowa, krzyż w sposób naturalny łączył się z symbolami narodowymi i to do tego stopnia, że Jarosław Kaczyński nazwał go substytutem pomnika. Dla Pawła Milcarka była to desakralizacja krzyża. Z drugiej strony jednak, można na to spojrzeć jako na próbę sakralizacji polskiej polityki. Oba te spojrzenia są uprawnione i racjonalne. Nigdy nie rozstrzygniemy sporu między nimi, bo nie możemy rozstrzygnąć sporu między optymistą, który widzi szklankę do połowy pełną (sakralizację polityki poprzez krzyż), i pesymistą, dla którego jest w połowie pusta (desakralizacja krzyża poprzez politykę). Tak czy inaczej, **na Krakowskim Przedmieściu byliśmy świadkami procesu kanonizacji Lecha Kaczyńskiego. Tym razem to nie społeczeństwo celebrowało samo siebie, lecz niewinną ofiarę.**

Obok procesu kanonizacji zbierał stopniowo proces profanacji. Paradoksalnie, jego katalizatorem okazał się pochówek pary prezydenckiej na Wawelu. Chwilą ostatecznej sakralizacji bohatera narodowego stała się jednocześnie początkiem jego desakralizacji. „Prowokacyjna” piosenka *Po trupach do celu*, do której asumpt dało to zdarzenie, była powrotem (którego paradoksalnie życzył sobie Zdzisław Krasnodębski, 2010a) do sztychu i wyśmiewania Lecha Kaczyńskiego, a jednocześnie zapowiadała koniec zgody narodowej. To, co miało być naturalnym zwieńczeniem żałoby, w trakcie której wspólnota celebrować będzie swoją jedność, stało się początkiem jej ponownego podziału. To, co w zamysle miało zmarłego prezydenta połączyć ze sferą sacrum, doprowadziło do aktów jego profanowania. Ten sam moment w sposób jeszcze bardziej intensywny powtórzył się w walce o krzyż przed Pałacem Prezydenckim na przełomie lipca i sierpnia 2010 roku. **Podobnie jak pochówek na Wawelu, krzyż upamiętniający zmarłych wydawał się z początku czymś naturalnym i łączącym wspól-**

notę, szybko jednak zaczął być postrzegany jako coś arbitralnego i dzielącego. Podobnie jak pochówek na Wawelu, miał uświęcić prezydenta, ale w ostatecznym rachunku stał się pretekstem do jego krytyki.

W takim natężeniu proces profanacji był możliwy jedynie w Polsce. Tak jak kanonizacja łączy się z symbolami chrześcijańskimi, z krzyżem, tak profanacja łączy się z pogaństwem, archaicznymi kultami i dekonstrukcją krzyża. Tylko w katolickim kraju pogaństwo może przybierać równie radykalne formy. Szydzenie ze świętości, krzyż z puszek „Lech”, hasła typu „mam bóle w krzyżu”, „chcemy koła zamiast krzyża”, „jest krzyż, jest impreza”, przesmiewcze biczowanie niszczyły symbol niewinnej ofiary i „naszych win”. **A kiedy niszczyliśmy symbol krzyża, z jednej strony, niewinna ofiara przestaje być niewinna, a z drugiej – my sami zaczynamy uważać siebie za niewinnych. Kiedy krzyż zostaje zdekonstruowany, powracają archaiczne praktyki, które znamy z opisu ludów pierwotnych. Kolejne granice, pochodzące z chrześcijaństwa, zostają unicestwione.** Nikną ostatecznie tabu. Ludzie, upojeni alkoholem, narkotykami, rytmem, śmiechem, tracą samokontrolę. Stają się dyszącym emocjami tłumem. Tłumem, który wyłamuje się z okowów cywilizacji i po kolei przekracza granicę wstydu (wypróżnianie się na znicze, „pokaż cycki!”), i zmierza nieustannie w kierunku ukrywanej przemocy: „Jeszcze jeden!”, „jeszcze jeden!”. Symbolicznym momentem było rozerwanie, pośród śmiechu i zabawy, pluszowej kaczki. To było już nie tylko życzenie śmierci, ale prawdziwe voodoo – tym bardziej perwersyjne, że odgrywane w konwencji karnawału. Choć Dominik Taras zapewniał, że jego „celem jest pokazanie, że to oni są agresywni”, sam uległ sile tłumy. Ludzie naprawdę przestali wiedzieć, co czynią.

Chrześcijańskie uświęcenie Lecha Kaczyńskiego wywołało gwałtowną, pogańską profanację. Najlepiej pokazały to okrzyki „chcemy Barabasa”. Ludzie nie chcieli już krzyża, chcieli ukrzyżować, nie chcieli już bezbronnego mesjasza, który nie umie obronić się przed przemocą, ale mesjasza, który będzie ziemskim królem, uzbrojonym profetą, liderem politycznym. Tym właśnie dwa tysiące lat temu był dla skandującego, żądnego krwi tłumu Barabasz. Jak przypomniał Joseph Ratzinger (2007: 47), „Barabasz był postacią mesjańską. Wybór: albo Jezus, albo Barabasz nie był przypadkowy; naprzeciw siebie znalazły się dwie postacie mesjańskie, dwie formy mesjanizmu. Staje się to jeszcze wyraźniejsze, jeśli zwrócimy uwagę na to, że <<Bar-Abbas>> znaczy <<syn ojca>>. Jest to typowe mesjańskie określenie, kultowe imię wybitnego przywódcy ruchu mesjańskiego. [...] Od Orygenesusa dowiadujemy się jeszcze jednego interesującego szczegółu: w wielu rękopisach Ewangelii, aż do trzeciego wieku, człowiek, o którego tu chodzi, nazywał się <<Jesus-Barabbas>> – <<Jezus syn ojca>>. Wygląda to tak, jakby był sobowtórem Jezusa, który na inny sposób wysuwa te same roszczenia.”

Fałszywy mesjanizm

Na Krakowskim Przedmieściu Barabaszem nie mógł zostać Dominik Taras. Tę rolę wziął więc na siebie Palikot, który w wywiadzie dla Newsweeka, parodiując ukrzyżowanie Chrystusa, odwracając znaczenie krzyża, ogłosił się „mesjaszem”.

Jego trajektoria była analogiczna do trajektorii Jarosława Kaczyńskiego. W tym sensie byli oni własnymi „sobowótami”. Tak jak Palikot przechodził od jedności do profanacji, tak Kaczyński przechodził od strategii jedności do strategii kanonizacji.

Strategia profanowania Lecha Kaczyńskiego jest w istocie rewersem strategii jedności: obie dążą do zapomnienia o niewinnej ofercie. Widać to na przykładzie działań sztabu wyborczego Jarosława Kaczyńskiego. Z jednej strony, jego członkowie początkowo zmierzali do budowania zgody narodowej, zakończenia wojny polsko-polskiej, to oni podsunęli pomysł pochowania Lecha Kaczyńskiego na Wawelu, ale z drugiej strony, **kiedy Kaczyński po zakończonej kampanii po raz kolejny „zmienił się”, zdradzili go, oskarżając o „podpalanie polskiej polityki” i wzywając do „budowania kordonu sanitarnego” wokół niego. Retoryka jedności bardzo szybko pokazała, że skrywa nienawiść, przemoc i agresję.** Nic dziwnego, że byli sztabowcy Prezesa PiS, zanim założyli PjN, spotykali się z Palikotem. Oto Palikot, który atakował Lecha Kaczyńskiego, stał się niespodziewanie nieoficjalnym konsultantem ludzi, którzy chcieli kontynuować dziedzictwo zmarłego Prezydenta, do którego już w nazwie partii się odwoływali („Polska jest najważniejsza”). Nic dziwnego, że te same osoby, które jeszcze przed chwilą robiły wszystko, aby Jarosław Kaczyński wygrał, zapominając w imię jedności o przyczynach katastrofy, szybko przeszły na stronę jej „sprawców”.

Działania Palikota definitywnie zakończyły okres żałoby narodowej. Były polityk Platformy ponownie zaatakował Lecha Kaczyńskiego. „Ja wziąłem na siebie rolę kozła ofiarnego – twierdził. – Niech publicyści po mnie skaczą, niech mnie obrzucają różnymi rzeczami.” Powoli przekraczał kolejne bariery. Mówił, że to „prezydent ma krew na rękach”, że „dokonał aktu przemocy w Smoleńsku”, „szastał życiem”, oskarżał o naciski na pilotów, które spowodowały „niepotrzebną, głupią i bezsensowną śmierć”. „Odpowiedzialność moralną” miał ponosić także Jarosław Kaczyński, który rozmawiał z bratem niedługo przed katastrofą. Prezes PiS był następnie oskarżany o polityczną instrumentalizację katastrofy, o nekrofilję („symbolicznie morduje swojego brata”, „doprowadził tragiczną śmierć do kabaretu”), oszukiwanie wyborców swoją rzekomą przemianą. Palikot przypisał mu krwawe intencje, „nieprawdopodobną agresję”, podjudzanie ludzi broniących krzyża do morderstwa („jak Serbowie Chorwatów, a Chorwaci Serbów”). Tłumaczył się tym, że „przestraszył się tego, że Jarosław Kaczyński w końcu doprowa-

dzi do rozlewu krwi w Polsce. Ja obserwuję jego działalność od kilku miesięcy, wyrażnie w kierunku podburzenia ludzi w Polsce i tego, że ktoś może się targnąć na Komorowskiego.” „W Polsce poleje się krew i Jarosław Kaczyński będzie za to odpowiedzialny” – wieszczył. **Skoro Jarosław Kaczyński był tak niebezpieczny, nie można się dziwić, że w imieniu Bronisława Komorowskiego Palikot ogłosił: „Zastrzelimy Jarosława Kaczyńskiego, wypatroszymy i skórę wystawimy na sprzedaż w Europie.”** Według byłego polityka Platformy, Kaczyński chciał „popęlić polityczne samobójstwo.” Podobne fantazje snuł Kazimierz Kutz: „Skończy samobójstwem. (...) Wcale mu tego nie życzę. Ale śmierć samobójcza to wcale nie jest taka zła rzecz, jeśli człowiek ma się męczyć”. Sam Palikot swój własny projekt polityczny chciał budować „na trupie Jarosława Kaczyńskiego, który się zabije o krzyż smoleński.”

I wtedy powtórzyła się sekwencja znana z katastrofy smoleńskiej. Spirala agresji, której nie traktuje się serio, a potem nagle śmierć. Były członek PO, Ryszard Cyba, krzycząc „nienawidzę PiS, chciałem zabić Kaczyńskiego”, zamordował niejako w jego zastępstwie Marek Rosiak i ciężko ranił nożem drugiego działacza PiS. Prawie udało mu się „wypatroszyć kaczkę” i zrealizować to, o czym fantazjował tłum na Krakowskim Przedmieściu („jeszcze jeden”!) i co zapowiadał Palikot. Co stało się po mordzie w Łodzi? W miniskali powtórzyło się to, co działo się po Smoleńsku. Z jednej strony, strategia jednoci: PO mówiło, żeby tej śmierci nie wykorzystywać politycznie, że trzeba się skupić na ludzkiej tragedii, że nie można ranić najbliższych. Gromadzimy się nad czymś grobem, ale tylko po to, aby nie pytać, dlaczego został zabity. Z drugiej strony, ze strony zwolenników PiS mieliśmy proces kanonizacji. Wreszcie, profanowanie. Pojawiły się głosy, że Marek Rosiak sam był sobie winny, przecież był w PiS – siał wiatr, a więc zebrał burzę. Palikot oskarżył Jarosława Kaczyńskiego o „podkręcanie emocji, że ludziom puszczają nerwy”. „W Polsce możemy się spodziewać wszystkiego, Kaczyński chciał doprowadzić do katastrofy, do tego, że ktoś kiedyś kogoś zabije czy zastrzeli.” Zarzucił mu, że sam nie przejął się śmiercią w Łodzi, bo nawet tam nie pojechał. Zamiast tego oskarżył „pół Polski o to zabicie. Identycznie zachowywał się po śmierci Lecha Kaczyńskiego. Na śmierci brata, na śmierci najbliższych współpracowników buduje kapitał polityczny. To jest obrzydliwe. To jest moralnie naganne”.

Co więcej, rzekomo prawdziwym obiektem ataku Ryszarda Cyby miał być nie tyle Kaczyński, co... Stefan Niesiołowski. W ten sposób „sprawcom” **nie wystarcza już przyjmowanie kondolencji w imieniu „ofiar”, oni sami chcą stać się „ofiarami”:** „Jak pomyślę, że ten człowiek z pistoletem, z którego za godzinę zastrzelił człowieka, mnie szukał, to poczułem, że Pan Bóg mnie ochronił. To ja mogłbym te kule otrzymać. Nie sądzę, żeby przyszedł do mnie w przyjaznych zamiarach, on mnie szukał. Jeśli taką konstrukcję przyjmując, to można powiedzieć, że pierwszym politykiem na liście łódzkiej byłem ja.” Kazimierz

Kutz naraz poczuł się zagrożony i zażądał ochrony osobistej. Janusz Palikot zaś rozważał złożenie pozwu przeciw... Jarosławowi Kaczyńskiemu za podżeganie do mordu „jego osoby”: „Tego typu wypowiedzi mają na celu zachęcenie jakichś osób niepoczytalnych, słabych, niepełna rozumu, żeby targnęły się na moje życie, czy Niesiołowskiego, Kutza lub Tuska. Jest to przykład całkowitego braku odpowiedzialności ze strony tych polityków.” Nic dziwnego, że w sondażu przeprowadzonym przez Homo Homini 72% ankietowanych winnym śmierci w Łodzi uznało Prezesa PiS.

Dlaczego wspólnota, zamiast odzyskać spokój po 10 kwietnia, popadła w jeszcze większą agresję? Otóż **ofiara Lecha Kaczyńskiego była niedoskonała. Uśmiercony bohater nie tylko nie przestał być groźny, ale stał się znacznie bardziej niebezpieczny, gdyż dawał charyzmę swojemu bratu. Wydawało się, że Lech Kaczyński wciąż żył – w swoim bracie.** W konsekwencji w oczach przeciwników Jarosław Kaczyński, obok swego ciała fizycznego, niczym średniowieczny król, miał jeszcze drugie: nieśmiertelne i święte. Aby go zneutralizować, należało zatem zneutralizować jego zmarłego brata. Gdyby nie kampania wyborcza brata, Lech Kaczyński na zawsze pozostałby bohaterem narodowym i symbolem jedności.

Bibliografia

- Agamben G. (2008) *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, Warszawa.
- Bardel M. (2010) *Wielogłós: państwo po katastrofie*, „Rzeczy Wspólne. Pismo Republikańskie”, nr 1.
- Bielik-Robson A. (2010a) *Polski triumf Tanatosa (15 kwietnia 2010)* <http://www.krytykapolityczna.pl/Opinie/Bielik-Robson-Polski-triumf-Tanatosa-/menu-id-1.html>.
- Bielik-Robson A. (2010b) *Totem i tabu. Polskiej tanatologii ciąg dalszy*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Opinie/Bielik-Robson-Totem-i-tabu-Polskiej-tanatologii-ciag-dalszy/menu-id-1.html>, 18 kwietnia.
- Bolewski J. (2007) *Prawda i mit kultury. Z inspiracji Rene Girarda*, Warszawa.
- Bończa-Tomaszewski N., M. Horodniczy (2010) *Błogosławiony dyskomfort. Rozmawia: Bartłomiej Radziejewski*, „Rzeczy Wspólne. Pismo Republikańskie”, nr 1.
- Bugaj R. (2010) *Wielogłós: państwo po katastrofie*, „Rzeczy Wspólne. Pismo Republikańskie”, nr 1.
- Gawin M. (2010) *Wielogłós: państwo po katastrofie*, „Rzeczy Wspólne. Pismo Republikańskie”, nr 1.
- Girard R. (1987) *Kozioł ofiarny*, Łódź.
- Girard R. (1992) *Dawna droga, którą kroczyli ludzie niegodziwi*, Warszawa.
- Girard R. (1993) *Sacrum i przemoc*, Poznań.
- Girard R. (2001) *Prawda powieściowa i kłamstwo romantyczne*, Warszawa.
- Girard R. (2001a) *Widziałem szatana spadającego z nieba jak blyskawica*, Warszawa.
- Girard R. (2006) *Początki kultury*, Kraków.
- Kaczorowski P. (2010) *Tragedia smoleńska, wystąpienie na konferencji „Po tragedii smoleńskiej” w Instytucie Studiów Politycznych PAN w dniu 26 czerwca*.
- Kołakowski L. (1989) *Kapłan i błazen, w: tenże, Pochwała niekonsekwencji*, Warszawa, t. 2.
- Krasnodębski Z. (2010) *Już nie przeszkadza*, „Rzeczpospolita”, 14 kwietnia.

- Krasnodebski Z. (2010b) *Słumienie, ograniczenie, reglamentacja*, „Kultura Liberalna”, nr 80, <http://kulturaliberalna.pl/2010/07/20/kuzniar-smolar-krasnodedbski-zakowski-smolensk-o-goraczkowym-pisaniu-historii-najnowszej/>.
- Krzemiński I. (2010) *Zwolennicy prezydenta to mniejszość*, „Rzeczpospolita”, 16 kwietnia.
- Kuczyński P. (2010) *Śmierć. Polacy w żałobie opowiadają historię*, wystąpienie w debacie „Polska po 10 kwietnia 2010”, która odbyła się w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego w dniu 26 maja.
- Kuźniar R. (2010) *Jak Powstanie Warszawskie*, „Kultura Liberalna”, nr 80, <http://kulturaliberalna.pl/2010/07/20/kuzniar-smolar-krasnodedbski-zakowski-smolensk-o-goraczkowym-pisaniu-historii-najnowszej/>.
- Lisicki P. (2010) *Żałoba i kicz pojednania*, „Rzeczpospolita”, 13 kwietnia.
- Majewski, M., P. Reszka (2011), *Smoleńsk – klęska premiera*, „Rzeczpospolita” 30 lipca
- Nosowski Z. (2010) *Kwietniowa solidarność*, „Więź”, nr 5–6.
- Nowak P., W. Rymkiewicz (2010) *Wawelska skała*, <http://kronos.org.pl/index.php?23250,729>, 17 kwietnia.
- Ratzinger J. (2007) *Jezus z Nazaretu*, Kraków
- Rymkiewicz J. M. (2010a) *Dość tego!*, „Rzeczpospolita”, 16 kwietnia.
- Smolar A. (2010) *Problem pasji*, „Kultura Liberalna”, nr 80, <http://kulturaliberalna.pl/2010/07/20/kuzniar-smolar-krasnodedbski-zakowski-smolensk-o-goraczkowym-pisaniu-historii-najnowszej/>.
- Stawrowski Z. (2010) *Prześwit dziejów*, „Rzeczpospolita”, 23 kwietnia.
- Sulek A. (2010) *Wielcy socjologowie a śmierć prezydenta*, „Więź”, nr 8–9.
- Szawiel T. (2010) *Tacy jesteśmy*, „Więź”, nr 5–6.
- Szumowska M. (2010) *Boję się takiej żałoby*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Opinie/Szumowska-Boje-sie-takiej-zaloby/menu-id-1.html>, 17 kwietnia.
- Terlikowski T. (2010a) *Bojaźń i drżenie*, http://terlikowski.salon24.pl/171531_bojazn-i-drzenie, 16 kwietnia.
- Terlikowski T. (2010b) *Wielogłos: państwo po katastrofie*, „Rzeczy Wspólne. Pismo Republikańskie”, nr 1.
- Tokarska-Bakir J. (2010) *Karnawał smutku*, „Gazeta Wyborcza”, 26 kwietnia.
- Wencel, W. (2010) *Laurowo i ciemno*, http://czterdziestycztery.salon24.pl/222270_wojciech-wencel-laurowo-i-ciemno, 26 sierpnia.
- Wiścicki T. (2010) *Prezydent na serio*, „Rzeczpospolita”, 29 kwietnia.
- Żygułski K. (1976) *Wspólnota śmiechu. Studium socjologiczne komizmu*, Warszawa.

Media po Smoleńsku

Piotr Legutko

„Gość Niedzielny”

Katastrofa pod Smoleńskiem nie odmieniła polskich mediów, choć przez kilka dni byliśmy przekonani, że tak właśnie się stanie. Stała się cezurą od której nic już nie było takie samo, co nie znaczy, że staliśmy się lepsi. Katastrofa okazała się katalizatorem, który przyspieszył i wzmocnił niekorzystne zjawiska w mediach, choć także uruchomił zupełnie nowe, pozytywne procesy. Nastąpił czas skrajnej ideologizacji i instrumentalizacji głównych mediów i w reakcji na to zaczęła się obywatelska rewolta, głównie w sieci. Pośrednio, to właśnie stosunek najbardziej wpływowych dziennikarzy do kwestii katastrofy doprowadził do powstania alternatywnego wobec mainstreamu obiegu informacji, a także sukcesu niezależnych tytułów prasowych.

Inżynierowie dusz

Warto przypomnieć, iż w kwietniu 2010 roku IV władza znajdowała się w fazie głębokiej zapaści, przede wszystkim moralnej. Od trzech lat większość tytułów prasowych i wszystkie komercyjne media elektroniczne zaangażowane były w kampanię skierowaną nie tylko przeciw politykom Prawa i Sprawiedliwości, ale także przeciw szeroko rozumianej polskiej tradycji, historii, religii. Różnica między poszczególnymi tytułami czy stacjami polegała jedynie na różnym stopniu brutalności w prowadzeniu tej kampanii. Po roku 2007 najsilniejszy medialny przekaz dotyczył konieczności całkowitego zerwania z krepującą nas narodową tożsamością. W ślad za politycznym zwycięstwem sił postępu i modernizacji, miały nastąpić zmiany także w sferze kultury, obyczajów, języka, przywiązania do chrześcijańskich wartości. Media komercyjne (TVP i PR zarządzane przez ludzi pochodzących z rekomendacji poprzedniej koalicji tylko pośrednio uczestniczyły wówczas w tym procesie) zawiesiły niejako swoje instytucjonalne obowiązki. Rzetelne informowanie o zagrożeniach państwa i zaniechaniach rządzących, kontrola władzy publicznej, weryfikowanie składanych przez nią deklaracji, szacunek dla własnej historii, kultywowanie dobrych obyczajów, promowanie poprawnej polszczyzny... wszystko

to przestało być istotne, zeszło na drugi plan. Dziennikarze, publicyści – niepomni doświadczeń swoich poprzedników sprzed pół wieku – odpuścili „nudne” wypełnianie swoich obowiązków i zabrali się za inżynierię społeczną. Zakładała ona nie tylko ośmieszenie i ostateczne wtrącenie w niebyt anachronicznego obozu politycznego, ale także (czy raczej - przede wszystkim) zerwanie kulturowej ciągłości, „zresetowanie” tego, co budowało przez wieki naszą tożsamość. Misją IV władzy stało się zaszczepienie Polakom „nowoczesnego” sposobu myślenia. Prosto i skutecznie, na zasadzie „wynij-wklej”. Standardem, swoistą świecką religią, stał się relatywizm i totalna imitacja wszystkiego, co może nas upodobnić do zsekularyzowanych społeczeństw zachodniej Europy (bo Ameryki... już niekoniecznie).

Aby taka operacja zakończyła się powodzeniem, trzeba było dokonać masochistycznej reinterpretacji polskiej tradycji, zweryfikować to, co w niej było dobre, a co złe, ożywić kompleksy, ośmieszyć dumę. To miał być koniec Polski przesiąkniętej z ducha Sienkiewiczem i Powstaniem Warszawskim, odprawiającej wciąż swoje katolickie gusła, zapatrzona w narodowe barwy. I trzeba przyznać, że takie sformatowanie przekazu w dużej mierze się udało. W kwietniu 2010 roku przestrzenią medialną zarządzał już Janusz Palikot, traktowany jak ktoś, kto ma moc przewracania agendy programów informacyjnych. Palikot szokował, obrażał, bił rekordy chamstwa, ale dziennikarskie autorytety udzieliły mu całkowitej dyspensy za ofiarność i odwagę w walce z polskim kołtuństwem. Za umiejętność otwierania wszystkich okien i drzwi w narodowej zatęchłej izbie. (Metafora nieprzypadkowa. Głównym zarzutem IV władzy wobec IV RP była panująca w czasach rządów PiS „duszna atmosfera”).

Udało się rozpisnąć na wiele medialnych fortepianów tę zasadniczą „cywilizacyjną” misję, jaka była (i jest, zdaniem towarzystwa dziennikarskiego) w Polsce do spełnienia. Nietrudno było zresztą uzyskać w tej sprawie niepisany konsensus, zgrabnie ujęty przez Waldemara Kuczyńskiego w dewizie „z PiS-em się nie dyskutuje, PiS się zwalcza”. Takie bezprecedensowe (dla mediów, zobowiązanych do szanowania ludzi o różnych poglądach) popieranie władzy i tępienie opozycji oraz wszystkiego co reprezentują sobą jej wyborcy, zyskało status normy, standardu, punktu odniesienia. Przed 10 kwietnia, w ogromnej części społeczeństwa szukającej w ulubionych stacjach i tygodnikach opinii wykładni tego, „jak myśli oświecona większość”, zaczęła działać zasada zwana w psychologii „spiralą milczenia”. Kto nie akceptował myśli oświeconej zamykał się w sobie, ukrywał poglądy, przekonany, że są niepoprawne, a wszyscy wokół sądzą inaczej niż on. Przeżycie narodowej traumy 10 kwietnia całkowicie tę sytuację zmieniło. Nie zmienił się jednak „przekaz główny”. Przeciwnie, zyskał nowe paliwo.

Doświadczenie żałoby

Po Smoleńsku trzeba było jednak zmienić taktykę. Salon medialny musiał uznać fakt, że co prawda wciąż jest depozytariuszem cywilizacyjnej misji, ale działa w trudniejszych niż się wydawało warunkach. Po prostu większość przestała być milcząca. W dodatku przez niesłuchanie symboliczną wymowę katastrofy, wszystko to, z czym pracownicy walczyli w mediach zostało niejako uświęcone. Prezydent Lech Kaczyński, obiekt kpin i szyderstw, jako jedyny z nam współczesnych spoczął na Wawelu. Szalenie trudno było go w tej sytuacji nadal ośmieszać i deprecjonować. Katastrofa stała się potężnym bodźcem, który przesunął wahadło nastrojów społecznych w drugą stronę, w tę która... już dawno powinna być przegrana.

Żałoba narodowa była dla mainstreamu prawdziwym szokiem. Okazało się wówczas, jak wielu dziennikarzy i publicystów stało się zakładnikami medialnej rzeczywistości, którą sami wykreowali. Dla Polaków gromadzących się w tych dniach w Warszawie czy Krakowie żałoba była odruchem naturalnym, spontanicznym. Dla nich – prawdziwym problemem. Już po kilku dniach zaczęły się – formułowane coraz śmielej i agresywniej – narzekania, że o tragedii mówimy za dużo, zbyt sugestywnie i emocjonalnie. Ale przecież media, które wcześniej kreowały rzeczywistość, teraz „tylko” ją relacjonowały. Dramaturgia wydarzeń nie pozostawiała zbyt wiele miejsca i czasu na cokolwiek innego. Każdy dzień zamieniał się w kolejny akt dramatu. Kolejne transporty z Moskwy wymuszały taki, a nie inny scenariusz żałoby. Kolejne kondukty, pogrzeby, pożegnania, aż po niedzielne apogeum w Krakowie. Nikt żałoby nie przeciągał ponad miarę. Mało tego, oficjalnie trzeba było ją zakończyć w momencie, gdy tak wiele ciał wciąż nie zostało zidentyfikowanych. A mimo to, przez tygodniki i portale wyznaczające poprawnościowe trendy przetoczyła się fala tekstów oskarżających telewizję (zwłaszcza TVP) o to, że miały one w tych dniach rozpętać „narodową histerię”, że wyprowadziły ludzi na ulice, kazały palić znicze i sypać kwiaty. Jak księżnej Dianie. Prof. Agata Bielik – Robson nazwała to, co działo się na Krakowskim Przedmieściu „dajanizacją”. O polskiej żałobie pisano: „karnawał na smutno”, „święto fałszywej jedności”, „zbiorowa histeria podszyta agresją”. Ludzie czekający kilkanaście godzin, by oddać hołd parze prezydenckiej, dla prof. Bielik-Robson i wielu podobnie jak ona myślących, byli jedynie „rozhisteryzowanym tłumem”. Pojawia się też „agresja, która musi znaleźć ujście, by rytuał mógł się skończyć”. Nie był to z pewnością analityczny chłód, a raczej całkowite oderwanie od rzeczywistości?

Uderzał kontrastujący z takim pseudointelektualnym bełkotem język owego „tłumu”. Można go było codziennie usłyszeć w relacjach spod pałacu. Proste słowa, płynące z serca. Spokój. Powaga. Naturalność. Zwyczajne gesty. **W tych dniach to były naprawdę publiczne media. Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy co czuje milcząca zazwyczaj większość.** To na pewno nie był „podszyty agresją tłum” lecz wspólnota. **Ludzie nie zbierali się przeciw komuś, nie szukali winnych. Szukali siebie. Nie chcieli być w chwili tragedii sami. Chcieli być razem.**

Zwracali na to uwagę reporterzy relacjonujący polską żałobę. **Zagraniczni dziennikarze nie widzieli kiczu, patosu i groteski. Zobaczyli coś diametralnie odmiennego od hysterii: spokój, powagę i godność.** To ostatnie słowo padało w relacjach wysyłanych z świat bardzo często. „Imponujące jest, jak ludzie są zorganizowani, nikt nie stara się przecisnąć, wszyscy cierpliwie czekają na swoją kolej pomimo, że trwa to bardzo długo i często odbywa się przy złej pogodzie. Widzę w zachowaniu ludzi wiele godności” – mówi Raluca Lunculescu, korespondentka rumuńskiej Realitatea TV (cyt: za PAP). Charakterystyczne, że to właśnie zagraniczni dziennikarze, zafascynowani niezwykłością polskiej żałoby spędzali w tłumie całe godziny z kamerami i mikrofonami. Gdyby nie Ewa Stankiewicz i Jan Pospieszalski prawdopodobnie nie powstałby żaden rodzimy dziennikarski portret tamtej wspólnoty. **Jest w tym coś trudnego do racjonalnego wytłumaczenia, że wydarzenie społeczne, socjologiczny fenomen jakim było Krakowskie Przedmieście w kwietniu 2010, nie mający precedensu i trudny do porównania z czymkolwiek, został tak ostentacyjnie zignorowany przez najważniejsze stacje i redakcje.** Mało tego, gdyby nie Anita Gargas, zapewne nie mielibyśmy też żadnego autorskiego dokumentu z miejsca katastrofy. Polscy reporterzy, potrafiący pisać przejmujące książki o najbardziej egzotycznych miejscach i odległych nam geograficznie i kulturowo sprawach (za co chwala im), potraktowali najbardziej symboliczne miejsce dla wspólczesnej historii Polaków jako kompletnie nieinteresujące (o czym więcej za chwilę).

W pierwszych kilkudziesięciu godzinach po tragedii można było mówić o dostrojeniu się praktycznie wszystkich polskich mediów do nastrojów społecznych. Sytuacja całkowicie się zmieniła po decyzji o pochowaniu Prezydenta RP na Wawelu. Uznano ją w większości redakcji za nieformalne zerwanie żałoby i sygnał, że „już można i wypada” wrócić do zaburzonego katastrofą przekazu głównego. Nastąpiła jednak dość istotna korekta. Ponieważ nie dało się już ignorować wspólnoty, która wyszła na ulice i place w czasie żałoby, trzeba było poszerzyć front. Przeciwnikiem stało się samo zjawisko określanie przez następne miesiące jako „religia smoleńska”. I ludzie, którzy o katastrofie nie chcieli zapomnieć.

Ciszej nad trumnami

Kiedyś kolejne pokolenia adeptów sztuki dziennikarskiej (o ile takowa przetrwa, co nie jest oczywiste) będą się uczyć w podręcznikach o szczególnym przypadku w dziejach współczesnych mediów, jakim było arbitralne usunięcie z obszaru ich zainteresowania tematu przyczyn katastrofy smoleńskiej. Nie chodzi o to, że o niej nie pisano i nie mówiono, ale o - **kuriozalne z punktu widzenia samej istoty dziennikarstwa - przyjęcie założenia, że jest to temat zamknięty, zanim w ogóle został otwarty, zaś wszelkie próby drażnienia go są przejawem motywowanej politycznej obsesji.** W prezydenckiej kampanii wyborczej media i politycy zawarli niepisaną umowę, że o katastrofie nie mówimy, po wyborach (aż do prezentacji raportu MAK) obserwowaliśmy w mediach jedynie festiwal kpin i szyderstw pod adresem ludzi rozpaczliwie domagających się odpowiedzi na dręczące ich pytania. Nawet prezentacja raportów MAK i komisji Jerzego Millera niewiele zmieniła. Dopiero wychodzenie na jaw kolejnych faktów kompromitujących podstawowe ustalenia obu dokumentów spowodowało pojawienie się pierwszych tekstów poważnie traktujących samą potrzebę poszukiwania prawdy o tym, co wydarzyło się 10 kwietnia 2010 roku.

Smoleńsk pokazał jak w soczewce wszystkie objawy choroby IV władzy. Przede wszystkim jej polityczno-ideologiczne uwikłanie. **Założenia, jakie przyjęto natychmiast po katastrofie** („były naciski prezydenta i łamiąca wszelkie procedury brawura pilotów”) **ustawiły specyficzny tor medialny, do którego dopasowywano wszystkie kolejne informacje. Konsekwencją stała się niezwykle podatność polskich dziennikarzy na najprostsze nawet dezinformacyjne zabiegi. Dziś już możemy powiedzieć, że ujawniła się wówczas realna siła wpływu rosyjskich służb w Polsce. Wtedy ze śmiertelną powagą podawano każdą podrzucaną przez „świeźnie poinformowane źródła” niezweryfikowaną lub nieweryfikowalną „informację”,** która pasowała do przyjętych na początku założeń. Kompromitacją IV władzy jest fakt, że na czerwonych paskach stacji informacyjnych mnożyły się „wiarygodne” newsy potwierdzające naciski na pilotów, prześcigano się w przeciekach obciążających otoczenie prezydenta, zaś ciężar prawdziwego dziennikarskiego śledztwa (analiza zdjęć, szukanie świadków, rozważanie możliwych wariantów katastrofy) wzięły na siebie niezależne portale i blogosfera. Za zweryfikowane i wiarygodne podawano informacje o awanturach przed startem, kilkukrotnym podejściu do lądowania, słowach pilota „jak nie wyląduję, to mnie zabije”, czy jakoby kluczowej ostatniej rozmowie Lecha Kaczyńskiego z bratem.... Nikt nie brał pod uwagę, że wszystkie te „rewelacje” były osadzone w rosyjskiej tradycji dezinformacji, doprowadzonej tam do poziomu wirtuozerii i wielokrotnie stosowanej przy okazji podobnych kryzysów. Mimo iż internet ma dłuższą pamięć niż telewizje i w sieci wciąż krążą kompromitujące „newsy”,

po dziś dzień, żadne z kluczowych mediów nie uznały za stosowne oficjalnie uznać swojego błędu. Jednocześnie nieliczni dziennikarze, którzy wyłamali się z jednolitego frontu i odważyli w ogóle poddawać weryfikacji wersję o zamachu czy awarii uważani byli nie tylko za oszołomów, ale ludzi działających na szkodę Polski, pozbawionych w dodatku szacunku dla powagi śmierci.

Trwanie w grzechu jest gorsze niż grzech sam w sobie. Dlatego jeszcze większą kompromitacją niż przytaczane wpadki, było konsekwentne trzymanie się tez, dla których były one idealnym dopełnieniem. W mechanizmie zaparcia należy szukać przyczyny takiej, a nie innej reakcji na raport MAK, który (warto to przypomnieć) w pierwszej chwili został przyjęty przez najważniejsze polskie media z głębokim zrozumieniem. Kamil Durczok pisał w emblematicznym tekście na łamach „Polska. The Times”: „Raport MAK to nie jest dobry dokument. Jak każdy, który pokazuje tylko część prawdy. Ale to nie znaczy, że to, co w nim napisano, to kłamstwa. I choć trzeba dużej odporności, by wytrzymać beznamiętny ton pani Tatiany Anodiny oskarżającej polskich pilotów o lot po śmierć, to nie znaczy, że szefowa MAK nie ma racji. Ma. I im szybciej do nas to dotrze, tym lepiej.”

Cytat uderzający swą szczerością i otwartością. Program informacyjny, któremu szefuje Kamil Durczok uczynił bardzo dużo, by wersja MAK utrwaliła się jako kanoniczna. „Rosjanie punkt po punkcie wykazali błędy, bałagan, brawurę i szaleństwo panujące na pokładzie tupolewa. Oblędny, śmiertelny łańcuch zdarzeń zabił sto osób w smoleńskim lesie. I pokazali, co sprawiło, że nikt na ziemi nie był w stanie tego szaleństwa zatrzymać” – pisał w styczniu 2011 roku Durczok. W kwestii rzekomego szaleństwa z pewnością zdania nie zmienił. Bo też i w takiej konwencji wciąż przedstawiany jest w TVN zarówno sam przebieg katastrofy, jak i wszelkie próby jej wyjaśnienia. To zresztą doskonałe alibi tłumaczące elementarne zaniechania dziennikarzy wobec tematu Smoleńska: „nie jeździliśmy tam, nie przeprowadzaliśmy własnych śledztw, by nie ranić uczuć, nie wbijać kolejnych gwoździ do trumien. Znamy granice poza które dziennikarz nie powinien się posuwać. Bo przecież wszystko jest jasne. Możemy co najwyżej jeszcze bardziej pogрузić prezydenta, jego otoczenie i pilotów”.

Bóg, honor, agresja

Smoleńsk, to dziś dla medialnego mainstreamu słowo klucz. Kto je wypowiada, sam wystawia sobie świadectwo. Oczywiście, jak najgorsze. Jest bowiem albo wyznawcą spiskowych teorii, albo fanatykiem. Smoleńsk, to papierek lakmusowy. Pokazuje czym media powinny się zajmować, a czym nie. To już nie jest jedynie kwestia polityczna. Drażąc temat

katastrofy dajemy świadectwo braku kultury i elementarnego wyczucia. Bo ludzie nie chcą już o tym słuchać, chcą żyć normalnie. Żałoba się skończyła, nic nie przywróci życia umarłym. Czas z żywymi naprzód iść. A ci, chcą się dobrze bawić, rozmawiać o przyszłości we wspólnym europejskim domu.

Choć rośnie lista spraw w których władza nie może już liczyć na życzliwość mediów, to wszystko, co zawiera się w słowie Smoleńsk, wciąż wywołuje w nich odruch Pawłowa. To żelazna, polityczna rezerwa, po którą Donald Tusk i jego rzecznicy sięgają, i będą sięgali w najtrudniejszych chwilach, bo wiedzą, że znajdują w tym temacie głębokie zrozumienie wśród dziennikarzy. Smoleńsk w ustach polityków PO brzmi jak sentencja „a poza tym uważam, że Kartagina powinna zostać zburzona”. Podoba wam się to, co mówi PiS? Ale przecież oni wciąż nie zapomnieli o Smoleńsku! – to zaklęcie zmienia wszystko, bierze w nawias każdy, nawet najcelniejszy argument krytyczny wobec władzy w Polsce.

Media po Smoleńsku, jeszcze mocniej niż przed katastrofą, stały się organem naczyielskim. Chętniej, niż kiedyś pouczają, co dobre, a co złe. Z kim nam po drodze, a kto szkodnik. Przypominają terapeutę lub anestezjologa, którego celem jest zapewnienie odbiorcom przede wszystkim dobrego samopoczucia. Jedyne, czym można, a i warto się przejmować to sprawy bytowe. Kwestie symboliczne, tożsamościowe nie zajmują Polaków. Jedyne, co może wzbudzać inne, niż zdrowy, radosny śmiech emocje, to życiowe tragedie: bite dzieci, ludzie pozostawieni sami sobie w chorobie, zabijający przechodniów pijani kierowcy. *Nikt nie może zarzucić IV władzy braku społecznego słuchu. Błyskawicznie reaguje na fizyczny ból i dające się sfotografować cierpienie. Za to kompletnie ogłuchła na wszelkie kwestie związane ze sferą duchową - honorem, pamięcią, godnością.* Nie potrafi lub nie chce rozumieć, co ludzi spaja i stanowi fundament społecznego kapitału.

Przejawem braku elementarnej wrażliwości tego typu był sposób prezentowania w mediach wydarzeń na Krakowskim Przedmieściu z jesieni 2010 roku. **Do historii przejdzie także słynny cytat z relacji TVN24 z Marszu Niepodległości z 2011: „Czy były na transparentach hasła nawołujące do agresji?” „Tak, były: Bóg, honor i Ojczyzna”.** Dla młodych reporterek (jak cytowana Agata Kowalska) to nie jest nawet lapsus, lecz opis rzeczywistości, w której jest Polska „kolorowa” i Polska „brunatna”. Są normalni i są faszyci.

Być może najdalej idącą konsekwencją tego, co wydarzyło się w mediach w ciągu ostatnich dwóch lat jest zaakceptowanie w głównym obiegu informacyjnym podobnych podziałów. Przed 10 kwietnia jeszcze uznawano, że przestrzeń medialna jest przestrzenią publiczną, dostępną wszystkim. Przestrzenią, która nikogo nie wyklucza. Choć dominująca narracja nie pozostawiała wątpliwości gdzie są siły postępu, a gdzie Ciemno-

gród, to jednak zachowywano pewne pozory. Dziś można je sobie darować. W przygotowanym na zamówienie KRRiT raporcie, oceniającym sposób relacjonowania przez media Marszu Niepodległości potwierdzono, iż przekaz TVN zawierał „antypatie ideowe”, ale razem podkreślono, iż „sądy dziennikarzy były zawsze dobrze udokumentowane.” Jeszcze ciekawsza była opinia (tym razem negatywna) na temat przekazu Telewizji Trwam. „Cały program nadawany w dniu 11 listopada skoncentrowany był na promocji Marszu Niepodległości. Relacje z jego przebiegu tworzyły idylliczny obraz. Nie pokazywano zamieszek towarzyszących temu pochodowi. Informacje o nich były nieliczne, umieszczane na końcu serwisów informacyjnych.” Skoro już w oficjalnych dokumentach konstytucyjnego organu czytamy, iż ustawienie właściwych proporcji między kilkunastotysięcznym Marszem Niepodległości, a towarzyszącymi mu zadykami jest godnym wytknięcia naruszeniem dziennikarskiego standardu, to znaczy, że weszliśmy w zupełnie nowy etap. I trudno się dziwić, że reakcją nań są wielotysięczne demonstracje w obronie wolności mediów w Polsce.

Jest domknięcie, będzie otwarcie

Dwa lata po Smoleńsku, to także czas domykania ideowo-politycznej spójności przekazu. Kluczowe znaczenie miało „odzyskanie mediów publicznych”. W czasach żałoby były one jeszcze niezależne wobec obozu sprawującego władzę, po wyborach weszły w orbitę wpływów pałacu prezydenckiego i ministerstwa kultury. Tym samym 80% społeczeństwa, dla którego telewizja wciąż jest jedynym źródłem wiedzy o świecie przestało być narażone na dysonans poznawczy. Jeśli do tego dodać jednobrzmiący ton „Gazety Wyborczej”, „Polityki”, „Wprost”, Newsweeka” czy radia TOK FM można mówić o osiągnięciu masy krytycznej.

Warto zwrócić uwagę na niezwykle konsekwentną politykę kija i marchewki stosowaną wobec niezależnych mediów. Nie tylko po Smoleńsku, bo także wcześniej, obóz władzy (w różnych mutacjach i konfiguracjach ten sam, poza epizodami rządów Jana Olszewskiego, AWS i Jarosława Kaczyńskiego) trzymał się linii zaniechania jakichkolwiek ułatwień podatkowych, nie mówiąc już o dotacjach dla inicjatyw medialnych, na które nie miał wpływu oraz „brania głodem” niepokornych. Reklamy spółek skarbu państwa trafiały zawsze tam, gdzie panował sprzyjający władzy klimat. „Gazeta Wyborcza” wygrywała wszystkie publiczne przetargi, łącznie z tymi, dotyczącymi wspierania rolnictwa na obszarach, gdzie „wyborczej” na oczy nie widziano. Niezależne pisma nie miały też co liczyć na reklamy komercyjne. Ich strumieniem kierowały i kierują (we właściwym kierunku) agencje i domy mediowie, zawsze usytuowane blisko tronu. Z czasem czyniąc to coraz bardziej ostentacyjnie, aż po głośną wypowiedź Jakuba Bierzyńskiego, szefa

Omnicom Media Group, który ogłosił, że czytelnicy o poglądach prawicowych „nie wykazują skłonności konsumenckich”. Nie warto zatem w gazetach, które czytają zamieszczać reklam. Głodem wzięto kiedyś „Czas Krakowski”, potem tygodnik „Spotkania” i dziennik „Życie”. Kordonem reklamowym otoczono tygodniki katolickie. Po Smoleńsku stało się to trudniejsze, wobec ich ogromnego wzrostu sprzedaży, a także sukcesu rynkowego „Uważam Rze” i „Gazety Polskiej” przy jednoczesnej zapaści „tytułów postępowych”. Stąd po raz pierwszy okazało się konieczne dorabianie ideologii do proceduru bardziej przypominającego polityczne represje, niż skuteczny marketing. Choć faktem jest, że i samym reklamodawcom, zależnym w prowadzeniu biznesu od kaprysów rządzących (kontrakty, zamówienia, koncesje) niespecjalnie zależy, by szukać klientów via niepokorne media.

Ostatnie wybory prezydenckie zmieniły także stosunek obozu władzy (i podłączonych doń taborów) do mediów publicznych. Przez pięć lat politycy PO konsekwentnie wzywali do niepłacenia abonamentu, mając w tym dziele - mało obywatelskim oraz sprzecznym z prawem – pełne wsparcie komercyjnych telewizji. Doprowadzili w ten sposób do ruiny system finansowania TVP i PR, zamieniając je w stacje całkowicie uzależnione od reklam. Równoległe połączone siły medialnego i kulturalnego salonu prowadziły akcję na rzecz „odbicia mediów publicznych politykom i oddania ich obywatelom”. Po sukcesie wyborczym Bronisława Komorowskiego i zmianie układu sił w KRRiT wszystkie te działania okazały się zbędne. Dziś już nie słychać o inicjatywach Komitetu Obywatelskiego Mediów Publicznych (reaktywuje się zapewne po zmianie władzy), za to codziennie jesteśmy na zmianę przekonywani i straszni w kwestii (nie)płacenia abonamentu RTV.

Prawdziwym majstersztykiem, pokazującym, jak w najbliższych latach może wyglądać relacja rząd - media okazało się sprzedanie w lipcu 2011 udziałów w spółce Prespublica (wydającej „Rzeczpospolitą” i „Uważam Rze”) Grzegorzowi Hajdarowiczowi. Szczegóły transakcji poznaliśmy dopiero w marcu 2012. Okazało się wtedy, że skarb państwa sprzedał gazetę na raty, nie tracąc nad nią pośrednio kontroli. Rząd pokazał tym samym, iż można zjeść ciastko i mieć ja nadal. Udziały Grzegorza Hajdarowicza w Prespublice są bowiem obecnie zastawione... w Państwowym Wydawnictwie Rzeczpospolita oraz Getin Noble Banku kontrolowanym przez Leszka Czarneckiego, którego polityczne sympatie i antypatie są szeroko znane.

Nie ma się co zatem dziwić, że tak drastyczne zawężenie przestrzeni debaty musiało doprowadzić do wysypu nowych inicjatyw, głównie w sieci. Pojawiły się nowe portale i liczna grupa popularnych blogerów, krytycznych wobec sojuszu władzy politycznej z medialną. Minione dwa lata to także wielki sukces rynkowy tygodnika „Uważam Rze”, skokowy wzrost sprzedaży „Naszego Dziennika” i „Gazety Polskiej”, regular-

nie rosnąca pozycja „Gościa Niedzielnego”. I fenomen popularności dokumentów filmowych powstających przy wsparciu niezależnych producentów i pokazywanych przy pełnych salach w całej Polsce.

Istnienie dwóch medialnych obiegów stało się faktem. Analogia do sytuacji z lat 80. minionego wieku, choć się sama narzuca, nie jest do końca trafiona. **Drugi obieg nie jest bowiem offowy i bezdebitowy, ma przecież swoją mocną reprezentację na rynku prasy: trzy tygodniki opinii sprzedające w sumie blisko 400 tys egzemplarzy. Ma też portale bogate w multimedia, a ich odbiorcy tworzą dobrze zorganizowaną społeczność, komunikującą się także bezpośrednio, między sobą, choćby przez masowe przesyłanie linków do tekstów i filmów. Choć siła oddziaływania obu obiegów jest wciąż nieporównywalna, to ten drugi stał się już trwałym elementem medialnego krajobrazu. Ważna jest różnica nie w skali, ale w prezentowanym systemie wartości, w używanym języku, doborze tematów. Różnica na tyle duża, że ich odbiorcy tworzą zbiory odrębne i coraz bardziej się od siebie oddalające.**

Narasta także – od Smoleńska - napięcie między autorami zasilającymi oba obiegi. Podobnie jak w kwestii reklamowego ostracyzmu i tu porzucono ostatnie pozory. Seweryn Blumsztajn ogłaszając powstanie Towarzystwa Dziennikarskiego otwarcie nawiązał do określenia „salon” od lat używanego do opisu grupy, której flagowym medium jest „Gazeta Wyborcza”. Ostatnia wymiana dziennikarzy między tygodnikami „Wprost” i „Newsweek” także pokazuje, iż mamy w pierwszym obiegu do czynienia z tytułami dostarczającymi czytelnikom de facto jeden i ten sam контент.

Odpowiedź na pytanie, czy jest to sytuacja przejściowa nie jest łatwa. To co dziś wydaje nam się mainstreamem wkrótce może bowiem okazać się marginesem. Czasy są bowiem niepewne, a ideowy projekt promowany przez siły modernizacji i postępu szybko się degeneruje. Ale przede wszystkim, na scenę wchodzi pokolenie, dla którego telewizje informacyjne nie są żadną wyrocznią, podobnie jak nauczanie towarzystwa dziennikarskiego z „Gazety Wyborczej” i „Polityki”. Nie jest to pokolenie jednolite ideowo (w dużej mierze całkowicie bezideowe), ale spaja je przywiązanie do idei wolności i swobody w wybieraniu różnych źródeł informacji. Technologicznie i cywilizacyjnie to pierwszy obieg wydaje się wkraczać w fazę schyłkową. Kontrola „środków masowego przekazu”, w czasach, gdy na ekranie telewizora chętniej oglądane są zabawne filmiki z YouTube, niż przyciężkawe gawędy przy szkle kontaktowym, będzie się stawać coraz bardziej iluzoryczna. I choć dziś można mówić o domknięciu systemu polityczno-medialnej władzy, jutro nieuchronnie wydaje się jego otwarcie. Już nieodwracalne.

Wymiar międzynarodowy



Konsekwencje katastrofy smoleńskiej dla pozycji międzynarodowej Polski

Przemysław Żurawski vel Grajewski
Uniwersytet Łódzki

I. Wstęp

Katastrofa smoleńska rzadko jest w polskiej debacie publicznej rozpatrywana jako wydarzenie o konsekwencjach międzynarodowych³⁸. To stan nienaturalny. **Trudno wszak postawić na poważnie tezę, że śmierć prezydenta Rzeczypospolitej - blisko 40 milionowego kraju w Europie Środkowej i towarzyszących mu kilkudziesięciu przedstawicieli elity politycznej narodu oraz sposób reakcji państwa na to wydarzenie nie miały żadnych skutków politycznych dla pozycji Polski na arenie gry międzypaństwowej.**

Publicysta miałby prawo zauważyć, iż brak gorącej debaty na ów temat jest czymś zaskakującym. Analitykowi nie wolno posłużyć się takim stwierdzeniem. Musi napisać, iż fakt ten wymaga rzetelnego wyjaśnienia i racjonalnego politologicznego opisu. W istocie przecież niewielu z nas on dziwi. Jego przyczyny nie pozostają bowiem niejasne i niezrozumiałe. Odpowiedź na pytanie o ten stan rzeczy jest zatem pierwszym celem stawianym w ramach niniejszych rozważań.

Poniższy tekst nie będzie odniesieniem do technicznych okoliczności samej katastrofy i jej przyczyn, ani też do jej znaczenia jako tragedii narodowej i ludzkiej, choć związane z nią działania motywowane uczuciami narodowymi i naturalnymi emocjami ludzkimi jednostek, grup obywateli czy partii politycznej (PiS) miały swój wymiar międzynarodowy (reakcje na potraktowanie zwłok i rodzin ofiar przez służby rosyjskie, tablica upamiętniająca katastrofę, próba nagłośnienia sprawy w USA). Poza obszarem naszych rozważań pozostają również, o ile nie mają związku z pozycją międzynarodową RP, wymiary prawny, moralny, medialny i socjologiczny katastrofy smoleńskiej, choć oczywiście musimy być świadomi ich istnienia.

Treścią zasadniczą prezentowanej analizy jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o to, w jaki sposób tak sama katastrofa, jak i wydarzenia jej towarzyszące, wpłynęły na sytuację międzynarodową Polski. Jakie nurty jej polityki zagra-

nicznej zostały w jej wyniku wzmocnione, a jakie zmarginalizowane, jakie atuty pozostające uprzednio w dyspozycji Rzeczypospolitej z rąk jej zostały w wyniku tego tragicznego wydarzenia ujęte, a jakie, jeśli w ogóle, dodane, z których z nich i jak korzystano, w jakim wreszcie położeniu międzynarodowym znajduje się Polska dziś – dwa lata od największej mierzonej liczbą zabitych w niej polityków katastrofy lotniczej dziejach świata, która stała się udziałem Polaków i ich państwa?

II. Kategoryzacja skutków katastrofy smoleńskiej z punktu widzenia ich wpływu na pojęcie Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej

Skutki katastrofy smoleńskiej w zakresie ich wpływu na pozycję międzynarodową Rzeczypospolitej można rozpatrywać w trzech płaszczyznach:

1. Konsekwencji prestiżowych jakie dla państwa polskiego niósł sam fakt, iż dopuściło ono do śmierci swego prezydenta i innych członków delegacji należących do elity politycznej kraju, w tym liczne grona najwyższych wojskowych z szefem Sztabu Generalnego WP i szefami rodzajów sił zbrojnych na czele, prezesem Narodowego Banku Polskiego, wicemarszałkami Sejmu i Senatu, rzecznikiem praw obywatelskich, szefem BBN i dyrektorem IPN, by wymienić tylko najwyżej postawione osoby;
2. Zaniechań w polskiej polityce zagranicznej, wynikających z faktu, iż z grona jej autorów zniknęli ludzie, którzy dotąd na nią oddziaływali, tworząc jej istotny nurt o poważnym, choć po 2007 r. słabnącym wpływie na położenie międzynarodowe Polski i jej związki z innymi państwami;
3. Inicjatyw podjętych przez Polskę po 10 kwietnia 2010 r. w warunkach braku przeciwdziałania ze strony osób, które zginęły w wyniku katastrofy smoleńskiej i tym samym zniknęły z polskiej sceny politycznej oraz środowisk, które w konsekwencji owego tragicznego wydarzenia utraciły ważne instrumenty oddziaływania na polską politykę państwową;
4. Skutków dla pozycji międzynarodowej Polski, jakie wyniknęły z faktu niepodjęcia przez Polskę samodzielnego śledztwa w tej sprawie i oddania go Rosji.

Można by dokonać także innej kategoryzacji skutków katastrofy dla pozycji międzynarodowej Polski, dzieląc je na :

1. konsekwencje wynikające z wiedzy na temat państwa polskiego, jego natury, zdolności, jakości jego klasy politycznej i kondycji Polaków jako narodu, nabytej przez inne państwa – uczestników gry międzynarodowej;
2. konsekwencje wynikające z utraty przez Rzeczpospolitą wiedzy, zdolności politycznych i korzyści/względnie obciążeń prestiżowych, posiadanych czy to w postaci „zasobów ludzkich” - czyli ludzi tej klasy politycznej i konstrukcji mental-

nej, którzy zginęli w Smoleńsku, czy też zaufania do Polski/względnie jego braku, związanego z faktem, iż do chwili śmierci wpływali oni na politykę zagraniczną naszego kraju i współtworzyli jego obraz za granicą.

Katastrofa smoleńska ma oczywiście także wewnętrzpolityczny wymiar polski, rozumiany jako konsekwencje owego wydarzenia dla kształtu i dynamiki polskiej sceny politycznej i rywalizujących na niej partii. Wynik tej rywalizacji nie jest obojętny. Ba, można bronić tezy, iż jest rozstrzygający dla kształtu polskiej polityki zagranicznej po 10 kwietnia 2010 r. Wymiar ten mieści się jednak w punktach 2 i 3 pierwszej z przedstawionych powyżej kategorii.

III. Przyczyny braku debaty wewnętrzpolitycznej na temat międzynarodowych skutków katastrofy smoleńskiej

Zacznijmy od odpowiedzi na pierwsze postawione we wstępie pytanie. Jak wskazano wyżej, brak istotnej debaty publicznej na temat skutków katastrofy smoleńskiej dla pozycji międzynarodowej Polski nie ma tajemniczych przyczyn. **Obiektywna prezentacja konsekwencji owego wydarzenia, z punktu widzenia ich wpływu na wewnętrzne interesy Rzeczypospolitej, stałaby się twardym oskarżeniem pod adresem obecnego rządu.** W jego interesie, w interesie wspierających go mediów głównego nurtu i przychylnych mu dominujących środowisk analityczno-komentatorskich leżało zatem zmarginalizowanie debaty na ten temat. Uzyskanie w jej wyniku pozytywnego obrazu rządu i stojącej za nim koalicji PO-PSL jest bowiem niemożliwe.

Prezentacja już jedynie najbardziej podstawowych faktów stawia fatalnym światłem poczynania gabinetu Donalda Tuska w okresie poprzedzającym katastrofę smoleńską, jak i tuż po niej. Działania te są jawne i znane. Nie ma zatem wątpliwości, iż nie umknęły one uwagi obserwatorów zewnętrznych. Przez fakt zaistnienia wpłynęły więc na pozycję międzynarodową Rzeczypospolitej, gdyż musiały ukształtować jej obraz w umysłach decydentów odpowiedzialnych za prowadzenie polityki zagranicznej państw trzecich. Ich istota sprowadza się do czterech faktów niepodważalnych:

1. Dyplomacji rosyjskiej zależało na podziale delegacji polskiej na rządową z premierem Donaldem Tuskiem na czele oraz prezydencką z głową państwa polskiego - Lechem Kaczyńskim i towarzyszącymi mu politykami. Pierwsza z nich miała wziąć udział w uroczystościach katyńskich w dniu 7 kwietnia, posiadać status uznanej przez Rosję oficjalnej delegacji państwowej i uczestniczyć w ceremoniach rocznicowych wraz z premierem Rosji Władymirem Putinem. Druga miała zostać zmarginalizowana, a status jej wizyty w relacjach polsko-rosyjskich miał być jak najniższy.

2. Rząd premiera Tuska, motywowany rywalizacją na linii PO-PiS na wewnątrz-krajowej scenie politycznej, złamał zasadę solidarności narodowej w stosunkach zewnętrznych i podjął grę z dyplomacją rosyjską przeciw kancelarii prezydenta RP, dzieląc cele postawione sobie przez Moskwę³⁹. W rezultacie został zrealizowany wspólny cel Rosji i rządu PO-PSL – tzn. podział polskiej delegacji państwowej na rządową i prezydencką i zminimalizowanie rangi tej drugiej.
3. Na rządzie i podległych mu służbach spoczywa odpowiedzialność za karygodne zaniedbania w zakresie przygotowania wizyty delegacji prezydenckiej w Katyniu ze szczególnym uwzględnieniem uchybień w zakresie organizacji lotu do Smoleńska⁴⁰.
4. Rząd Donalda Tuska odpowiada za przyjęcie protokołu 13. konwencji chicagowskiej⁴¹ jako podstawy prawnej prowadzonego śledztwa⁴² i rezygnacji z prób wywarcia na Rosję presji na rzecz rzetelnego dochodzenia prawdy, poprzez jego umiędzynarodowienie w drodze odwołania się do NATO, UE, ONZ czy innych instytucji międzynarodowych.

W zakresie odpowiedzialności opisanej w punkcie 3 rząd w praktyce nie ma już obrońców. Trudno wszak utrzymywać, iż lot był dobrze przygotowany, albo, że za jego przygotowanie nie odpowiadały służby rządowe, albo, że za działanie owych służb nie odpowiada rząd. Głoszona od pierwszych godzin po katastrofie rosyjska teza o rzekomych czterech podejściach do lądowania⁴³, mająca uwiarygodnić twierdzenie o domniemanej odpowiedzialności prezydenta RP za tragedię, jest od dawna wstydliwie przemilczana. Kolejne sensacje, dotyczące nacisku na pilotów ze strony ś.p. generała Błasika lub samego ś.p. prezydenta Lecha Kaczyńskiego - czy to na lotnisku, czy w trakcie lotu - nie znalazły potwierdzenia w żadnych udokumentowanych faktach i obecnie trudno znaleźć kogokolwiek, kto publicznie przyznałby się do ich autorstwa. Żadna z tez stanowiących rdzeń przekazu rządu i nowego prezydenta na temat katastrofy z pierwszych miesięcy po jej zaistnieniu nie sprawdziła się i nie nadaje się obecnie do wykorzystania jako instrument zdjęcia odpowiedzialności ze służb rządowych za bieg wypadków 10 kwietnia 2010 r.

Nie lepiej wygląda sytuacja w odniesieniu do punktu 4. Trudno jest dzisiaj, po dwóch latach, bronić decyzji rządu o powierzeniu śledztwa Rosjanom. De facto stało się to niemożliwe już w chwili ogłoszenia raportu MAK, tak z uwagi na jego treść⁴⁴ jak i okoliczności i sposób jego upublicznienia⁴⁵.

Sam raport, co należy podkreślić z uwagi na główny nurt naszych rozważań, był silnym i skutecznym ciosem w prestiż Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej, upowszechniając w świecie „informację” o pijanym dowódcy lotnictwa

polskiego, wywierającym na polecenie prezydenta pozaregulaminową presję na pilotów. Rząd ani nie potrafił tej sytuacji zaradzić, ani się jej przeciwstawić, a całe wydarzenie zastało „zaskoczonego” premiera na wypoczynku w Dolomitach, choć przecież fakt, iż raport MAK będzie wkrótce opublikowany od dłuższego czasu nie był tajemnicą. Premier już w połowie grudnia 2010 r. wiedział, że raport będzie „nie do przyjęcia”⁴⁶, a mimo to zlekceważył konieczność przygotowań do zwalczania jego tez i nie monitorował sytuacji, lecz udał się na urlop, który w związku z całą sytuacją przerwał jedynie na krótko⁴⁷. Trudno o wyraźniejszą manifestację braku zainteresowania rządu pozycją międzynarodową Polski w kontekście śledztwa smoleńskiego.

Pełnej amnezji audytorium wymaga także zaprzeczanie tezie, iż do czasu opublikowania projektu raportu MAK rząd przekonywał opinię publiczną, iż współpraca z Rosjanami układa się doskonale, a sama katastrofa smoleńska wręcz stała się kamieniem węgielnym nowych – opartych na wzajemnym szacunku, współczuciu i zrozumieniu - stosunków polsko-rosyjskich.

Dlaczego to przypominamy w tekście poświęconym skutkom jakie tragedia z 10 kwietnia przyniosła dla pozycji międzynarodowej Rzeczypospolitej? Odpowiedź jest prosta. Opisana powyżej sytuacja w całej swej rozciągłości była przecież obserwowana także przez analityków, planistów i decydentów kształtujących politykę zagraniczną państw trzecich. Nie mogła nie mieć wpływu na położenie międzynarodowe Polski, jej powagę i prestiż. **Jedyną metodą obrony obecnych władz Rzeczypospolitej przed oceną skutków ich postępowania w tym zakresie jest zatem nie poruszanie tego tematu i stąd brak jego nagłaśniania we wiodących mediach, a w konsekwencji i brak dyskusji publicznej nad konsekwencjami międzynarodowymi wytworzenia w wyniku katastrofy takiego, a nie innego obrazu państwa polskiego.**

Przedstawione powyżej stwierdzenia nie podlegają zakwestionowaniu w żadnej uczciwej debacie. Ich podważenie wymagałoby bowiem negowania faktów weryfikowalnych na bazie istniejących dokumentów, względnie na bazie braku dokumentów, które powinny istnieć, a z niedbalstwa (co jest oskarżeniem najłagodniejszym z możliwych) nie zostały wytworzone¹¹. W rezultacie przedmiotem sporu politycznego może być jedynie kwestia konsekwencji dotyczących okoliczności piątej:

5. pełnej – od 10 kwietnia 2010 r. z nikim już nie dzielonej - odpowiedzialności rządu PO-PSL oraz wywodzącego się z partii rządzącej prezydenta za całokształt polskiej polityki zagranicznej - tak w kontekście reakcji państwa polskiego na samą katastrofę, jak i za politykę zagraniczną Rzeczypospolitej w ogóle.

Bilans „dokonań” obozu rządzącego we wszystkich czterech wymienionych powyżej wymiarach wypada, mimo urzędowego optymizmu, wyjątkowo ponuro. Nie da się wiarygodnie argumentować, iż analitycy, planiści i decydenci, rozstrzygający o polityce zagranicznej innych państw, są nieświadomi faktu, iż zwalczające się nawzajem w Polsce dwa główne obozy polityczne pozostają w stosunku do siebie w zajadłej wrogości. Historia smoleńska wskazuje przy tym, iż jeden z nich – reprezentowany przez Platformę Obywatelską, jest zdolny do wchodzenia we współpracę polityczną z czynnikami zewnętrznymi – w tym wypadku z rządem rosyjskim, w celu zmarginalizowania drugiego. Rosja, z uwagi na jej system władzy, praktykę fizycznego eliminowania jej przeciwników politycznych⁴⁹, tradycje, mentalność i pochodzenie elit rządzących⁵⁰ oraz sprzeczność interesów strategicznych z interesami państwa polskiego, musi być przy tym uznana przez bezstronnych obserwatorów, za państwo szczególnie wysokiego ryzyka dla każdego kraju środkowoeuropejskiego, którego rząd podjąłby tego typu działania. **Istotą tych działań było bowiem zaproszenie Moskwy do udziału w rozgrywce przedwyborczej przeciwko wewnątrz krajowej opozycji.** Sytuacja ta dostarcza zatem państwom trzecim informacji o skali spistości państwa polskiego i głębokości istniejących w nim podziałów wewnętrznych. Mówi im też wiele o jakości obecnej polskiej partii rządzącej. O tym czego mogą się po niej – czyli de facto po rządzonej przez nią państwie polskim spodziewać, a czego nie. Wiedza ta, zależnie od interesów i sympatii politycznych owych zewnętrznych obserwatorów, staje się dla nich źródłem nadziei lub zawodu i wpływa na ich decyzje i planowanie polityczne.

Mówiąc o zewnętrznych obserwatorach bądźmy dosłowni. Nie chodzi nam o abstrakcyjne państwa A czy B, lecz o konkretne kraje, mające konkretne interesy, doświadczenia historyczne i sposób postrzegania zagrożeń. Kraje powiązane w sensie pozytywnym lub negatywnym z interesami Rzeczypospolitej. Próbując odgadnąć wpływ katastrofy smoleńskiej na wizerunek Polski jako gracza na arenie międzynarodowej, nie myślimy zatem o skutkach, jakie to wydarzenie wywarło w zakresie obrazu naszego kraju w umysłach decydentów, analityków czy planistów (z całym szacunkiem) boliwijskich czy nigeryjskich. **Chodzi nam o to, jakie wnioski pojawiły się na biurkach dyrektorów departamentów analiz i planowania polityki zagranicznej i obronnej w Ministerstwach Spraw Zagranicznych i Ministerstwach Obrony Narodowej: Azerbejdżanu, Białorusi, Czech, Estonii, Gruzji, Litwy, Łotwy, Mołdawii, Rumunii, Słowacji, Ukrainy, Węgier i last but not least Rosji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy Francji.** Są to nasi partnerzy lub przeciwnicy w grze o interesy Rzeczypospolitej, których decyzje po 10 kwietnia 2010 r. podejmowane są, w sposób oczywisty, na podstawie tej wiedzy o Polsce, jaką owa katastrofa ujawniła światu. **To między innymi na jej podstawie rozstrzygają oni o poszukiwaniu w Rzeczypospolitej sprzymierzeńca na rzecz takiej czy innej sprawy, lub o rezygnacji ze współpracy z Polską, jako z krajem, który się na sojusznika nie na-**

daje. To ta właśnie wiedza jest podstawą do podjęcia decyzji o rozpoczęciu lub o zaniechaniu gry na rzecz pogłębienia wewnątrzpolskich podziałów z zamiarem sparaliżowania akcji polskiej na arenie międzynarodowej lub popchnięcia jej w pożądanym przez siebie kierunku.

Odpowiedź na pierwsze postawione we wstępie pytanie wynika zatem z konstatacji faktu, iż wszystkie przedstawione powyżej wnioski, nakazują każdemu politykowi, komentatorowi czy badaczowi stosunków międzynarodowych, sympatyzującemu z obozem rządzącym, pomijać milczeniem pytanie o konsekwencje międzynarodowe katastrofy smoleńskiej i unikać debaty na ten temat. Ponieważ zaś ludzie o takich właśnie sympatiach dominują w środowiskach, które w normalnych okolicznościach podjęłyby taką debatę, stąd jej brak.

IV. Konsekwencje katastrofy smoleńskiej dla prestiżu Polski na arenie międzynarodowej

Odpowiedź na pytanie wynikające z tytułu niniejszego podrozdziału zawarta już została w znacznej mierze w tej części analizy, która dotyczyła powodów niepodjęcia wewnątrzpolskiej debaty politycznej nad konsekwencjami smoleńskiej tragedii. Tu wyciągnijmy tylko zasadnicze wnioski:

Polska ukazała się światu jako państwo niesprawne. Toczący się w kraju spór o to, która ze struktur państwa polskiego (kancelaria prezydenta, premiera, MON, BOR, MSZ) jest bardziej odpowiedzialna za powstałe zaniedbania oraz w okresie czyich rządów one powstały, jest drugorzędny w odniesieniu do pytania o konsekwencje prestiżowe katastrofy smoleńskiej dla pozycji międzynarodowej Polski. **Dla obserwatorów zagranicznych wniosek jest oczywisty – zawiodło państwo polskie, które nie potrafiło ustrzec swego prezydenta i swej elity politycznej od śmierci w katastrofie lotniczej na terytorium państwa, którego wspomniany wyżej charakter oraz sprzeczność interesów strategicznych z interesami państwa polskiego, nakazywały najwyższą ostrożność w relacjach wzajemnych. Obowiązku owej ostrożności nie dopełniono.** Analiza przyczyn tego stanu rzeczy należy do dziedziny oceny polityki wewnętrznej i nie będziemy się nią zajmować. Dla niniejszych rozważań istotny jest pierwszy wniosek, który w związku z konstatacją powyżej opisanej sytuacji możemy postawić:

Państwo polskie w wyniku katastrofy smoleńskiej poniosło ciężkie straty wizerunkowe. Ukazało się pozostałym uczestnikom gry międzynarodowej jako struktura niezdolna do wytworzenia właściwych procedur bezpieczeństwa, skutecznie chroniących jego najwyższych przedstawicieli, względnie nie potrafiąca wymusić ich przestrzegania.

Działania rządu RP przed i po katastrofie smoleńskiej zniszczyły prestiż Polski jako wiarygodnego sojusznika w jakimkolwiek ewentualnym sporze z Rosją. Gra rządu D. Tuska z Moskwą przeciw prezydentowi RP przed katastrofą oraz zachowanie się tegoż rządu po niej (oddanie kontroli nad śledztwem) musi prowadzić do wniosku, iż Polska przestała być postrzegana przez zewnętrznych aktorów gry międzynarodowej jako wart rozpatrywania potencjalny sojusznik w jakiegokolwiek akcji sprzecznej z interesami Moskwy.

Złożona ustami rzecznika rządu Pawła Grasia, potwierdzona zaś przez premiera Donalda Tuska i wówczas p.o. prezydenta Bronisława Komorowskiego deklaracja, iż Polska nie zażąda przejęcia śledztwa w sprawie śmierci swego prezydenta i towarzyszących mu osób, gdyż „mogłoby to być bardzo źle odebrane”⁵¹, musiała być odczytana w całym regionie wschodnioeuropejskim jednoznacznie. Pytanie o to, gdzie i przez kogo żądanie przejęcia śledztwa przez Polskę byłoby „źle odebrane”, jest pytaniem retorycznym, a odpowiedź, iż chodzi o Moskwę, oczywista.

Skoro tak, to **każdy normalny pracownik departamentu analiz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych któregośkolwiek z państw, wymienionych w poprzedniej części niniejszej pracy, musiał zadać sobie pytanie: czy Polska, która nie podejmie próby przejęcia kontroli nad śledztwem w sprawie śmierci swego prezydenta w obawie przed niechęcią Rosji, podejmie jakąkolwiek inną akcję, narażającą ją na tę niechęć. Odpowiedź musiała być negatywna** i w ten sposób Rzeczpospolita wysłała do wszystkich rządów w regionie sygnał, by nie liczyły na jej solidarność, lub by nie liczyły się z jej zdaniem w razie, gdy znajdą się w sporze z Moskwą czy takim jak Estonia w 2007 r., czy takim jak Gruzja w roku 2008, czy jak Ukraina niemal co roku od Pomarańczowej Rewolucji przeżywająca „gazowe wojny” z Rosją. Polska przekazała w ten sposób wiadomość także polskim działaczom mniejszościowym np. na Białorusi. **Informacja w niej zawarta brzmiała: „Rzeczpospolita nie uważa by śmierć jej prezydenta warta była ryzykowania ochłodzenia stosunków z Moskwą.** Nie łudźcie się, iż wasza śmierć, np. w wypadku samochodowym, lub w wyniku pobicia przez nieznaną sprawców, wywoła jakiegokolwiek poważne reakcje Warszawy.” W kontekście tego przesłania rezygnacja Andżeliki Borys z przewodniczenia ZPB nabiera zupełnie innego sensu. Jest to naturalnie spekulacja, ale każdy, kto zna postsowieckie realia i potrafi wczuć się w sposób rozumowania doświadczonych nimi ludzi, musi przyznać, iż jest ona wysoce prawdopodobna.

Polska ukazała się jako kraj głęboko podzielony, którego wewnętrzne rozdarcie państwa trzecie mogą skutecznie wykorzystywać dla oddziaływania na jej politykę zagraniczną. Wniosek ten płynie przede wszystkim z konkluzji, jakie obserwatorzy zewnętrzni musieli wyciągnąć z sytuacji poprzedzającej katastrofę smoleńską.

Uprawomocniono pogląd, iż istnieje masowe przyzwolenie Polaków na przedmiotowe – lekceważące traktowanie Polski. Integralną, choć autonomiczną konsekwencją poprzedniego wniosku jest stwierdzenie o prestiżowej porażce wynikającej z załamania się międzynarodowego wizerunku polskich elit przywódczych, a w konsekwencji Polaków jako narodu przywiązanego do swego państwa.

Polskie elity przywódcze nie wypełniły bowiem obowiązków jakie na nich ciążyły w związku z katastrofą smoleńską. Jednym z tych obowiązków, było wyjaśnienie jej znaczenia szerokim rzeszom współobywateli, tak aby byli oni świadomi jego wagi w chwili podejmowania decyzji wyborczych. W efekcie niedopełnienia tego obowiązku rząd, na którym ciążą opisane powyżej zarzuty, pozytywnie przeszedł weryfikację wyborczą. **Zagranica otrzymała kolejną poważną informację na temat stanu Rzeczypospolitej. Brzmi ona: Rząd Polski nie tylko nie potrafił zadbać o bezpieczeństwo prezydenta i elity politycznej swego kraju, nie tylko podjął grę z rządem rosyjskim przeciw głowie własnego państwa, nie tylko zlekceważył obowiązek zadbania o wiarygodnie prowadzone śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej, ale na dodatek uzyskał na to zgodę większości aktywnych wyborców. Oznacza to, iż stan identyfikacji obywateli Rzeczypospolitej z ich państwem, stan ich świadomości politycznej i natury stosunków międzynarodowych pozwala na traktowanie Polski w ten sposób bez reakcji z ich strony. Jest to bodajże najgroźniejsza konsekwencja katastrofy smoleńskiej wśród wszystkich powyżej wymienionych⁵². Prowokuje bowiem zachowania wobec Polski nieprzyjemne, w przeświadczeniu, iż pozostaną one bezkarne, gdyż ani rząd, ani polska opinia publiczna się im nie przeciwstawi.**

V. Bilans katastrofy smoleńskiej dla położenie międzynarodowego Polski - atuty, słabości, wyzwania 2008-2012,

Polska w okresie od 16 listopada 2007 r. do 10 kwietnia 2010 r. funkcjonowała w systemie kohabitacji – tzn. w sytuacji gdy prezydent pochodził z innego obozu politycznego, niż większość parlamentarna i wyłoniony przez nią rząd. Wobec rozbieżności wizji obu ośrodków władzy wykonawczej – prezydenta i rządu, w zakresie polityki zagranicznej i miejsca Polski na arenie międzynarodowej, istnienie ośrodka prezydenckiego i jego aktywność w sposób wyraźny, choć słabnący, oddziaływały na pozycję międzynarodową Rzeczypospolitej. Katastrofa smoleńska przerwała tę sytuację. Jej skutki w tym wymiarze były dwójakiego rodzaju: pozbawiały Polskę licznych atutów i nielicznych, do tego specyficznych słabości.

Atuty

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński i kierowany przez niego ośrodek władzy wykonawczej, oddziałujący na politykę zagraniczną państwa (kancleria i BBN), choćby poprzez jej recenzowanie, stanowił istotny atut w grze o pozycję międzynarodową RP. Katastrofa smoleńska pozbawiła nasz kraj tego czynnika.

Po pierwsze **zniknął ten ośrodek polskiej polityki zagranicznej, który uznał, iż pozycja Polski w Europie zależy nie od jej miejsca u boku największych mocarstw europejskich, lecz od umiejętności odgrywania przez nią roli głównego rzecznika i obrońcy interesów Europy Środkowej, zagrożonej uprzedmiotowieniem tak przez wiodące mocarstwa UE, jak i Rosję.** W ramach tej wizji stosunków międzynarodowych linia polityki zagranicznej ośrodka prezydenckiego sprowadzała się do przestrzegania trzech zasad fundamentalnych polskiej polityki zagranicznej:

Zasady solidarności z partnerami wschodnioeuropejskimi. Prezydent Lech Kaczyński okazał ją Estonii w 2007 r. w trakcie jej konfliktu z Rosją o pomnik „brązowego żołnierza”, kiedy to po ataku rosyjskich hakerów na estońskie rządowe strony internetowe udostępnił instytucjom państwa estońskiego własne strony w sieci⁵³; Gruzji i Ukrainie, gdy wiosną 2008 r. pozytywnie odpowiedział na ich prośbę o nieuznawanie Kosowa. Uznanie państwowości tego kraju odbierane byłobowiem w Kijowie i Tbilisi jako precedens otwierający Rosji możliwości powoływania się nań w wypadku podjęcia akcji wspierającej secesję Osetii Pd. Abchazji lub Krymu⁵⁴. (Nie trzeba dodawać, iż przyszłość potwierdziła trafność stanowiska prezydenta). Najślynniejszą akcją ś.p. prezydenta w omawianej dziedzinie było naturalnie wsparcie dla Gruzji w czasie rosyjskiego najazdu na to państwo, gdy Lech Kaczyński stanął na czele wyprawy pięciu przywódców państw środkowo-wschodnioeuropejskich do Tbilisi⁵⁵. Jej pomniejszym, ale dostrzeżonym przez naszych południowych sąsiadów przejawem było przemówienie ś.p. prezydenta na Westerplatte (1 IX 2009), w którym określił przyłączenie Zaolzia do Polski w 1938 r. jako „nie tylko błąd, ale i grzech”⁵⁶. Była to bodajże jedyna korzyść wizerunkowa, jaką odniosła Rzeczpospolita z tych nieudolnie zorganizowanych przez rząd uroczystości, w ramach których przygotowano trybunę do zaprezentowania swych wizji historii i polityki przede wszystkim przez przywódców Niemiec (kanclerz Angelę Merkel) i Rosji (premiera Władymira Putina), których świat słucha i bez polskich rekomendacji, wręcz demonstracyjnie zlekceważono zaś sąsiadów – wspólne z nami ofiary paktu Ribbentrop-Mołotow: Estończyków, Finów, Litwinów, Łotyszy, Rumunów i Ukraińców. Skończyło się to manifestacyjnym, wcześniejszym wyjazdem premier Ukrainy Julii Tymoszenko, tłumaczącej się pilnym spotkaniem z Kadafim!⁵⁷

Solidarność środkowo-wschodnioeuropejska w ujęciu prezydenta Kaczyńskiego miała stać się podstawą rozwoju współpracy wzajemnej w innych dziedzinach – przede wszystkim energetycznej, prowadzonej w oparciu o grupę GUAM (Gruzję, Ukrainę, Azerbejdżan i Mołdawię), zmierzającą do budowy, pozostającego poza kontrolą rosyjską, szlaku przesyłu surowców energetycznych z basenu Morza Kaspijskiego do Europy Środkowej. Był on zatem jednym z animatorów szczytów energetycznych wspomnianej grupy, odbywanych w Kiszyniowie, Kijowie, Krakowie i Wilnie. Po jego śmierci ten nurt polskiej polityki zagranicznej zupełnie zamarł.

Zasady podmiotowości i twardej obrony interesów RP oraz poszanowania podmiotowości innych państw członkowskich na forum Unii Europejskiej, nawet za cenę konfliktu z jej wiodącymi mocarstwami. Ten ryt linii politycznej prezydenta Lecha Kaczyńskiego najlepiej znalazł swój wyraz w walce o odpowiadający interesom Polski system głosowania w Radzie Unii Europejskiej w ramach słynnego sporu „Nicea, czy Lizbona”⁵⁸. Jej finałem była akceptacja przez prezydenta postanowień nowego traktatu, dokonana na szczycie UE w Brukseli w czerwcu 2007 r., gdzie Lech Kaczyński, rezygnując z koncepcji pierwiastkowej⁵⁹, uzyskał odroczenie wejścia w życie jego niekorzystnych dla Polski zapisów do roku 2014 z zastosowaniem mechanizmu z Ioanniny do 2017 r⁶⁰.

Ciągiem dalszym tych zmagania było odmówienie udziału w presji na Irlandię, która odrzucając traktat, działała de facto także w interesie Polski, zdejmując przy tym z Rzeczypospolitej zasadniczy ciężar walki o blokowanie postępu prac nad tym porozumieniem. Prezydent do czasu rozstrzygającej decyzji irlandzkiej odmawiał więc swego podpisu pod dokumentem ratyfikacyjnym traktatu. Stało się to podstawą do niewybrednych ataków na jego osobę ze strony ludzi czy to nie rozumiejących sytuacji, czy też celowo wprowadzających opinię publiczną w błąd stwierdzeniem, że prezydent odmawia ratyfikowania traktatu, który sam wynegocjował, i który sam uznał za sukces. Tymczasem w postawie prezydenta nie było nic nielogicznego – wszak sukcesem negocjacyjnym nie był kształt traktatu, lecz fakt odłożenia w czasie jego wejścia w życie w zakresie tych postanowień, które w sposób najbardziej drastyczny sprzeczne były z interesem Polski, a których w wyniku procesu negocjacyjnego, bez przyjęcia na siebie kosztów frontalnego starcia z czołowymi mocarstwami UE, nie dało się uniknąć.

Odmowa ratyfikacji, była grą na czas, której koszty płacili Irlandczycy, a nie Polacy. Była ona sensowna tak długo, jak długo traktat nie był ratyfikowany przez Irlandię, RFN i Czechy i można było, biorąc pod uwagę brytyjski kalendarz wyborczy, żywić nadzieję na doczekanie zmiany rządów na Wyspach, rozpisania wśród oby-

wateli Zjednoczonego Królestwa, obiecywanego w kampanii wyborczej, referendum w sprawie traktatu i odrzucenia tego ostatniego w wyniku ich łatwej do przewidzenia decyzji. Gdy ta kalkulacja zawiodła, nie pozostało nic innego, jak ratyfikowanie traktatu, co też prezydent uczynił. W stoczonych wokół tej sprawy walce zademonstrował jednak poszanowanie przez Polskę praw mniejszych państw UE, brak zgody na dyktat dyktatoriatu europejskich mocarstw kontynentalnych i respekt dla obowiązującego wówczas traktatowego prawa UE, nakazującego stosowanie zasady jednomyślności przy zmianach traktatów podstawowych Unii Europejskiej. Ten nurt polskiej polityki zagranicznej wygasł po 10 kwietnia 2010 r.

Zasady opierania bezpieczeństwa militarnego Polski na ścisłej współpracy wojskowej ze Stanami Zjednoczonymi i przyciągania poparcia USA dla polityki strategicznego przemodelowania układu sił w Europie Wschodniej, poprzez umocowanie w przestrzeni politycznej Zachodu, ciężających ku niej państw postsowieckich – Ukrainy i Gruzji. Ta cecha charakterystyczna polityki zagranicznej RP, promowanej przez ośrodek prezydencki, znajdowała swój wyraz w poparciu, jakie prezydent udzielił koncepcji rozmieszczenia w Polsce elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej i prowadzonej wówczas jeszcze wspólnie z MSZ walce o Plan na rzecz członkostwa (Membership Action Plan) w NATO dla Gruzji i Ukrainy na szczycie Sojuszu Północnoatlantyckiego w Bukareszcie (2-4 IV 2008)⁶¹.

Nie oznaczało to, wbrew oskarżeniom jego przeciwników politycznych, wasalizacji Polski na rzecz USA. Wszak **zbudowanie przy udziale Amerykanów tam dla rosyjskich ambicji neoimperialnych na obszarze postsowieckim leży przede wszystkim w interesie Rzeczypospolitej, a nie przede wszystkim w interesie Stanów Zjednoczonych.** (Tam, gdzie interesy RP i USA były sprzeczne, jak w wypadku wspomnianej kwestii uznania Kosowa, stanowisko prezydenta pozostawało zgodne z potrzebami Polski, a nie z życzeniami naszego strategicznego sojusznika). Nowa administracja prezydencka Baracka Obamy zrezygnowała z obu projektów (tak tarczy w Polsce i w Czechach, jak i rozszerzenia NATO) w nadziei kupienia w ten sposób współpracy Moskwy na rzecz zastopowania irańskiego programu jądrowego⁶².

Nie powstrzymało to następcy Lecha Kaczyńskiego od podróży do Waszyngtonu (8-10 XII 2010) dla udzielenia nonsensownego z polskiego punktu widzenia poparcia Obamie w zakresie przeforsowania ratyfikacji traktatu New START z Rosją⁶³. Dzięki Bronisławowi Komorowskiemu prezydent USA zyskał argument przeciw republikańskiej opozycji w Senacie, sprzeciwiającej się układowi. Mógł wskazać, że nawet uchodząca za nieufną wobec Rosji Polska uważa go za pożyteczny. Rosja, nie mająca możliwości utrzymania parytetu sił jądrowych z USA

w ramach swobodnego wyścigu zbrojeń, a traktująca ów parytet jako publiczne potwierdzenie swojej równorzędnej z amerykańską mocarstwowością, uzyskała go z polską pomocą jako wynik przetargu dyplomatycznego w kwestii irańskiej.

Prezydent Komorowski zyskał sukces wizerunkowy w postaci długiej rozmowy z Obamą. Tylko zyski Polski pozostają wątpliwe. New START zwalnia bowiem środki budżetowe rosyjskiego Ministerstwa Obrony, zużywane dotąd na niewykonalny ekonomicznie dla Rosji zamiar utrzymywania parytetu zbrojeń jądrowych z USA w drodze rywalizacji i umożliwia przeznaczenie ich na zbrojenia konwencjonalne. Nie ma potrzeby dodawać, iż widmo użycia broni jądrowej przez Rosję jest zupełnie iluzoryczne, podczas gdy rosyjskie siły konwencjonalne w sierpniu 2008 r. dokonały najazdu na Gruzję, a we wrześniu 2009 r. przeprowadziły największe od zakończenia zimnej wojny manewry u granic Polski i państw bałtyckich („Zapad 2010” i „Ładoga”), w ramach których ćwiczyły tłumienie polskiego powstania na grodzieńszczyźnie i przebijanie korytarzy przez Litwę do Królewca⁶⁴.

Katastrofa smoleńska doprowadziła zatem do, nieograniczanego już prezydenckim przeciwdziałaniem, totalnego odejścia polskiej polityki zagranicznej od podmiotowo rozumianego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi.

Zasady prymatu zadań obronnych Wojska Polskiego nad jego misjami ekspedycyjnymi. Nie jest to zasada polityki zagranicznej, ale ma ona fundamentalny wpływ na warunki jej prowadzenia, rozstrzyga bowiem o podstawach bezpieczeństwa państwa. **W ujęciu ośrodka prezydenckiego podstawowym filarem bezpieczeństwa Rzeczypospolitej miała być jej armia, podczas gdy sojusze zewnętrzne miały być ważnym, ale jednak pomocniczym jego zabezpieczeniem.** Pogląd ten znalazł wyraz w niechęci prezydenta do dalszego ograniczania liczebności polskich sił zbrojnych, odzwierciedlonej w zatwierdzonej przez niego *Strategii bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej Polskiej z 2007r*⁶⁵.

Prezydent nie był w stanie przeciwdziałać rządowej polityce dalszej redukcji sił zbrojnych, oparcia bezpieczeństwa państwa na gwarancjach zewnętrznych i rezygnacji z samodzielnej obrony kraju jako podstawowego zadania Wojska Polskiego, uwidocznionej w zapisach *Strategii obronności Rzeczypospolitej Polskiej z 2009r*⁶⁶. Zmiany w polityce bezpieczeństwa państwa zaszły jeszcze za życia Lecha Kaczyńskiego i katastrofa smoleńska nie miała rozstrzygającego wpływu na ten fakt. Prezydent, gdyby żył do końca swej kadencji, wykorzystując możliwości pozostające w jego dyspozycji z racji pełnionego urzędu, zapewne ostrzegłby opinię publiczną przed linią polityki obronnej przyjętej przez rząd, ale należy wątpić, iż byłby usłuchany.

W swych działaniach po listopadzie 2007 r. prezydent nie mógł być wysoce skuteczny. Nie stał wszak na czele egzekutywy państwa. Na przykład, jak wspomniano, wbrew jego zdaniu, rząd Donalda Tuska uznał w imieniu Rzeczypospolitej Kosovo, ulegając w tym akurat względnie naciskom amerykańskim, ale także niemieckim i de facto oddając usługę Rosji, szykującej się już do agresji na Gruzję. Prezydent nie był też w stanie przeciwdziałać wygaszaniu polskiej polityki wschodniej, choć spowiadał tempo tego procesu. Podobnie rzecz się miała z odwrotem od podmiotowej polityki na forum Unii Europejskiej.

Prezydent był przeszkodą na drodze do wykonywanej przez rząd wolty na trzech zasadniczych kierunkach polityki zagranicznej RP – wschodnim, amerykańskim i unijnym. Katastrofa smoleńska zerwała tę barierę. Ta hamująca siła wprawdzie słabła w wyniku kampanii rządowej i medialnej dyskredytującej urząd prezydenta, w czym notabene celował szef MSZ – Radosław Sikorski. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że po ewentualnych wyborach prezydenckich, odbytych w terminie konstytucyjnym, i tak by zaniknęło. To ostatnie stwierdzenie może jednak być już jedynie dziedziną spekulacji, a nie analizy. Pozostaje faktem, iż katastrofa smoleńska gwałtownie zerwała opisywany nurt polskiej polityki zagranicznej i usunęła ze sceny politycznej liczną grupę ludzi odpowiedzialnych za jego koncepcyjne sformułowanie i praktyczne wprowadzanie w życie. Środowisko to, nawet po przegranych wyborach, gdyby nie katastrofa, stanowiłoby siłę skutecznie recenzującą rząd i oddziaływałoby na rzeczywistość.

Obok samego prezydenta, atutami Rzeczypospolitej w zakresie polityki zagranicznej, które uległy zniszczeniu w wyniku katastrofy smoleńskiej, byli jak wskazano w poprzednim akapicie także towarzyszący mu ludzie. Spośród 95 ofiar katastrofy nie sposób zanalizować wartości politycznej w omawianej dziedzinie każdej z nich. Siłą rzeczy musimy się zatem ograniczyć do trzech ilustrujących ją przykładów:

- Ś.p. **Grażyny Gęsińskiej**, minister rozwoju regionalnego odpowiedzialnej za wykorzystanie przez Polskę funduszy unijnych, skutecznie w czasie jej urzędowania absorbowanych przez gospodarkę polską. W chwili katastrofy naturalnie nie pełniła już ona tej funkcji, pozostając w opozycji. W jej osobie Rzeczpospolita straciła jednak istotny atut (choć w danym momencie jedynie potencjalny) w zakresie sprawności administracyjnej państwa polskiego w omawianym obszarze.
- Ś.p. **Władysława Stasiaka**, najpierw szefa BBN, a potem szefa Kancelarii Prezydenta RP, aktywnego w dziedzinie wypracowywania konkretnych pomysłów wdrożeniowych, dotyczących realizacji opisanych powyżej zasad polityki zagranicznej Rzeczypospolitej, przyjętych przez ośrodek prezydencki.

Niech ich symbolem będzie zaakceptowany przez niego wstępnie pomysł zaproszenia do rozmaitych akcji na rzecz uczczenia pamięci „żołnierzy wyklętych”, odpowiedzialnych za podobną aktywność instytucji państwowych Litwy, Łotwy i Estonii, zajmujących się upamiętnieniem antysowieckiej partyzantki „leśnych braci”⁶⁷.

- Ś.p. **Janusza Kochanowskiego** – Rzecznika Praw Obywatelskich, organizującego seminaria naukowe, dotyczące także polityki zagranicznej RP, z których wnioski, gdyby było mu to dane, mogły być w kolejnych latach wprowadzane w życie. Ich przykładem, niechaj będzie pomysł przekształcenia nagrody im. Pawła Włodkowica w nagrodę rzeczników praw obywatelskich państw Europy Środkowej, przyznawaną w kilku kategoriach (np. Jan Hus – dla obrońców swobód religijnych, Grigorij Gongadze – dla niezależnych dziennikarzy itp.), będących jednocześnie promocją środkowoeuropejskich tradycji wolnościowych i osiągnięć kulturowych, jak i hołdem dla nich, a przy tym także narzędziem wsparcia demokracji i ochrony zabytków na obszarze post-sowieckim. Wyrażone wstępnie przez dra Janusza Kochanowskiego zainteresowanie tym projektem⁶⁸ nie miało ciągu dalszego po 10 kwietnia 2010 r.

Wymienione przykłady świadczą o płodności umysłowej środowiska, które poniosło największe straty w wyniku katastrofy smoleńskiej. Jego utrata jest poważną raną zadaną zapleczu intelektualnemu polskiej polityki zagranicznej, a zatem uprawnionym jest wniosek, iż przyczyniła się ona do osłabienia międzynarodowej pozycji Rzeczypospolitej.

Słabości

Istnienie dwugłosu w polityce zagranicznej każdego państwa jest objawem jego choroby. Stan ten trwał w Polsce od listopada 2007 r. do 10 kwietnia 2010 r. i zakończony został wskutek katastrofy smoleńskiej. W tym zupełnie formalnym wymiarze, abstrahującym od treści obu konkurujących ze sobą polityk zagranicznych (prezydenckiej i rządowej), jego zakończenie można by uznać za kres demonstrowanej tym faktem słabości państwa polskiego.

Kwestia wizerunku Lecha Kaczyńskiego jako głowy państwa polskiego w oczach międzynarodowej opinii publicznej często wymieniana jest przez jego przeciwników politycznych jako czynnik osłabiający pozycję Polski na arenie międzynarodowej. W takim ujęciu, katastrofa smoleńska usunęłaby tę słabość. Sprawa nie jest jednak tak jednoznaczna.

Nie ulega wątpliwości, iż ś.p. prezydent Lech Kaczyński nie cieszył się popularnością tak wśród rosyjskiej, jak i zachodnioeuropejskiej opinii publicznej. Było to jednak w pewnej mierze rekompensowane jego wysokim prestiżem w państwach bałtyckich, Gruzji, Rumunii i Turcji (W tej ostatniej przyznano mu *Wyróżnienie Europejskiego Męża Stanu 2006 roku*⁶⁹), a po wspomnianym przemówieniu z 1 września 2009 r. także poszerzającą się sympatią wśród czeskiej opinii publicznej. Jako sojusznik był postrzegany także przez „pomarańczową” część ukraińskiej sceny politycznej. Istniała również świadomość przychylnego nastawienia ś.p. Lecha Kaczyńskiego do koncepcji ścisłego sojuszu Warszawy z Waszyngtonem wśród odpowiedzialnych za politykę wobec Polski kręgów decyzyjnych USA. Dominujący w polskich mediach przekaz ukazujący funkcjonowanie ś.p. prezydenta, jako wizerunkowe obciążenie Polski był zatem zdeformowany, a zawarte w nim interpretacje nieprawdziwe.

Sympatia, jaką wzbudza przywódca danego państwa na arenie międzynarodowej należy do atutów polityki zagranicznej kraju, na którego czele on stoi. Antypatia – przeciwnie, jest jego słabością. **Trudno jednak uznawać za miernik wartości męża stanu zdolność do przypodobania się obcym, bez pytania o wymierne korzyści i koszty takiej sytuacji. Sprzeciwianie się interesom innych państw w imię interesów własnego pociąga za sobą koszty wizerunkowe. Koszty te płacił także prezydent Lech Kaczyński.** Katastrofa smoleńska zamknęła te rachunki. Trudno je jednak uznać za słabość, a nie koszty właśnie - dodajmy od razu – koszty, które należało ponieść.

Wyzwania

Polska od sierpnia 2008 r. zmuszona jest działać w stale pogarszającej się koniunkturze międzynarodowej. Fakt ten nie obciąża żadnego z rządów polskich, ani żadnego z jej prezydentów, gdyż jest wynikiem sił i wypadków od Polski niezależnych. Rząd PO-PSL swymi działaniami dekoniunkturę tę jednak pogłębiał.

Punktem zwrotnym była wojna rosyjsko-gruzińska z sierpnia 2008 r., która ukazała, iż Stany Zjednoczone nie są w stanie zapewnić bezpieczeństwa swym nieformalnym sojusznikom, zagrożonym przez Rosję oraz że Rosja jest w stanie dokonać inwazji zbrojnej na sąsiedni suwerenny kraj i nie ponieść z tego tytułu żadnych wymiernych konsekwencji w relacjach z szeroko rozumianym Zachodem (UE, USA). Moment ten w wymiarze strategicznym zamknął drogę Ukrainie i Gruzji do NATO, o otwarcie której dyplomacja polska, jak wspomniano wyżej, walczyła jeszcze solidarnie na bukaresztańskim szczycie Sojuszu w kwietniu 2008 r., spierając się o to z Niemcami i Francją.

Objęcie urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych przez Baracka Obamę i wycofanie się USA z rywalizacyjnej względem Rosji polityki w Europie Środkowo-wschodniej, klęska obozu „pomarańczowego” na Ukrainie, poważne zachwianie wiarygodnością strefy euro przez finansowy kryzys grecki i problemy podobnej natury w Portugalii, Hiszpanii i we Włoszech, a w kolejnych miesiącach rewolucje arabskie w Afryce Północnej, wojna NATO w Libii, weto Rosji i Chin wobec sankcji przeciw reżimowi Asada w Syrii i groźba interwencji zbrojnej Izraela na rzecz powstrzymania irańskiego programu jądrowego, marginalizujące w oczach czołowych państw UE i w USA znaczenie sytuacji w naszej części kontynentu, dopełniają obrazu tej, dla Polski wyjątkowo złej koniunktury międzynarodowej.

W obliczu opisanej powyżej sytuacji, stojące obecnie przed Polską wyzwania możemy podzielić na dwie kategorie. Pierwsza to wyzwania pozostające w zakresie celów strategicznych: zapewnienie bezpieczeństwa (wielowymiarowego – militarnego, energetycznego, gospodarczego itd.) państwa, utrzymanie poza strefą dominujących wpływów rosyjskich lub wyprowadzenie z niej państw szeroko rozumianego wschodniego sąsiedztwa Polski (kraje bałtyckie, Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Gruzja, Azerbejdżan), utrzymanie wiarygodności amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa militarnego dla nowych państw członkowskich NATO, przeciwdziałanie powstaniu nieformalnego „dyrektoriatu” europejskiego, dominującego realny proces podejmowania decyzji w UE i sprowadzającego jej procedury formalne do roli teatru politycznego, zatwierdzającego decyzje podjęte w łonie tandemu niemiecko-francuskiego lub w ramach pozatraktatowych struktur nieformalnych w rodzaju grupy frankfurckiej⁷⁰.

Druga kategoria to cele taktyczne. Wśród nich możemy wymienić takie kwestie jak: przeprowadzenie śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej w sposób nie podważający prestiżu i powagi państwa polskiego, budowanie koalicji państw Europy Środkowej na rzecz przeciwdziałania dyktatowi mocarstw w UE (co implikuje np. polskie poparcie dla Węgier⁷¹), unikanie obciążeń dla gospodarki polskiej wynikających z niekorzystnych dla nas zobowiązań finansowych związanych z ratowaniem strefy euro w ramach paktu fiskalnego, zwalczanie dyskryminującej wynalazców polskich i polskie firmy koncepcji jednolitej unijnej ochrony patentowej⁷², utrzymanie drożności szlaków wodnych na podejściach do przyszłego gazoportu w Świnoujściu, wypracowanie korzystnego dla Polski nowego porozumienia gazowego z Rosją, ścisłe pilnowanie wdrażania przez UE tzw. „klauzuli Gazpromu”, ważnej dla przeciwdziałania wrogiemu przejęciu przez rosyjskiego giganta infrastruktury energetycznej w państwach Unii⁷³, minimalizacja kosztów „walki z globalnym ociepleniem”, narzucanych gospodarce polskiej przez państwa „starej” UE⁷⁴, liberalizacja, a najlepiej zniesienie systemu wizowego dla Ukraińców i Białorusinów, obrona praw mniejszości polskiej na

Białorusi (kwestia legalności ZPB, bezpieczeństwa jego działaczy i nienaruszalności jego mienia), rozwiązanie problemu dyskryminacji mniejszości polskiej na Litwie bez jednoczesnego otwierania Rosji drogi do propagandowego ataku na Łotwę i Estonię w zakresie rzekomego łamania praw ludności rosyjskojęzycznej w krajach bałtyckich itd.

Część z tych zadań realizowana była w miarę skromnych możliwości wykonawczych przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego i pozostające do 10 kwietnia 2010 r. poza władzą PO struktury państwowe RP takie jak BBN, czy Rzecznik Praw Obywatelskich. Inne pojawiły się dopiero niedawno i nie można ich rozpatrywać w kategorii zaniechań wynikających z utraty przez obóz prezydencki w wyniku katastrofy smoleńskiej instrumentów oddziaływania na sytuację międzynarodową Polski. Niekwestionowaną cezurą czasową wpływów ośrodka prezydenckiego na kształt polskiej polityki zagranicznej byłyby wybory głowy państwa odbyte w konstytucyjnym terminie – tzn. jesienią 2010 r. Możemy zatem założyć, że czasowo sięgnęłyby co najmniej gry o wsparcie Polski dla ratyfikacji układu New START.

VI. Wnioski

Do 10 kwietnia 2010 r. ś.p. prezydent, stał na czele wysiłków Polski na rzecz zachowania solidarności środkowoeuropejskiej tak wobec Rosji, jak i wobec niemiecko-francuskiego dyrektoriatu w UE. Był ośrodkiem konsolidacji ważnego intelektualnie zespołu analityczno-planistycznego w zakresie polityki zagranicznej państwa. Mógł, choćby poprzez urzędową krytykę, hamować niektóre ekstrawagancje rządu w interesującym nas zakresie i informować tę część opinii publicznej, która zechciała go słuchać. Po katastrofie smoleńskiej aktywność w tym wymiarze zupełnie ustała. Można oczywiście twierdzić, iż po listopadzie 2007 r. nie miała ona istotnych konsekwencji praktycznych, nie da się jednak wykazać, że rządowy program „ocieplenia relacji z Rosją”, czy ożywienie martwego od lat Trójkąta Weimarskiego dało bardziej namacalne wyniki.

O ile przy tym za polityką prezydenta Kaczyńskiego kryła się głębsza myśl strategiczna współpracy środkowoeuropejskiej, której ośrodkiem krystalizującym była Warszawa, o tyle za obecnymi poczynaniami rządzących trudno dostrzec jakikolwiek ważki cel strategiczny poza wizerunkowym. Żywa w ostatnich latach współpraca polsko-litewska (plany budowy nowej elektrowni jądrowej w Ignalinie – potem w Visaginie, polsko-bałtycki most energetyczny, wspólne z Litwą wetowanie PCA UE-Rosja w sporze o rosyjskie embargo na polskie produkty rolne w 2007 r., zakup Możejek przez

Orlen, wspólne z Litwą zwalczanie Gazociągu Północnego i wspólne z nią promowanie Ukrainy, Gruzji i kwestii białoruskiej) zamarła, podobnie jak rodząca się po 2007 r. solidarność polsko-estońska i polsko-gruzińska. Zniknięcie prezydenckiego ośrodka polskiej polityki zagranicznej miało dla tych zjawisk znaczenie decydujące.

Polska pod rządami PO-PSL zrezygnowała z roli promotora interesów swych mniejszych sąsiadów, co czyniła poprzednio nawet za cenę sporów z sąsiadami większymi. Pozycja Warszawy wręcz uległa odwróceniu. O ile poprzednio Polska z dużą dozą wyrozumiałości podchodziła do nierozsądnych posunięć naszych słabszych środkowoeuropejskich partnerów (stosunek Litwy do wileńskich Polaków, kult Bandery na Ukrainie), a jednocześnie twardo spierała się z mocarstwami lekceważącymi interesy Rzeczypospolitej (spór Nicea/Lizbona, sprzeciw wobec Gazociągu Północnego, embargo na polskie mięso, MAP dla Gruzji i Ukrainy), o tyle obecnie poddaje się bez oporu wszelkim projektom niemiecko-francuskim, wykazuje daleko idące i niczym nie uzasadnione zaufanie do Rosji, a jednocześnie mocno manifestuje swoje niezadowolenie wobec Litwy i dystansuje się od Ukrainy (np. 30 września 2010 r. rozwiązano Polsko-ukraiński batalion sił pokojowych – POLUKRBAT⁷⁵, przeciw czemu zapewne oponowałby prezydent). Próba ocieplenia stosunków z Białorusią Łukaszenki, wobec której rząd PiS i prezydent Kaczyński zachowywali daleko posuniętą rezerwę, zakończyła się spektakularną klęską, tak w wymiarze losów mniejszości polskiej i ZPB (utrata Domu Polskiego w Iwieniu, dymisja Andżeliki Borys), jak i w aspekcie demokratyzacji Białorusi (brutalne represje reżimu wobec opozycji po grudniowych wyborach prezydenckich w tym kraju⁷⁶), a ostatecznie wydaleniem ambasadora RP z Mińska⁷⁷.

Poparcie przez Warszawę tandemu francusko-niemieckiego skutkuje marginalizacją Polski i zupełnym nieliczeniem się Berlina i Paryża z interesami Europy Środkowej. **Rozreklamowane Partnerstwo Wschodnie umiera śmiercią naturalną z braku funduszy i jasno zamanifestowanego na szczytach w Pradze (7 V 2009 r.)⁷⁸ i w Warszawie (29-30 IX 2011) braku zainteresowania czołowych państw UE⁷⁹.** Osobną kwestią jest bezprecedensowa po 1945 r. sprzedaż przez Francję i Niemcy zaawansowanej technologii militarnej (okręty śmigłowcowo-desantowe Mistral i budowane przez Rheinmetal, nasycone techniką wojskową Bundeswehry, centrum wyszkolenia wojsk lądowych w Mulinie pod Nowogrodem Niżnym⁸⁰) Rosji, z zupełnym lekceważeniem obaw Gruzinów, czy Białów. W podobny sposób przebiega konstruowanie zasad działania UE. Wszystko wskazuje na to, że rząd polski nawet nie był konsultowany przy mianowaniu Catherine Ashton i Hermana van Rompuy'a, a jedynie poinformowany o tym fakcie po podjęciu decyzji w gronie mocarstw. (Przeciw tej procedurze protestowała była prezydent Łotwy Vaira Vīķe-Freiberga⁸¹. Głosu Polski zabrakło).

Obecne dążenie Niemiec i Francji do stworzenia dyrektoriatu europejskiego w oparciu o strefę euro i wydzielenia Unii dwóch prędkości z marginalizacją znaczenia państw spoza strefy, pogłębia proces uprzedmiotowienia Warszawy. Polska zdystansowana wobec opcji atlantyckiej (Wielka Brytania) oraz swych środkowoeuropejskich sąsiadów, świadomych, że nie mogą na nią liczyć w sporach czy to z Moskwą, czy z rdzeniem UE, jest wobec tych wyzwań samotna i bezradna. Jej „sukcesy” ograniczają się do wymiaru personalno-wizerunkowego – „korona Himalajów” w spotkaniach prezydenta Komorowskiego z przywódcami mocarstw, fotel przewodniczącego Parlamentu Europejskiego dla Jerzego Buzka, medal Karola Wielkiego dla premiera Donalda Tuska, a w perspektywie marzenie o szefowaniu Komisji Europejskiej⁸².

O ile zatem działania rządu PiS i prezydenta Kaczyńskiego (prezydenta Kaczyńskiego w Tbilisi) fakt, iż większość naszych wschodnich sąsiadów ma systemy prezydenckie, powodował, iż deklaracje prezydenta RP odbierane były w tych krajach jako wyraz stanowiska państwa polskiego i minimalizowały szkody poczynione przez rząd. Zdolność prezydenta do tego typu działalności amortyzującej malała jednak w miarę uczenia się naszych partnerów rzeczywistego układu sił w Polsce. Katastrofa smoleńska ostatecznie zakończyła ten etap.

Odtąd głos Polski jest jednolity, a przekaz idący w świat - spójny. Brzmi on: „Nie liczcie się z nami. Jeśli jesteście silni (Niemcy, Francuzi, Rosjanie) – nie liczcie się, bo się was boimy, jeśli jesteście słabi (Litwini) - nie liczcie na naszą solidarność. Musimy na potrzeby wewnętrzne manifestować naszą twardość w polityce zagranicznej i padło na was, bo jesteście słabi. Dajcie splendor naszym przywódcom, a najlepiej dajcie im jakieś stanowiska w instytucjach międzynarodowych (Parlament Europejski dla Buzka, NATO dla Sikorskiego, Radę Europy dla Cimoszewicza, przewodnictwo w Komisji Europejskiej dla Donalda Tuska, szefostwo EBOR dla Jana Krzysztofa Bieleckiego, wysokie stanowisko w dyplomacji unijnej dla Mikołaja Dowgiałewicza), a będziemy wam posłuszni i »popłyniemy w głównym nurcie«, znając swoje miejsce w szeregu”. Ten przekaz nie jest już zakłócany podmiotowym głosem Rzeczypospolitej, artykułowanym przez ś.p. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Polacy w wyborach z 2011 r. zatwierdzili stan rzeczy wytworzony przez rząd PO-PSL i udzielili poparcia prowadzonej przezeń polityce zagranicznej. Inne narody o tym wiedzą i wyciągają z tego stosowne wnioski. I to jest najważniejszy skutek smoleńskiej tragedii.

Katastrofa smoleńska a geopolityka Lecha Kaczyńskiego

Jan Filip Staniłko
Instytut Sobieskiego

Katastrofa pod Smoleńskiem jest wydarzeniem kluczowym dla stosunków polsko-rosyjskich w ostatnich kilkunastu latach. Co więcej, jest wydarzeniem kluczowym dla całej polityki środkowoeuropejskiej. **Jej znaczenie można najlepiej dostrzec być może dopiero właśnie z perspektywy geopolitycznej.** Zarówno z perspektywy Waszyngtonu, Berlina, jak i samej Moskwy śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego była wydarzeniem silnie determinującym naturę relacji z Polską – oczywiście w wypadku każdej ze stoli w odmienny sposób.

Strategia geopolityczna

Z perspektywy Waszyngtonu, polska polityka pod auspicjami prezydenta Kaczyńskiego była polityką silnie ukierunkowaną na rozwój strategicznego sojuszu wojskowego, czego wymiernym symbolem było polskie zaangażowanie w Afganistanie i Iraku. Amerykanie dość dobrze zdawali sobie sprawę z początkowego finansowego i operacyjnego nieprzygotowania Polski do ponoszenia ciężarów, które brała sobie na barki, ale doceniali rzadką w Europie zdolność do myślenia o bezpieczeństwie w tradycyjnym sensie i co za tym idzie - gotowość do aktywnych działań militarnych. Nieprzygotowanie to zresztą systematycznie malało, choć z czasem coraz bardziej zaczęło ono odbijać się na strukturze polskiej armii, która w praktyce podzieliła się na relatywnie nowoczesną i zintegrowaną z siłami NATO część ekspedycyjną, oraz praktycznie muzealną część służącą obronie kraju. Dzięki misji irackiej i afgańskiej Polska była uważana w USA za partnera godnego zaufania. Prezydent Kaczyński rozumiejąc ten mechanizm, był przeciwny dążeniu do szybkiego wycofania polskich wojsk z tych krajów przez rząd Donalda Tuska, uważając je za podyktowane koniunkturalnym pacyfizmem. Śmierć Lecha Kaczyńskiego, została w USA dostrzeżona wyraźnie dopiero w momencie wybuchu wojny w Libii, kiedy to dotychczasowy sprawdzony partner odmówił udziału w operacji NATO, idąc śladem nowego hegemonna - Niemiec.

Z punktu widzenia Berlina, Lech Kaczyński był wyjątkowo trudnym i niewygodnym partnerem. Domagał się on bowiem pełnego głosu dla krajów tzw. Nowej Europy w decydowaniu o kształcie Unii Europejskiej, co budziło irytację starych państw Unii. Utrudniał odbudowę, ponad głowami krajów leżących pomiędzy, bliskiego sojuszu niemiecko-rosyjskiego, który od czasu rozbiorów Polski był tradycyjną formą relacji tych dwóch państw. Po rozpadzie Związku Sowieckiego Niemcy, akceptujące dotąd protektorat USA i cieszące się darmowym parasolem bezpieczeństwa, ponownie uznały Rosję za kraj sobie przyjazny i stopniowo zaczęły dążyć do wyprowadzenia wojsk USA ze swojego terytorium. Tymczasem Lech Kaczyński, dążył do coraz silniejszej obecności USA na terenie Polski i ogólnie dawnego bloku sowieckiego. Ewentualne przesunięcie amerykańskich sił z Niemiec do Polski, w połączeniu z asertywną polityką największego kraju w Europie Środkowej, byłoby mocno niekorzystne dla Berlina, który systematycznie stara się budować dominującą pozycję w regionie, rozbudowując więzi gospodarcze, inwestując w lokalne elity i kreując politycznych liderów. W tej sytuacji Berlin stawał się też naturalnym partnerem dla Rosji.

Jeśli chodzi o politykę Moskwy, działania Lecha Kaczyńskiego uderzały praktycznie we wszystkie istotne punkty rosyjskiej strategii odbudowy wpływów po rozpadzie ZSRR. Po pierwsze, Rosja – w momencie słabości - zgodziła się warunkowo na wejście krajów środkowoeuropejskich do NATO, ale za cenę braku trwałych instalacji sojuszu oraz nieobecności dużych amerykańskich zgrupowań taktycznych w tej części Europy. Budowa amerykańskiej tarczy antyrakietowej, z jednej strony łamałaby to kularowe porozumienie, z drugiej zaś została w rosyjskich kręgach wojskowych uznana za działanie potencjalnie zachwiające równowagę potencjałów militarnych (atomowych), ustanowioną jeszcze w czasach zimnowojennych. Stąd tak niechętnie i agresywne zachowania Moskwy wobec wysiłków rozmieszczenia w naszym kraju instalacji tarczy antyrakietowej, jak groźba wycelowania w Polskę rakiet atomowych oraz rozmieszczenie w obwodzie kaliningradzkim rakiety Iskander.

Po drugie, działania Lecha Kaczyńskiego zmierzały do zakwestionowania przyjętej w latach osiemdziesiątych rosyjskiej strategii budowania imperialnych wpływów za pomocą utrzymywania monopolu na dostawy nośników energii. Strategia ta – zwana doktryną Falina (od nazwiska szefa Wydziału Europy Wschodniej KPZR, Pawła Falina) – zastąpiła tzw. doktrynę Breżniewa, której ostatnim aktem był wprowadzany w Polsce przez gen. Jaruzelskiego stan wojenny. Zastosowaniu doktryny Falina w dziedzinie dostaw gazu poświęcony był np. doktorat Władimira Putina. Budowa gazoportu w Świnoujściu, próby uruchomienia rurociągu Sarmacja (Odessa-Brody), czy budowania skoordynowanej regionalnej polityki energetycznej państw Europy Centralnej i Azji Centralnej, uderzały w podstawy rosyjskiego monopolu energetycznego.

Po trzecie wreszcie, polityka Lecha Kaczyńskiego zmierzała do politycznego zintegrowania krajów Europy Środkowej i Wschodniej. **Działania prezydenta nie przyniosły spodziewanych szybkich skutków, bo też tego typu wysiłki rzadko kończą się szybkim powodzeniem, jednak w oczach rosyjskich strategów i elit politycznych ich logika była całkowicie jasna i niebywale szkodliwa dla rosyjskich zamierzeń.** Prezydent Kaczyński dążył bowiem do zbudowania trwałej koalicji Polski – jako lidera Europy Środkowej – nie tylko z krajami tzw. nowej Europy, ale również z krajami tzw. BUMAGI, czyli Białorusi, Ukrainy, Mołdawii, Azerbejdżanu, Gruzji i Armenii. Ta strategia zbudowana była na tradycyjnym polskim myśleniu geopolitycznym, którego korzenie sięgają czasów jagiellońskich.

Po dojściu do władzy Donalda Tuska te założenia polskiej polityki zagranicznej zostały natychmiast zakwestionowane przez rząd. Minister Radosław Sikorski w swoich publicznych wypowiedziach kilkakrotnie wyśmiewał założenia strategii geopolitycznej Lecha Kaczyńskiego, nazywając ją „prometejską” (choć tak nazywali ją także jej przedwojenni autorzy) i przeciwstawiał jej strategię całkowitego niemal skoncentrowania się na sprawach Unii Europejskiej – wpisania interesu europejskiego w interes polski. **Lech Kaczyński** wyznawał tu w istocie przeciwną filozofię. Podobnie jak większość silnych krajów UE, **uważał, że to interes państwa narodowego – Polski – powinien zostać uznany i uszanowany przez innych graczy i wpisany w interes europejski.**

Elity polskie a elity rosyjskie

Niestety dla prezydenta Kaczyńskiego, ta asertywna koncepcja polskiej geopolityki nie była życzliwie przyjmowana przez krajowe elity intelektualne oraz media, a co za tym idzie również nie rozumiał jej ogół obywateli. Perspektywę tę trudno w Polsce propagować, ponieważ opiera się ona na założeniu twardego targowania się o swoje interesy na forach międzynarodowych oraz na uznaniu za konieczny wysiłek budowania silnych struktur realizujących ambitne zamierzenia. Innymi słowy, jest to filozofia oparta na założeniach tradycyjnego realizmu w stosunkach międzynarodowych.

Tymczasem **jako Polska, nie posiadamy ani utrwalonej narodowej strategii geopolitycznej, ani wykształconych w realistycznym duchu elit politycznych i państwowych.** Z jednej strony jest to problem kulturowo-historyczny. Sprowadza się on w dużej mierze do źródła przyczyn i skutków utraty niepodległości u zarania XIX w. Polacy nie wypracowali swojej doktryny międzynarodowej, tak jak zrobili to np. Rosjanie, Niemcy, Francuzi, czy Szwedzi. Literatura poświęcona definiowaniu pryncypiów polskiej geopolityki w oparciu o paradygmat realistyczny, stworzona na przestrzeni ostatnich pięciu wieków

zmieściłaby się na jednej półce. Co więcej, ta literatura jest generalnie dzisiaj raczej trudno dostępna i po prostu nieznana. Nie uczy się w oparciu o nią ani dyplomatów, ani żołnierzy, ani akademików zajmujących się bezpieczeństwem. Innymi słowy, polskie elity zajmujące się sprawami międzynarodowymi w praktyce często nie rozumieją polskich interesów i posługują się schematami i mapami mentalnymi wytworzonymi w oderwaniu od nich.

Polską dyplomację i kadre oficerską, z którą weszliśmy w nowe realia po 1989 r. ukształtowała konsekwentna i przemyślna polityka sowieckiego hegemonu. **Istniała właściwie nieprzerwana historyczna ciągłość kadrowo-rodzinno-intelektualna między tzw. kujbyszewiakami**, których Stalin przygotowywał w latach 40. do roli namiestników podbitej Polski, **a elitą oficerów WSI, sztabu generalnego i polskiej dyplomacji**. Do połowy lat 60. kadrami i sztabem Ludowego Wojska Polskiego kierowali radzieccy generałowie, którzy przekazali tę władzę gen. Jaruzelskiemu, czyli specjaliście od komunistycznego wychowania wojskowego. Biografia generała pokazuje, że poza nazwiskiem i pochodzeniem klasowym, był to w praktyce po prostu generał rosyjski. Gen. Jaruzelski był przy tym patronem najważniejszych oficerów polskiej armii a nominacje generalskie były z nim konsultowane jeszcze długo po 1989 r.

Elita armii i dyplomacji krajów satelickich kształciła się na moskiewskich uczelniach, ale Rosjanie dbali o to, by wykształcenie strategiczne zawsze pozostawało ich monopolem. Stąd polska generalicja składa się ze specjalistów od taktyki, a polska dyplomacja ze specjalistów od praw człowieka, procesów rozbrojeniowych i akcji humanitarnych. Do tej pory około połowy wysokich rangą dyplomatów jest absolwentami MGIMO – moskiewskiej akademii dyplomatycznej – a duża część polskiej generalicji nadal składa się z absolwentów Akademii im. Klimenta Woroszyłowa. Polska po 1989 r. nie zbudowała od podstaw szkół kształcących - suwerennie myślące i uczące się trudnej sztuki definiowania interesów strategicznych - kadry dyplomacji i wojska, lecz po prostu poprzestała na szkołach odziedziczonych po starym systemie, tj. będącym zapleczem MSZ, wydziale Stosunków Międzynarodowych UW, którego patronem był należący do ZSL prof. Józef Kukułka oraz zsovietyzowanej Akademii Obrony Narodowej.

Z kolei opozycyjne kadry dyplomatyczne, wprowadzone do MSZ po 1989 r., nosiły silne znamię poglądów swojego patrona - prof. Bronisława Geremka, człowieka szerokich horyzontów, ale nieuleczalnego frankofila i wieloletniego członka PZPR, ze znaczącym epizodem pracy dla systemu pod koniec lat 60., gdy szefował Instytutowi Kultury Polskiej w Paryżu. W tej sytuacji szefowie polskiej dyplomacji po 1989 r. nawet jeśli pochodzili z obozu prawicowego nie mogli liczyć na komfortową sytuację, w której podlegający im aparat twórczo rozwijał ich myśl. Wręcz odwrotnie, zazwyczaj zajmował się on torpedowaniem ich nazbyt śmiałych idei. Aparat ten był zresztą tradycyjnie źle

opłacany, zdemoralizowany i zazwyczaj marzył o możliwości przeniesienia się ze struktur krajowych do jakichś lepiej płatnych ciał międzynarodowych – kiedyś ONZ, później UE.

Trudno zatem dziwić się, że myślenie geopolityczne Lecha Kaczyńskiego napotykało na taki opór. Miało ono bowiem charakter w istocie kontrkulturowy. Polskie elity państwowe oraz intelektualne nie zmieniły z dnia na dzień swojej tożsamości, ani też nie podlegały istotnej wymianie i tak jak niegdyś ich naturalnym kanonem myślenia jest spolegliwość wobec naszych historycznych hegemonów oraz nadmierna czułość na zewnętrzną krytykę. W tej sytuacji polskie społeczeństwo hołdujące raczej sentymentalno-naïwnej wizji polityki międzynarodowej, nie ma okazji nauczyć się bardziej dojrzałego myślenia o interesach zagranicznych swojego kraju i polityce je realizującej.

Z tej perspektywy, dość jasno widać, że **elity rosyjskie są praktycznie negatywem elit polskich**. Należy pamiętać, że w przypadku elit polskich problem zawsze polegał na ich ignorancji w sprawach międzynarodowych, natomiast w przypadku elit rosyjskich ich problemem jest kompulsywny imperializm. Narodowa tożsamość Rosji ukształtowała się w ścisłym związku z ideą imperialną, a w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, kraj ten nie przeszedł bolesnego procesu powolnej dekolonizacji.

Rosja swoje kolonie – zwane satelitami - w Europie Centralnej straciła ledwie 20 lat temu. Był to proces gwałtowny, bo wynikający z wewnętrznego kryzysu w samym ZSRR. Utrata kontroli nad tzw. blokiem sowieckim nastąpiła najpierw w wyniku załamania w gospodarce radzieckiej i wymuszonego przejścia na rozliczenia handlowe w tzw. twardych walutach, a następnie w wyniku załamania się politycznej transformacji i będącego jej skutkiem rozpadu ZSRR. Oznacza to, że **elity rosyjskie gdy tylko kraj odzyskał sterowność powróciły do tradycyjnego myślenia w kategoriach stref uprzywilejowanych interesów, czyli tzw. bliższej zagranicy. Oznacza to także, że – tak jak w krajach będących koloniami dawnych potęg zachodnioeuropejskich – w Polsce i innych dawnych krajach satelickich pozostała sprzyjająca Rosji część lokalnych elit.**

W procesie budowy imperium **Rosjanie wypracowali przez ostatnie trzy stulecia niebywale zaawansowaną kulturę myślenia strategicznego.** Poczynając od rozbiórów Polski, poprzez rywalizację z otomańską Turcją, wojny z Napoleonem, Kongres Wiedeński, podbój Kaukazu i Syberii, rosyjskie elity doskonaliły strategię imperialną. Z racji wielkości swojego kraju, horyzont ich myślenia obejmuje całą Eurazję. Rosjanie w ostatnich stu latach toczyli wojny z najsilniejszymi państwami świata – Japonią, Niemcami i USA. Ich myśl wojskowa, obok niemieckiej i amerykańskiej stanowi szczytowy dorobek

intelektualny XX w. w tej dziedzinie. Rywalizacja zimnowojenna – obejmująca wszakże cały glob – pozostawiła Rosji olbrzymi aparat analizy i kadr dyplomatycznych. Pozostawiła też rzecz właściwie unikalną w skali świata, gigantyczny aparat służ specjalnych.

Należy pamiętać, że państwo bolszewickie powstało w wyniku spisku, stąd myślenie bolszewickie zawsze opierało się na strategiach spiskowych. Co więcej, Rosja bolszewicka oparta była o odziedziczony po swojej carskiej poprzedniczce aparat opresji. To w obrębie tego aparatu – jego wojskowej (GRU) i cywilnej części (KGB) – zachowały się i rozwijały kanony myślenia strategicznego oraz zaawansowane techniki podboju, manipulacji, dezinformacji, czy wreszcie skrytobójczej likwidacji wroga.

Należy również pamiętać, że dzisiejsze elity Rosji to po prostu aparat służb specjalnych, który zrzucił z siebie kontrolę zgniłej i zdemoralizowanej partii komunistycznej⁸³. **Rosja jest państwem rządzonym przez zawodowych agentów służ specjalnych.** Jak wykazali jakiś czas temu O. Krysztanovska i S. White **rosyjskie elity polityczne i finansowe w 70% składają się z dawnych lub obecnych pracowników KGB i GRU**⁸⁴. Liczba pracowników FSB od 1999 r. wzrosła od nieco ponad 70 tys. do ponad 350 tys. funkcjonariuszy w 2008 r. Prof. Włodzimierz Marciniak na jednej z konferencji użył takiego oto określenia: „Rosja to grupa przestępcza, która próbuje przekonać świat zewnętrzny, że jest państwem.”

Rosyjskiemu establishmentowi, który składa się z agentów, żołnierzy oraz obsługujących ich finansistów, z pewnością nie przyświeca dzisiaj jakakolwiek prometejska idea na podobieństwo komunizmu. Jego najwyższą wartością jest po prostu pieniądź. Zawołanie dzisiejszej elity rosyjskiej mogło by brzmieć „In money we trust”, bowiem jest to nihilistyczna wspólnota połączona wysoką skłonnością do przemocy oraz zamiłowaniem do bogactwa.

Przemoc, dezinformacja, manipulacja

Znakiem firmowym ekipy Władimira Putina jest szczególny rodzaj soft power oparty o stosowanie przemocy. Rosjanie często dobrze rozumiejąc wewnętrzne problemy swojego państwa – jego zacofanie i skorumpowanie – uważają, że skutecznym narzędziem realizacji swoich interesów będzie rozpowszechnienie opinii o ich bezwzględności w stosowaniu przemocy. Tak jak Amerykanom obsesyjnie zależy na utrzymywaniu poczucia atrakcyjności, tak **Rosjanom z ich charakterystycznymi dla mentalności sowieckiej kompleksami, rodzącymi poczucie stałego zagrożenia ze strony wrogów otaczających Rosję ze wszystkich stron, zależy na tym, aby się ich bano.**

I tak poczynając od upadku Michaiła Chodorkowskiego, którego los stał się czytelnym sygnałem dla reszty postnomenklaturowych oligarchów (często żydowskiego pochodzenia, jak np. Roman Abramowicz, czy Wiktor Wekselberg), aby porzucili ambicje polityczne - władza w Moskwie co jakiś czas wysyła dyscyplinujące sygnały i buduje swój kapitał lęku. Los Zelimchana Jandarbijewa, byłego prezydenta Czeczenii, zamordowanego w katarskiej Dausze przez dwóch agentów FSB był ostrzeżeniem dla innych polityków o separatystycznych ambicjach, aby porzucili nadzieję. Los Anny Politkowskiej, był ostrzeżeniem dla środowisk dziennikarskich, aby nie były nazbyt dociekliwe w śledzeniu interesów finansowych elit. Los płk. Aleksandra Litwinienki – byłego zawodowego porywacza i specjalisty od przesłuchań – ostentacyjnie zabitego wyszukaną trucizną w Londynie, był ostrzeżeniem dla innych zmęczonych swoją trudną pracą lub ogarniętych wyrzutami sumienia agentów, aby skoro już uciekają na Zachód nie informowali wszystkich o kulisach poczynań aktualnych władców Kremla. (Nie jest przypadkiem, że inni podobni uciekinierzy – Suworow, czy Gordijewski – zajmują się pisaniem książek historycznych).

Ciekawe, że większość powyższych spraw prowadził ten sam prokurator, który obecnie zajmuje się prowadzeniem... śledztwa ws. katastrofy smoleńskiej - Jurij Czajka. Zasłynął on m. in. przypisaniem morderstwa Litwinienki siedzącemu pod granicą mongolską Chodorkowskiemu. **W tym kontekście całkowicie zasadnym jest zatem postawienie pytania, czy katastrofa smoleńska również nie wpisuje się w ten ciąg „komunikatów”. Ludzie poważni, rozumiejący rosyjskie metody działania lub po prostu myślący, jak dorośli muszą postawić sobie pytanie: Czy prezydent Kaczyński mógł zginąć, w ramach ostrzeżenia dla wszystkich przywódców krajów postsowieckich, aby nie podejmowali nazbyt ambitnych przedsięwzięć strategicznych, stojących w sprzeczności z rosyjskimi dążeniami imperialnymi?** Uderzenie w pasterza, prowadzi wszak do rozpierzchnięcia się stada.

W zwichrowanym umyśle polskiego inteligenta pojawi się w tym momencie natychmiastowa lękowa reakcja wyrażona w formie zarzutu, że przecież jest to myślenie spiskowe. Odpowiedź właściwa brzmi następująco: **tak, jak najbardziej jest to myślenie spiskowe i jest ono najzupełniej zasadne, ponieważ z jednej strony spiskowo myślą i działają sami Rosjanie⁸⁵, a z drugiej strony, hipotezy spiskowe z zasady są podstawowym sposobem ochrony własnej wolności.** Nie jest wszak przypadkiem typowo republikańska obsesja spiskowa, którą hołubią zarówno lewicowi, jak i prawicowi Amerykanie. Naiwność polegająca na dezawuowaniu hipotez spiskowych, cechująca myślenie współczesnych Europejczyków, świadczy z kolei o ich zdziecinnieniu i utracie instynktu politycznej wolności.

Problem tak naprawdę leży w zupełnie innym miejscu. My po prostu nie wiemy i najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy, czy był to zamach będący wynikiem spisku, czy po prostu zwykły wypadek, spowodowany ludzkim błędem lub techniczną awarią. Tak, jak do tej pory nie wiemy, co zdarzyło się na Gibraltarze 1943 r. i tak, jak długo oficjalnie nie mieliśmy prawa wiedzieć, co zdarzyło się w Katyniu. Innymi słowy, nawet jeśli katastrofa smoleńska jest zwykłym wypadkiem, Rosjanie zrobili wszystko, by mogła ona ostatecznie wyglądać na zamach – wycięli drzewa, pocięli wrak, nie przekazali nagrań z wierzy itp. A zrobili tak, ponieważ jest to zgodne z ich tradycyjną polityką wyciągania dla siebie korzyści z każdej możliwej sytuacji. **Cały rozwój wydarzeń, działania Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego i Komitetu Śledczego Prokuratury Generalnej zdają się potwierdzać tezę, że celem rosyjskich władz nie jest bynajmniej zachowanie wiarygodności, ale ponowne potwierdzenie aktualności starej sowieckiej zasady: „Nie muszą nas szanować, wystarczy, żeby się nas bali.”**

Obok kapitału strachu, innym tradycyjnym narzędziem działania Rosjan jest dezinformacja. Jak ujął to w jednym z wywiadów prof. Włodzimierz Marciniak: „Widać wyraźnie, że sytuacja jest nowa, a instrukcje stare, o czym świadczy ta ilość dezinformacji ze strony rosyjskiej: te opowieści o czterech podejściach do lądowania, o winie pilota. Przypomnę, że o czterech podejściach do lądowania mówił sam naczelny dowódca wojsk lotniczych.” Rosjanie reagują zazwyczaj według tego samego schematu. „Dezinformować i zaprzeczać. Cokolwiek by się zdarzyło, iść w zaparte i rozsiewać mgłę. Taka jest zasada tego systemu, by – jeśli naprawdę coś się stało – nie dojść winnego. Zresztą winni zawsze są obcy: polscy piloci, czeczeńscy terroryści, Gruzini, wszystko jedno, byle nie my.” Rosyjskie kłamstwa są w tym samym stopniu również narzędziem polityki wewnętrznej – tak było przy katastrofie w Czernobylu, jak i przy niedawnej katastrofie elektrowni wodnej sajańsko-szuszeńskiej, tak samo było sześć lat temu przy Biesłanie i przy tragedii okrętu „Kursk”. **Pierwszą reakcją jest zawsze dezinformacja. Dopiero potem ocenia się, jak można to wykorzystać.**

Ostatecznie pamiętać należy, że Rosjanie do najwyższych poziomów doprowadzili sztukę manipulacji. Po zastopowaniu najpierw armii Tuchaczewskiego u bram Warszawy w 1920 r., a następnie po zdezawuowaniu potęgi pancерnej Stalina przez Alberta Wohlstettera i jego doktrynę wzajemnie gwarantowanego zniszczenia atomowego, Rosjanie wiedzieli, że podpój świata nie może się udać wyłącznie za pomocą siły. Dlatego komunizm wznosił się na wyżyny sztuki manipulacji, rozwijając laboratoria broni psychotronicznej, eksperymentując z hipnozą, rozwijając techniki manipulacji oparte o psychologię poznawczą oraz psychologię społeczną. Komunistyczne służby specjalne animowały, rozsiewające moralną zgniliznę i ideologię, postępowe grupy literackie czy filozoficzne oraz utrzymywały całe siatki agentury wpływu, które stosowały zaawansowane techniki manipulacji informacją barwnie opisane w słynnej powieści Władimira Volkoffa „Montaż”.

Jedną z najciekawszych technik manipulacji, opisanych w powieści Volkoffa, nosi nazwę „trójkąt” i polega na doprowadzeniu do sytuacji, w której rząd danego kraju zostaje opuszczony przez społeczne elity, poprzez wzbudzenie w owych elitach poczucia winy. Warunkiem powodzenia tej techniki jest zrozumienie danej społeczności lepiej, niż rozumie ona siebie samą. Trudno uniknąć skojarzeń z polską sytuacją, gdzie od czasów powojennych elity zmagają się z syndromem historycznego poczucia winy (np. winy za powstanie warszawskie) a jednocześnie kompulsywnie zwalczają narodowy kompleks ofiary (np. ofiary zbrodni katyńskiej). Również za czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego i tuż po jego śmierci ukazywały się w prasie krajowej i zagranicznej pisanie przez wpływowych pisarzy i publicystów niezliczone artykuły o narodowej megalomanii, jałowym machaniu szabelką, czy odgrzewaniu mesjanistycznych mitów ofiary.

W tej perspektywie **problemem polityki Lecha Kaczyńskiego wobec Rosji była właśnie podatność na uruchomienie syndromu ofiary, co Rosjanie skutecznie wykorzystywali** odmawiając uznania zasadności zaskarżenia umorzenia śledztwa katyńskiego przez polskich obywateli. Wówczas jednak okazało się, że najskuteczniejszym narzędziem walki z taką manipulacją, jest po prostu wejście na drogę sporu prawnego i wygranie sprawy w Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu. Jednak problem pojawiał się również na bardziej generalnym poziomie, mianowicie w dążeniu do zbudowania relacji z Rosją na prawdzie, a w szczególności na prawdzie o zbrodni katyńskiej. Problem nie tyle leżał w słuszności tego rodzaju dążeń, bo jest ona z naszej perspektywy oczywista, co raczej w niemożności przekonania do tego Rosjan. Istnieje bowiem poważne przypuszczenie, że Rosjanie tak pojętej prawdy po prostu nie rozumieją.

Polska prawda a rosyjski relatywizm

Polski sposób myślenia – którego przedstawicielem był także Lech Kaczyński - jest silnie zakorzeniony w filozofii tomistycznej. Jego fundamentem jest przekonanie, że rzeczywistość może być co prawda widziana z różnych perspektyw, ale zawsze jest to ta sama rzeczywistość. Innymi słowy, odsłonięcie, opisanie istotnych faktów historycznych jest warunkiem zbudowania płaszczyzny prawdy historycznej, na której powinny zostać oparte możliwie partnerskie relacje sąsiedzkie. Również wywiedzione z prawa naturalnego zasady sprawiedliwości są takie same dla wszystkich – małych i dużych, słabych i silnych.

Tymczasem **w mentalności sowieckiej głęboko zakorzeniony jest relatywizm norm i zasad, które gdzie indziej noszą uniwersalny charakter**. Pozwala to Rosjanom wprowadzać w relacje z innymi stałe poczucie niepewności. Lew Gudkow - ba-

dacz kolejnych pokoleń ludzi sowieckich – pisze, że w warunkach chronicznej samowoli przełożonych człowiek nigdy nie może polegać na prawidłowym działaniu instytucji formalnych, a to z kolei powoduje zanizoną samoocenę i brak ufności we własne siły. **Chroniczne kompleksy świadomości hierarchicznej kompensowane są przez uczucie przynależności każdej jednostki do czegoś ponadindywidualnego, wielkiego i wyjątkowego - narodu, „dzierżawy” lub imperium.** W tym sensie w Rosji społeczeństwo istnieje dla budowy potęgi państwa, a sam Rosjanin niejako stwarzany jest w swojej godności przez bycie elementem potęgi państwowej. Rosjanin wyjęty ze swego państwa zazwyczaj z czasem zatracza swoją tożsamość (np. przywódczyni ukraińskiej opozycji, Julia Tymoszenko, jest Rosjanką).

Pułkownik Edmund Klich zapamiętał zdanie przewodniczącej MAK generał Tatyiany Anodiny: „Rosja jest wielka, a Polska to mały kraj”, wypowiedziane w kontekście badania przyczyn katastrofy smoleńskiej. „Dziwiłem się - mówił pułkownik Klich - bo w tej sprawie powinna być równowaga, a nie rozważanie „po wielkości””. Zdziwienie pułkownika nie było uzasadnione, albowiem **dochodzenie do prawdy „po wielkości” to właśnie cecha charakterystyczna mentalności sowieckiej**, która wcale nie zniknęła wraz z rozpadem Związku Sowieckiego. Kolejne konferencje MAK tylko potwierdzają jej niezwykłą żywotność.

Wiceprzewodniczący MAK, **Aleksiej Morozow stwierdził na konferencji po ogłoszeniu raportu Millera, że już sama obecność generała Andrzeja Błasika w kabinie pilotów była formą nacisku, niezależnie od jego zachowania i wypowiedzianych słów. Natomiast obecność pułkownika Nikołaja Krasnokutskiego na stanowisku kontroli lotów „była obowiązkowa”, niezależnie od tego, że nie miał ona prawa tam być i że wielokrotnie ingerował on w proces podejmowania decyzji przez kierownika lotów podpułkownika Pawła Plusnina, sprowadzając zagrożenie na lądujące w Smoleńsku samoloty - najpierw Il-76, a potem Tu-154.** Aleksiej Morozow kilka razy powtórzył również opinię, że zgodnie ze statusem „nieregularnego lotu międzynarodowego” kontrolerzy nie mieli obowiązku podawania precyzyjnych danych. Postępowanie kontrolerów było pochodną statusu lotu. „Sam podjął decyzję - powiedział feralnego ranka 10 kwietnia pułkownik Krasnokutski - niech sam dalej...”.

Wywody Morozowa odsyłają nas do rzeczywistości, w której nie istnieją uniwersalne kryteria oceny ludzkiego postępowania. Noszą one bowiem cechy sytuacyjne i hierarchiczne. Przyznanie komuś racji, pozytywna ocena jego działania, nie zależą od obiektywnych kryteriów, a od miejsca, jakie dana osoba zajmuje w hierarchii społecznej. Dobra materialne, prestiż, godność, normy etyczne, zdolności, aspiracje, potrzeby, wsparcie i pomoc rozdzielane są w społeczeństwie zgodnie z

pozycją zajmowaną w strukturach władzy. Postępowanie pułkownika Krasnokutskiego uznane zostało za prawidłowe, a nawet obowiązkowe, ponieważ wynika to z jego miejsca w hierarchii wojskowej, a nie z obiektywnej analizy sytuacji. Opisywaną w tym miejscu rzeczywistość mentalną potwierdza późniejszy względem katastrofy awans tego pułkownika na wyższe stanowisko służbowe.

Partnerstwo czy sparingpartnerstwo?

Dotychczasowe relacje z Rosją po 1989 r. konsekwentnie budowane były w oparciu o realistyczną doktrynę, której zręby stworzyli autorzy paryskiej „Kultury”, a która swoimi korzeniami sięga jeszcze XVI w. Koncepcja ta, zakładająca, że w polskim interesie leży istnienie między Polską i Rosją pasa niezależnych i przyjaznych nam państw, okazała się jednak w 2007 r. fałszywa. Przynajmniej w ocenie nowego polskiego rządu i większości medialnych komentatorów. W konsekwencji **zarówno prezydent Kwaśniewski na kijowskim Majdanie, jak i prezydent Kaczyński na placu w Tbilisii okazali się być rusofobicznymi awanturnikami, o władniętymi prometeistycznym szaleem**. Natomiast prezydent Komorowski po katastrofie smoleńskiej obdarowujący orderami Rosjan i ich polskich „przyjaciół” okazać się musiał mądrym realistą.

Prezydent Komorowski wpisał się w liczne wówczas głosy, mówiące o głębokiej potrzebie zmiany w relacjach pomiędzy Polską a Rosją. Trudno jednak pozbyć się wrażenia, że te przymilne gesty przyjaźni miały mocno służalczy charakter. Od kilku bowiem dobrych lat, polski rząd kierowany przez Donalda Tuska usilnie lecz bezskutecznie stara się dowieść kwadratury koła, tzn. zabiegał o zbudowanie partnerskich relacji na rosyjskich warunkach. Tymczasem takie **partnerstwo w stosunkach polsko-rosyjskich polega na tym, że to strona rosyjska wciąga nas w niekończące się spory, w toku których musimy udowadniać swoje racje, prosić o poświadczenie prawdy, domagać się ujawnienia lub przekazania dokumentów, jednym słowem stawiać się w roli petenta. Rosja natomiast rezerwuje dla siebie rolę suwerena, który albo nasze oczekiwania uwzględni, albo je odrzuci**. Jak mówi prof. Włodzisław Marciniak, **tak uprawiane partnerstwo stanowi w istocie sparing i dlatego lepiej będzie mówić o sparingpartnerstwie**.

Zasadnicza użyteczność sparingu dla Rosji polega na tym, że obniża on status Polski poniżej naszych osiągnięć, możliwości i ambicji, podwyższając zarazem status słabego rosyjskiego państwa postkomunistycznego do rangi państwa silniejszego, które dzięki budowanemu w partnerstwie z Polską wizerunkowi mocarstwa może poszukiwać na arenie międzynarodowej silniejszego od siebie sojusznika. Problem polega również na tym, że wielu polskich polityków lubi sparing. Widocznie pozycja podporządkowana

mentalnie im odpowiada. Sparing ma bowiem tę zaletę, że oprócz boksowania zakłada także dopuszczanie bliżej, zapraszanie do wspólnego świętowania, czułe objęcia i wzajemne ocieplanie wizerunku, co zawsze można przedstawiać jako sukces.

Sukcesy rzekomo wolnej od historycznych kompleksów Polski na drodze do partnerstwa z Rosją są jednak trudno dostrzegalne. Dużo łatwiej można pokazać rosyjskie sukcesy w egzekwowaniu od rządu Donalda Tuska oczekiwanej spolegliwości. Są to m. in.: wycofanie sporu o mięso produkowane w Polsce ze szczebla unijnego na poziom bilateralny i uwarunkowanie jego wwozu do Rosji absurdalną biurokracją, pozostawienie samotnej Litwy w jej próbach warunkowego zatrzymania negocjacji umowy partnerskiej UE-Rosja, rezygnacja z przekopania Mierzei Wiślanej w zamian za ponowne otwarcie cieśniny pilawskiej przez Rosję, ale za każdorazową jej zgodą, bezprawne odcięcie od informacji kancelarii prezydenta Kaczyńskiego przez MSZ i jednostronne uzgadnianie wspólnych obchodów katyńskich z Rosjanami, oddanie Gazpromowi faktycznej kontroli nad gazociągiem Jamał i rezygnacja z zaległych opłat przesyłowych, brak reakcji na sprzedaż Rosji przez Francję wielozadaniowych okrętów desantowych typu Mistral, czy wreszcie faktyczne przyjęcie polityki historycznej Putina (milczenie ws. zbrodni na Polakach w latach 30., faktyczne uznanie Katynia za część wielkiej czystki, uznana przez min. Sikorskiego symetria między Katyniem, a śmiercią rosyjskich jeńców w 1920 r., absurdalny pomnik ku czci czerwonarmistów w Ossowie).

Jest to tylko część z długiej listy faktycznych szkód wyrządzonych przez ekipę Tuska, która niemal całą polską politykę zewnętrzną podporządkowała wewnętrznym rozgrywkom i własnej popularności. Świadomie nie wymieniam wydarzeń dwuznacznych takich, jak wizyta premiera Putina na Westerplatte, czy bezprecedensowe zaproszenie ministra Ławrowa na radę polskich ambasadorów. Nie mówię też o oczywistych zaniechaniach, które można by dziś – w czasach „znakomitej atmosfery” - nadrobić. Wszak w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym w Moskwie wciąż spoczywa archiwum Legionów Polskich, całe niemal archiwum wywiadu II RP, archiwum rządu, Sejmu czy nawet Kancelarii Prymasów Polski.

Ale za kompulsywnym parciem do poprawy relacji polsko-rosyjskich kryją się jeszcze dwa inne powody. Po pierwsze, zmiana ta wychodziła też naprzeciw cichemu oczekiwaniu państw zachodnich, dążących do gospodarczego zbliżenia z Rosją. Swoisty „przymus przyjaźni” jest zatem także wynikiem lokalskiej relacji Tuska w stosunku do Angeli Merkel. Podobnie też zainicjowane przez Davida Camerona partnerstwo Wielkiej Brytanii oraz państw skandynawskich i bałtyckich zawiązało się bez udziału Polski. Jednym z motywów powstania tego sojuszu był niepokój wywołany planowanymi zbrojeniami w Rosji (\$800 mld). Tymczasem **rząd pol-**

ski, ustami goszczącego we Francji prezydenta Komorowskiego, sprzedaż francuskiej (ale także niemieckiej i włoskiej) broni do Rosji pochwała i niczym się nie niepokoi.

Relacje handlowe między Polską a Rosją mają nie większą rangę, niż nasze relacje handlowe z Czechami. A gdyby jeszcze odjąć z wyraźnie ujemnego dla nas bilansu ropę i gaz, rynek rosyjski mógłby dla nas praktycznie nie istnieć. W sensie gospodarczym wojna o warty bodaj 30 mln dolarów rynek mięsa nie miała sensu. Ale przecież nie o handel w niej chodziło, a o zmuszenie państw starej Unii do objęcia ochroną interesów nowych państw członkowskich. **Administracja premiera Kaczyńskiego uporem i konsekwencją doprowadziła do sytuacji, w której po szczycie Merkel-Putin w Samarze to Rosja zaczęła być traktowana jako kraj eurofobiczny**, choć cena jaką trzeba było za to zapłacić było ugruntowanie opinii kraju rusofobicznego. Obecnie zaś pod oświeconym kierownictwem ministra Sikorskiego Polska zyskuje na popularności, bo nie robi kłopotów, tylko skwapliwie – jak to swego czasu ujął prezydent Chirac - „korzysta z okazji by siedzieć cicho”. Ale mimo to upokorzenia bynajmniej się skończyły. Wręcz przeciwnie. Trzy lata temu Rosjanie wprowadzili wizy tranzytowe dla Polaków, przyjaznemu rządowi grozili wycelowaniem w Warszawę głowic balistycznych, rozmieścili w obwodzie Kaliningradzkim rakiety Iskander, mimo, że USA z projektu stacjonarnej tarczy antyrakietowej się wycofały. W ostatnich miesiącach problemy analogiczne do mięsnych, dotknęły polskich eksporterów owoców a także firmy transportowe, po tym jak Rosja zmniejszyła limit pozwoleń przewozowych. Wszystko to jednak niknie w obliczu tego gigantycznego upokorzenia, jakim jest sprawa katastrofy smoleńskiej i dotyczącego niej śledztwa. W kluczowym momencie tuż po katastrofie, gdy Donald Tusk opracowywał strategię wizerunkową, premier Putin opracowywał strategię prawne.

Stąd nie jest dziś zaskoczeniem, że to Rosjanie ustalili i narzucili nam reguły prowadzenia dochodzenia. Lot wojskowy w oparciu o konwencję międzynarodową dotyczącą lotów cywilnych badała działająca w konflikcie interesów organizacja powołana przez Wspólnotę Niepodległych Państw (tj. MAK). Jako że nie jest ona podmiotem prawa międzynarodowego przedstawiła ona swoje ustalenia rządowej komisji rosyjskiej, która się z nimi zapoznała, ale oficjalnie ich nie przyjęła. Niemożna zatem w tej sprawie nikogo pozwać. Przy okazji również tradycyjnie już okazało się, że Rosjanie zniszczyli ważne dowody (wycięli drzewa, pocięli wrak) a pozostałe kontrolują (czarne skrzynki, czy 5000 elementów z miejsca katastrofy zebranych rękami polskich archeologów) i jakoś nie spieszą się z ich oddaniem.

Irytujące oczekiwanie na przyjazne gesty ze strony Moskwy skończyło się tradycyjnym rosyjskim gestem „nierównej przyjaźni” – upokarzającym siarczystym policzkiem. Rząd najpierw chował przed Polakami niekorzystne dla Rosjan informacje, potem obu-

rzał się na nierzetelność rosyjskiego raportu, nad przygotowaniem którego nie miał żadnej kontroli, by wreszcie uznać, że wersja, w której winny katastrofie jest pijany polski generał, nie jest aż taka bardzo zła. Okazało się, że rząd Tuska - na krajowym podwórku nieźrównany mistrz piaru i gierki mediami - ma tym razem przed sobą nie byle kogo, bo prawdziwego maga manipulacji percepcją. Rosją rządzi i samodzirzy wszak ekipa wywodząca się z KGB - służb specjalnych, które tworzenie złudzeń doskonałą od dziesiątek lat. Rosyjski PR ma przy tym swój specyficzny trumienny styl.

Niezależnie zatem od tego, co wydarzyło się 10. IV 2010 w Smoleńsku, skutki tej katastrofy są niebywale korzystne dla Rosji. Po pierwsze, to Rosjanie ustalają warunki prawdziwości raportu z katastrofy i to oni puścili w świat pierwszą, kluczową interpretację tego wydarzenia. Po drugie, to Rosjanie trzymają dziś w ręku przełącznik do temperatury politycznej w Polsce. Udało im się doprowadzić do tego, do czego dążą w Polsce od 300 lat, tj. do podzielenia sceny politycznej i rozniecenia wojny wewnętrznej. Po trzecie, udało im się poniżyć Polskę zarówno w oczach krajów Zachodu, jak i krajów BUMAGI (Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Armenia, Gruzja, Azerbejdżan), których politycznym patronem starał się być prezydent Kaczyński. Po czwarte wreszcie, Rosjanom udało się te kraje zastraszyć – wszyscy rozsądni ludzie będą wszak zadawać sobie pytanie, czy był to zamach, czy jednak nie. I nawet jeśli była to zwykła awaria, to niszczenie dowodów przez Rosjan właśnie pozostawieniu takiej niejasności miało służyć.

Zza chmury pompatycznej retoryki „równorzędnego partnerstwa” wyłania się zatem obraz upokorzonej Polski stojącej sam na sam wobec Rosji. Łącząc się do Rosji i Niemiec zraziliśmy lub rozczarowaliśmy do siebie większość państw naszego regionu. A przecież nasi regionalni sąsiedzi są naszymi najlepszymi sojusznikami, ponieważ sojusze z nimi nigdy nie będą dla nas egzotycznymi, przetrwanie jednego, zależne jest od przetrwania drugiego. Każde realne ustępstwo z polskiej strony, spotyka się co najwyżej z symbolicznym gestem strony rosyjskiej, bez podjęcia żadnych kroków wiążących ją prawnie. Zwrot w relacjach z Rosją przyniósł nam aplauz niekompetentnych publicystów i pochwały zachodnich dyplomatów, przestępujących z nogi na nogę, w kolejce do rosyjskiego kufra z pieniędzmi. Wszak Europa potrzebuje rynków zbytu, bo jej udział w handlu międzynarodowym systematycznie spada, a konkurencyjność maleje. Jednak konsekwencją tego zwrotu jest powolna utrata szacunku ze strony Amerykanów, niska widoczność polskiego interesu w Europie i brak jakichkolwiek realnych korzyści w relacjach z Moskwą. Chyba, że mówimy o sukcesach, które zdefiniowali i przedstawili nam do akceptacji sami Rosjanie. Wówczas wszystko staje się sukcesem.

Przypisy:

- ¹ Tytuł nawiązuje do opracowania Antoniego Z. Kamińskiego, *Stracony moment konstytucyjny w pokomunistycznej Polsce: skutki dla jakości rządzenia dwadzieścia lat później*, w: W. Morawski, *Modernizacja Polski, struktury, agencje, instytucje*, Warszawa 2009, Wydawnictwa Akademickie i profesjonalne
- ² tłumaczenie Andrzej Jaraczewski, w: *Wizje Stanów Zjednoczonych w pismach Ojców Założycieli*, pod redakcją Wiktora Osiatyńskiego, PIW, Warszawa 1977
- ³ Antoni Z. Kamiński, op.cit.
- ⁴ Janina Zakrzewska, *Spór o konstytucję*, Warszawa 1993, Wydawnictwo sejmowe
- ⁵ Raport NIK, *Organizacja wyjazdów i zapewnienie bezpieczeństwa osobom zajmującym kierownicze stanowiska w państwie, korzystającym z lotnictwa transportowego sił zbrojnych RP w latach 2005-2010*; 3.2.2.3 str.26
- ⁶ Raport NIK s.8
- ⁷ ibid.
- ⁸ ibid.s.20
- ⁹ Porozumienie z dnia 15 grudnia 2004..., § 7 ust.1 i ust.6
- ¹⁰ Porozumienie z dnia 15 grudnia 2004..., §6 i §10
- ¹¹ raport NIK 3.2.2.5, s.29
- ¹² ibid.3.2.2.2, s.26
- ¹³ ibid.3.2.2.1, s.24
- ¹⁴ ibid.3.2.1 str.22, przypis 40
- ¹⁵ Szef KPRM o wynikach kontroli NIK, komunikat centrum prasowego rządu z 9.03.2012, http://www.premier.gov.pl/centrum_prasowe/wydarzenia/szef_kprm_o_wynikach_kontroli_9341/, podobne stanowisko Szef KPRM zajął w zastrzeżeniach złożonych do wystąpienia pokontrolnego NIK
- ¹⁶ Raport NIK, 3.2.2.4, str.28 w tym przyp.59, oraz 3.2.3.3, str.32
- ¹⁷ ibid. 3.2.2.3, str.27
- ¹⁸ Ostatecznie Prezydent dotarł do Brukseli wycarterowanym specjalnie samolotem, jednak cała sprawa wywołała zamęt wśród obsługujących polską delegację służb i zaszkodziła zewnętrznemu wizerunkowi Polski.
- ¹⁹ Raport NIK, 3.2.2.3, str.27
- ²⁰ Część wystąpień pokontrolnych NIK odnośnie BOR ma charakter niejawny
- ²¹ Raport NIK, 3.2.6.1, str.50-51
- ²² ibid.
- ²³ ibid.2.2.5 str.13, oraz 3.2.5 str.46-50
- ²⁴ Wywiad z ppłk. Krzysztofem Decem: *Zatrzymani przed taśmami*, *Nasz Dziennik* 24-25 marca 2012.
- ²⁵ ibid.3.2.5.3, przypis 126 : szczegóły w protokołach niejawnych
- ²⁶ ibid. 3.2.5.4
- ²⁷ Dla Kwaśniewskiego zrobili remont w Smoleńsku, *Fakt*, 27.10.2011
- ²⁸ Niccolo Machiavelli, *Rozważania nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza*; rozdz.II o różnych ustrojach republik i ustroju republiki rzymskiej, tłumaczenie: Krzysztof Żaboklicki, *Unia Wydawnicza „Verum”*, Warszawa 2008, str.142
- ²⁹ Kwestię przywództwa transakcyjnego i transformacyjnego w Polsce w latach 1989-2001 rozważa Rafał Matyja w art. *Przywództwo i instytucje*, w: *Badanie instytucji Państwa 1989-2001*, pod redakcją Ireny Jackiewicz, Wydawnictwo Sejmowe, W-wa 2004, Matyja odwołuje się do: J. MacGregor Burns, *Władza przywódca*, w: J.Szczupaczyński (red.), *Władza i społeczeństwo*. Warszawa 1995
- ³⁰ Takie zrzuty zawiera Biała Księga smoleńskiej tragedii, przygotowana przez Zespół Parlamentarny ds. zbadania przyczyn katastrofy TU-154 M z 10 kwietnia 2010 roku, Warszawa 2011
- ³¹ James Madison, *Federalista nr 10*, tłumaczenie Andrzej Jaraczewski, w: *Wizje Stanów Zjednoczonych w pismach Ojców Założycieli*, pod redakcją Wiktora Osiatyńskiego, PIW, Warszawa 1977

- ³² Po ponownie wygranych przez PO wyborach w 2011 roku na swoim stanowisku pozostał Szef KPRM, któremu nie udało się dostać do Parlamentu i awansowany po katastrofie w stopniu generalskim dowódca BOR, szef MSWiA otrzymał stanowisko wojewody, a minister Obrony Narodowej dostał się do Senatu.
- ³³ W pracach MAK brał udział, jako akredytowany przedstawiciel Polski pułkownik Edmund Klich.
- ³⁴ stenogram z posiedzenia komisji sejmowej, Biuletyn nr: 4821/VI Komisja: Obrony Narodowej/nr 131/Data: 16-03-2011
- ³⁵ ibid.
- ³⁶ Ich wyniki publikowały i publikują media, znaleźć je można na stronach internetowych Centrum Badań Opinii Społecznej (www.cbos.pl/PL/publikacje/raporty_2012.php) i Ośrodka Badań Opinii Publicznej (www.obop.pl/archive). Pierwsze, pogłębione analizy zagadnienia zawiera książka pod redakcją Piotra Glinińskiego i Jacka Wasilewskiego, *Katastrofa smoleńska. Reakcje społeczne, polityczne i medialne*, IFIS, PTS, Warszawa 2011. Jej rozdziały powstały na bazie referatów przedstawionych jesienią 2010 na krakowskim Zjeździe Socjologicznym. Książka ta zawiera m.in. szeroki przegląd badań przeprowadzonych w tym roku 2010 (patrz rozdział: Tomasz Żukowski, Polacy wobec tragedii smoleńskiej. Przegląd wybranych badań demoskopijnych).
- ³⁷ Artykuł jest rozszerzoną wersją rozdziału „Kozioł ofiarny. Lech Kaczyński w perspektywie socjoteologicznej”, w: Piotr Gliniński, Jacek Wasilewski (red.), *Katastrofa Smoleńska. Reakcje społeczne, polityczne, medialne*, Wydawnictwo IFiS PAN 2011.
- ³⁸ Nieliczne rozważania na ten temat patrz: P. Żurawski vel Grajewski, Podmiotowość już nie przeszkadza, „Rzeczy Wspólne. Pismo Republikańskie”, nr 4 (2/2011), s.86-93. Por.: J. Staniszkis, Druzgocąca analiza: Polska traci autorytet i zaufanie, 09.02.2012, <http://wiadomosci.wp.pl/kat,36474,title,Druzgocaca-analiza-Polska-traci-autorytet-i-zaufanie,wid,14237843,wiadomosc.html> oraz Tusk: mistrz sztuki kiwania. Z Janem Rokitą rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy, „Uważam Rze”, 12-18 marca 2012, s.18.
- ³⁹ G. Wierzchołowski, Rozdział IV.Od Arabskiego do Turowskiego, „Nowe Państwo”, nr 3(61) 2011, <http://www.panstwo.net/332-rozdzial-iv-od-arabskiego-do-turowskiego>.
- ⁴⁰ Szczegóły patrz: Informacja o wynikach kontroli. Organizacja wyjazdów i zapewnienie bezpieczeństwa osobom zajmującym kierownicze stanowiska w państwie, korzystającym z lotnictwatransportowego Sił Zbrojnych RP w latach 2005-2010, KPB-4114-01/2011, Nr ewid. 29/2012/I/10/001/KPB, Najwyższa Izba Kontroli, 05.03.2012, <http://www.nik.gov.pl/plik/id,3586,vp,4570.pdf>.
- ⁴¹ Załącznik 13 do Konwencji o międzynarodowym lotnictwie cywilnym. Badanie wypadków i incydentów statków powietrznych. Międzynarodowe normy oraz zalecone metody i zasady postępowania, Wydanie dziewiąte, czerwiec 2001 roku, Organizacja Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego, http://www.ulc.gov.pl/download/prawo/prawo_miedzynarodowe/zal13_10.pdf.
- ⁴² Szerzej patrz: G. Wierzchołowski, L. Misiak, Smoleński proceder premiera, „Nowe Państwo”, nr 8(66) 2011, s.18-20.
- ⁴³ Katastrofa samolotu prezydenta. Nikt nie przeżył, „Gazeta.pl Wiadomości”, 10.04.2010, http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114881,7752546,Katastrofa_samolotu_prezydenta_Nikt_nie_przezytl.html
- ⁴⁴ Treść raportu MAK patrz: Raport końcowy z badania zdarzenia lotniczego Tu-154M numer boczny 101 Rzeczypospolitej Polskiej, Międzypaństwowy Komitet Lotniczy, Komisja Badań Wypadków Lotniczych, http://www.naszdziennik.pl/zasoby/raport-mak/raport_polski.pdf.
- ⁴⁵ A. Bartkiewicz, „Raport MAK jak cios w twarz”, „Wprost24”, 12.01.2011, <http://www.wprost.pl/ar/226729/Raport-MAK-jak-cios-w-twarz/>. Patrz też dwugłos: Д. Бабич, Россия – Польша: не дайте себя приземлить, „РИАНовости”, 12.01.2011, <http://ria.ru/analytics/20110112/320766884.html> (tłumaczenie polskie:D. Babcicz, Rosjanie i Polacy nie powinni nawzajem się poniżać, „Nowa Europa Wschodnia”, 13.01.2011, http://www.new.org.pl/2011-01-13,rosja_polska_nie_mozemy_dac_sie_ponizyc.html) oraz P. Żurawski vel Grajewski, Rozmawiamy jak dzentelmeni, a to wyklucza kpiny, „Nowa Europa Wschodnia”, 15.01.2011, http://www.new.org.pl/2011-01-15,rozmawiamy_jak_dzentelmeni_a_to_wyklucza_kpiny.html.
- ⁴⁶ Tusk: projekt raportu MAK nie do przyjęcia, 17.12.2010 /PAP, tvn24.pl, <http://www.tvn24.pl/0,1686477,0,1,tusk-projekt-raportu-mak-nie-do-przyjecia,wiadomosc.html>.

- ⁴⁷ Raport MAK. Premier przerywa urlop w Dolomitach i wraca do kraju, „Gazeta.pl Wiadomości”, 12.01.2011, [http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114873,8936369, Raport_MAK_Premier_przerywa_urlop_w_Dolomitach_i.html](http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114873,8936369,Raport_MAK_Premier_przerywa_urlop_w_Dolomitach_i.html) Trudno na poważnie traktować tłumaczenie, iż premier musiał osobiście wrócić po rodzinę, by przywieźć ją do kraju. Ł. Konarski, Premier wrócił na urlop w Dolomity - potwierdza rzecznik rządu, „Gazeta.pl Wiadomości”, 15.01.2011, http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114873,8952558,Premier_wrocil_na_urlop_w_Dolomity_potwierdza_rzecznik.html
- ⁴⁸ Poseł PiS Arkadiusz Mularczyk zadał premierowi w trybie zapytań poselskich pytanie o to, kto podpisał porozumienie o procedowaniu w ramach śledztwa smoleńskiego w oparciu o załącznik 13 do Konwencji chicagowskiej. Wbrew prawu nie otrzymał na nie odpowiedzi, co pozwala wnioskować, iż pisemnego dokumentu w tej sprawie nie sporządzono. Podobne pytanie zgłosiła matka Przemysława Gosiewskiego i wobec niejasnych odpowiedzi Kancelarii Premiera skierowała w tej kwestii sprawę do sądu i ją wygrała. Premier nie odpowiada na pytania o katastrofę, <http://www.deon.pl/wiadomosci/polska/art,7822,premier-nie-odpowiada-na-pytania-o-katastrofe.html>. Por.: Jadwiga Gosiewska wygrała z Tuskiem w sądzie, „Niezależna.pl”, 23.02.2012, <http://niezalezna.pl/24027-jadwiga-gosiewska-wygrala-z-tuskiem-w-sadzie>.
- ⁴⁹ Wśród najważniejszych należy wymienić: zabicie byłego prezydenta Czecheńskiej Republiki Iczkerii Zelimchana Jandarbijewa i jego 14-letniego syna w zamachu terrorystycznym dokonany przez agentów FSB na terytorium Kataru, zabójstwo Anny Politkowskiej w październiku 2006 r., zabójstwo Aleksandra Litwinienki oraz zabójstwo Stanisława Markielowa i Anastasii Baburowej. JR., Kolejne polityczne morderstwo w Rosji, „Tydzień na Wschodzie”, 20.01.2009, <http://www.osw.waw.pl/pl/publikacje/tydzien-na-wschodzie/2009-01-21/kolejne-polityczne-morderstwo-w-rosji>. Patrz też: Jandarbijew zginął z rąk agentów Moskwy?, „Wprost24”, 26.02.2004, <http://www.wprost.pl/ar/56893/Jandarbijew-zginal-z-rak-agentow-Moskwy/>. Por.: Jak katarski policjant namierzył rosyjskich zabójców Jandarbijewa, „Gazeta Wyborcza” 1.04.2004.
- ⁵⁰ Olga Krizstanowska – dyrektor Ośrodka Badań Elit Rosyjskiej Akademii Nauk, badając zyciorysy 1016 czołowych polityków rosyjskich stwierdziła, że 78% z nich było związane ze służbami specjalnymi, lub wojskiem. T.A. Kisielewski, Schyłek Rosji, Poznań 2007, s.93.
- ⁵¹ B. Wróblewski, Śledztwo za mgłą, „Gazeta Wyborcza”, 24.04.2010.
- ⁵² Por. wnioski: J. Staniszkis, op.cit.
- ⁵³ P. Zychowicz, Cyberinwazja na Estonię z rosyjskich komputerów, „Rzeczpospolita”, nr 115(7712), 18.05.2007, s.A1 i A6. Por.: A.R., Rosjanie przyznali się do cyberataku, „Gazeta Polska”, nr 11(816), 18.03.2009, s.15. Szerzej patrz: M. Terlikowski, Ataki elektroniczne na Estonię. Implikacje dla bezpieczeństwa międzynarodowego i Polski, „Polski Przegląd Dyplomatyczny, t.7, nr 4(38) 2007, s.53-74.
- ⁵⁴ Prezydent: Nie śpieszmy się z uznaniem Kosowa, „Dziennik.pl”, 20.02.2008, <http://wiadomosci.dziennik.pl/polityka/artykuly/71133,prezydent-nie-spieszmy-sie-z-uznaniem-kosowa.html>.
- ⁵⁵ P. Kościński, Lech Kaczyński w Tbilisi: Cała Europa musi być tutaj, „Rzeczpospolita”, 13.08.2008, <http://www.rp.pl/artykul/176071.html>.
- ⁵⁶ Ambasador Czech: Lech Kaczyński wykonał niezwykły gest, „Dziennik Gazeta Prawna”, 3.09.2009, <http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Ambasador-Czech-Lech-Kaczynski-wykonal-niezwykly-gest,wid,11454266,wiadomosc.html>.
- ⁵⁷ Tymoszenko od Tuska poleciała do Kadafiego, „Dziennik.pl”, 1.09.2009, <http://wiadomosci.dziennik.pl/polityka/artykuly/94308,tymoszenko-od-tuska-poleciala-do-kadafiego.html>.
- ⁵⁸ O naturze sporu patrz: P. Żurawski vel Grajewski, Nicejska równowaga, „Polska w Europie”, nr 1(45) 2004, s.23-41.
- ⁵⁹ Istotą pierwotnego stanowiska polskiego była propozycja, by o sile głosu danego państwa nie decydowała wprost liczba jego ludności, lecz pierwiastek z niej. „Spłaszczałoby” to różnice potencjału demograficznego pomiędzy poszczególnymi krajami, jednocześnie dając odzwierciedlenie potęgi wielkich mocarstw, ale nie marginalizując mniejszych krajów. Szerzej o zasadach propozycji polskiej patrz: W. Ślomożyński, K. Życzkowski, Kompromis Jagielloński – system głosowania dla Rady UE, „Międzynarodowy Przegląd Polityczny”, nr 2(18)/2007, s.15-32. Patrz też: T. Sozański, Nowa analiza systemów głosowania w Radzie UE, „Międzynarodowy Przegląd Polityczny”, nr 2(18)/2007, s.34-52. Por.: J. Kranz, Podejmowanie decyzji większo-

- ścią kwalifikowaną w Radzie, [w:] „Traktat z Lizbony. Główne reformy ustrojowe Unii Europejskiej”, pod red. J. Barcza, Warszawa 2008, s.159.
- ⁶⁰ Mandat konferencji międzyrządowej, Rada Europejska, Bruksela, 26 czerwca 2007 r. (26.06), (OR. en) 11218/07, POLGEN 74, s.5.
- ⁶¹ Bucharest Summit Declaration Issued by the Heads of State and Government participating in the meeting of the North Atlantic Council in Bucharest on 3 April 2008, Press Release (2008) 049 Issued on 03 Apr. 2008, North Atlantic Treaty Organization, Home Page, Official Texts,.
- ⁶² Szerzej patrz: M. Kaczmarek, Kruchy „reset”. Bilans i perspektywy przemian w relacjach rosyjsko-amerykańskich / The Fragile „Reset”, The balance and the prospects for changes in Russian-US relations, „PunktWidzenia/Policy Briefs”, OSW kwiecień/April 2011, ss.26/48. Autor głosi tam (s.19) wprawdzie tezę, o zmianie koncepcji tarczy, a nie o rezygnacji z niej, ale odłożenie planu jej rozmieszczenia w Polsce na rok 2018, tzn. na okres po zakończeniu ewentualnej drugiej kadencji prezydenckiej Obamy, nie pozwala traktować poważnie amerykańskich deklaracji w tym względzie.
- ⁶³ I. Janke, Bigosowanie pana prezydenta, „Rzeczpospolita”, 11.01.2011, <http://www.rp.pl/artykul/592464.html>.
- ⁶⁴ A. Wilk, Rosja ćwiczy wojnę na zachodzie, „Tydzień na Wschodzie”, nr 33(108), 30.09.2009, s.2-4. Por.: J. Bielecki, NATO ma się zająć rosyjskimi manewrami, „Dziennik Gazeta Prawna”, nr 221(2597), 12 listopada 2009, s.A2. Patrz też: Z. Dąbrowska, Drażliwe manewry, „Dziennik Gazeta Prawna”, nr 221(2597), 12 listopada 2009, s.A2 oraz M. Szymaniak, W. Lorenz, Polska do NATO: boimy się Rosji, „Rzeczpospolita” nr 265(8471), 12 listopada 2009, s.A11.
- ⁶⁵ Strategia bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa 2007, s.23-24.
- ⁶⁶ Strategia obronności Rzeczypospolitej Polskiej. Strategia sektorowa do Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa 2009, ss. 34.
- ⁶⁷ Informacja własna autora wyniesiona z rozmowy z ministrem Władysławem Stasiakiem.
- ⁶⁸ Informacja własna autora wyniesiona z wymiany korespondencji z dr Januszem Kochanowskim.
- ⁶⁹ E. Wielañczyk, Prezydent Lech Kaczyński przybył do Ankary, „Gazeta.pl Wiadomości”, 30.09.2009, <http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114873,3868780.html>.
- ⁷⁰ W skład nieformalnego gremium, zwanego grupą frankfurcką, wchodzi: kanclerz RFN Angela Merkel, prezydent Francji Nicolas Sarkozy, szef eurogrupy Jean-Claude Juncker, prezes Europejskiego Banku Centralnego Mario Draghi, Przewodniczący Rady Europejskiej Herman van Rompuy, szefowa MFV Christine Lagarde, przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso i komisarz UE ds. gospodarczych i walutowych OlliRehn. Ciału temu przypisuje się walny udział w usuwaniu premierów niepodległych państw – Georjosa Papandréu i Silvio Berlusconi. F. Nelson, Grupa frankfurcka – europejskie komando, „The Spectator”, 16 listopada 2011, Presseurop, <http://www.presseurop.eu/pl/content/article/1177171-grupa-frankfurcka-europejskie-komando>. Por.: Grupa Frankfurcka, Ósemka trzymająca władzę, „El Mundo” 10 listopada 2011, Presseurop, <http://www.presseurop.eu/pl/content/news-brief/1155751-osemka-trzymajaca-wladze>.
- ⁷¹ Tu należy się uczciwa pochwała rządowi za okazaną Węgrom solidarność tłumiona jedynie ograniczonym zaufaniem co do trwałości tej decyzji, wynikającym z faktu częstych zmian opinii rządu dokonywanych wbrew najsolidniejszym publicznym deklaracjom (uzależnienie podpisania paktu fiskalnego od przyznania Polsce miejsca przy stole decyzyjnym UGiW, sprawa ACTA, itd.).
- ⁷² K. Kuś, Jednolity patent europejski, [w:] Monitor polskiej Prezydencji 2011. Raport zamknięcia, pod red. K. Szczerkiego, Kraków 2011, s.75-79.
- ⁷³ W oryginalnej wersji, zaproponowanej przez Komisję Europejską, klauzula Gazpromu miała ograniczać dostęp inwestorów z państw trzecich – tzn. spoza UE, do sieci przesyłowych energii elektrycznej i gazu. Jak definiował to Rafał Miland zastępca dyrektora departamentu ropy i gazu w polskim Ministerstwie Gospodarki – „Pierwsza, popierana przez Polskę propozycja przedstawiona przez Komisję Europejską na początku roku (2008 – P.Ż.G.) zakładała rozdzielenie własnościowe na rynkach europejskich produkcji energii od jej przesyłu. Taki sam podział byłby wymagany ze strony krajów trzecich, które chciałyby inwestować w sieci przesyłowe krajów UE. Inaczej nie miałyby do nich dostępu.” W praktyce wymuszałyby to obowiązywanie zasady wzajemności – tzn. Gazprom, chcąc inwestować w UE, musiałby zgodzić się na rozdzielenie własności swych

- pół gazowych od własności gazociągów i dopuścić do tych ostatnich inwestorów unijnych. Sprzeciw Francji i Niemiecstatecznie doprowadził do usunięcia wspomnianych restrykcyjnych zapisów z projektu Komisji Europejskiej i przyjęcie go w znacznie złagodzonej formie. T. Dąbrowski, A. Łoskot-Strachota, Ł. Antas, Unijny kompromis w sprawie pakietu dyrektyw liberalizujących rynek energetyczny, „Tydzień na Wschodzie”, nr 33(67), 10.09.2008, s.6-8. Patrz też: Klauzula Gazpromu na Radzie UE, „Wprost 24”, 10.09.2008, <http://www.wprost.pl/ar/141014/Klauzula-Gazpromu-na-Radzie-UE/>. Por.: M. Kot, Unia liberalizuje rynek energii, Money.pl, 23.04.2009, <http://news.money.pl/artykul/unia;liberalizuje;rynek;energii,127,0,445823.html>.
- ⁷⁴ O istocie gry interesów w ramach unijnej polityki energetycznej patrz: K. Obłodecki, Zmiany w sektorze energetycznym czołowych państw Unii Europejskiej jako wyzwanie dla polityki polskiej, „Arcana”, nr 97(1/2011), s.38-48.
- ⁷⁵ POLUKRBAT, Jednostki wojskowe, Wojsko Polskie, http://www.jednostki-wojskowe.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=360&Itemid=26.
- ⁷⁶ K. Kłysiński, W. Konończuk, Białoruś: kontynuacja polityki represji, „Tydzień na Wschodzie”, nr 42(160), 29.12.2010, s.4-6.
- ⁷⁷ K. Kłysiński, R. Sadowski, Wojna dyplomatyczna Białorusi z Unią Europejską, „Tydzień na Wschodzie”, nr 9(210)29.02.2012, <http://www.osw.waw.pl/pl/publikacje/tydzien-na-wschodzie/2012-02-29/wojna-dyplomatyczna-bialorusi-z-unia-europejska>.
- ⁷⁸ P. Żurawski vel Grajewski, Partnerstwo wschodnie Unii Europejskiej - główne, czy pomocnicze narzędzie polskiej polityki wschodniej? /The EasternPartnership of the EU – mainorsupportingtool of PolishEastern Policy?, [w:] „Partnerstwo Wschodnie w kontekście Europejskiej Polityki Sąsiedztwa i agendy Grupy Wyszehradzkiej / The EasternPartnership in the Context of the EuropeanNeighbourhood Policy and V4 Agenda”, pod red. Izabeli Albrycht, Instytut Kościuszki - Kraków 2010, s.37-51 / 37-50.
- ⁷⁹ Włochy, Hiszpania i Francja, stojące w obliczu rewolucji arabskich, zupełnie zlekceważyły szczyt PW w Warszawie. M. Szymaniak, Ten szczyt to dla nas sprawa peryferyjna, „Rzeczpospolita”, 28.09.2011, <http://www.rp.pl/artykul/107684,724125-Ten-szczyt-to-dla-nas-sprawa-peryferyjna.html>. Por.: Szwedzki MSZ: Efekt szczytu Partnerstwa Wschodniego „gorszy niż oczekiwano”, EurActiv.pl, 4.10.2011, <http://www.euractiv.pl/prezydencja/artykul/szwedzki-msz-efekt-szczytu-partnerstwa-wschodniego-gorszy-ni-oczekiwano-002984>. Skład i rangę reprezentantów państw obecnych na szczycie patrz: Na szczycie Partnerstwa Wschodniego Merkel i Barroso; zabraknie Sarkozy’ego, Wiadomości, „Gazeta Prawna”, 28 września 2011, http://www.gazetaprawna.pl/wiadomosci/artykuly/551415,na_szczycie_partnerstwa_wschodniego_merkel_i_barroso_zabraknie_sarkozy_ego.html. Patrz też: J. Gotkowska, Niemcy wobec Partnerstwa Wschodniego, „Komentarze OSW”, nr 37, 17.06.2010, s.1-6.
- ⁸⁰ A. Wilk, P. Żochowski, Francja i Niemcy zacieśniają współpracę wojskową z Rosją, „Tydzień na Wschodzie” OSW, nr 22(182), 29.06.2011, s. 3-4. Por.: V. Socor, ArmsTransfers to Russia: AnInternal Challenge to NATO, “EurasiaDaily Monitor”, Vol. 8, No 125, June 29, 2011, [http://www.jamestown.org/single/?no_cache=1&tx_ttnews\[tt_news\]=38105&tx_ttnews\[backPid\]=7&cHash=167e2c0ead768be89c071ef6882e12ad](http://www.jamestown.org/single/?no_cache=1&tx_ttnews[tt_news]=38105&tx_ttnews[backPid]=7&cHash=167e2c0ead768be89c071ef6882e12ad) oraz Г.Поволоцкий, Российско-французскоевоенноесотрудничество: «Мистраль» наполнилпарусадверия, „Международнаяжизнь”, 05.01.2011, <http://interaffairs.ru/read.php?item=552>.
- ⁸¹ Estonia na diabelskim młynie, (Wywiad J. Pawlickiego z prezydentem Estonii ToomasemHendrikemIlvesem), „Gazeta Wyborcza”, 14.12.2009, http://wyborcza.biz/biznes/1,101562,7360781,Estonia_na_diabelskim_mlynie.html
- ⁸² P. Zaremba, Bruksela już czeka na Tuska, „Uważam Rze”, 19-25 marca 2012, s.11.
- ⁸³ Por. Jan Filip Stanilko, Czym jest Rosja, Arcana nr 73, styczeń 2007, ss. 20-39
- ⁸⁴ O. Kryshtanovska i S. White The Sovietization of Russian Politics, „Post-Soviet Affairs”, Vol. 25, No. 4/2009
- ⁸⁵ Tu szczytowym chyba osiągnięciem jest książka Anatolija Golicyna „Nowe kłamstwa w miejsce starych”



Instytut Sobieskiego wydał ostatnio:

Paweł Dobrowolski
**Prawdziwy dług publiczny
wynosi ponad 200% PKB**

Marek Dietl
**Proces monopolizacji
a niepewność**

Leszek Skiba
**Rządzić państwem.
Centrum decyzyjne rządu
w wybranych krajach europejskich**

Justyn Piskorski
**Szkoła domowa.
Pomiędzy wolnością a obowiązkiem**

Krzysztof Krajewski-Siuda, Piotr Romaniuk
Zdrowie Publiczne

Aleksander Zawisza
**Gaz dla Polski
Zarys historii sektora gazu ziemnego
w ostatnich dwóch dekadach w Polsce**

Minęły dwa lata od wydarzenia, które najpierw Polakami wstrząsnęło, a następnie niebywale głęboko ich podzieliło. Bardzo często dyskusja o katastrofie smoleńskiej i jej konsekwencjach wywołuje skrajne reakcje - agresję, lęk, cynizm, niesmaczne żarty.

My staramy się podejść do zagadnienia z należną mu powagą, szacunkiem dla faktów i takim dystansem, jaki tylko jest możliwy. Praca ta jest próbą podsumowania tego, co wiemy o samej katastrofie i wielorakich jej konsekwencjach, opartą o gruntowną analizę i najlepszą dostępną wiedzę. Naszą ambicją jest przełamanie lęku przed tą wiedzą.

ISBN 978-83-927691-2-5



Instytut Sobieskiego

ul. Nowy Świat 27

00-029 Warszawa

tel./fax: 22 826 67 47

sobieski@sobieski.org.pl

www.sobieski.org.pl